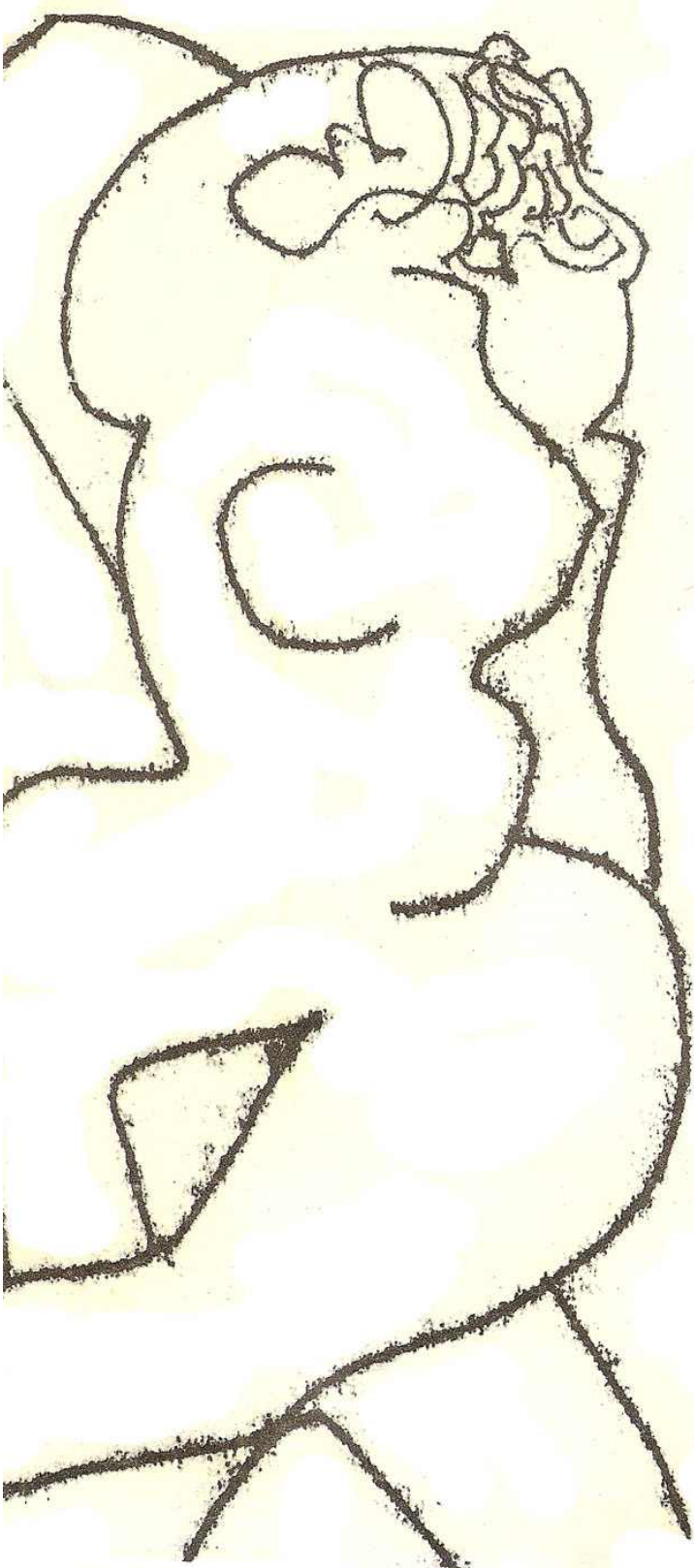


PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Kenzaburō Ōe



Sprawa osobista



Kenzaburō Ōe



Sprawa osobista

Przełożyła z angielskiego Zofia Uhrynowska



PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY 1974

I

Ptak, patrząc na mapę Afryki, która spoczywała w gablocie z wyniosłą elegancją dzikiego jelenia, stłumił krótkie westchnienie. Ekspedientki nie zwracały na niego uwagi; na rękach i szyjach, w miejscach nie osłoniętych przez służbowe bluzki, miały gęsią skórę. Zapadał wieczór i panująca dokoła gorączka wczesnego lata obniżyła się nagle jak temperatura umierającego olbrzyma. Ludzie poruszali się niemrawo, jak gdyby w mrokach podświadomości szukali wspomnienia południowego upału, którego resztki czaiły się jeszcze w skórze: wzdychali bezradnie. Czerwiec – wpół do siódmej: o tej porze nikt już się w mieście nie pocił. Ale żona Ptaka leżała naga na kauczukowej macie, z mocno zaciśniętymi oczyma, jak spadający z nieba ustrzelony bażant, i podczas gdy jękiem wyrażała cały swój ból, niepokój i oczekiwanie, jej ciało wydzielало drobne kuleczki potu.

Wstrząsamym dreszczem Ptak przyglądał się detalom mapy. Oblewający Afrykę ocean powleczoney był lżawym błękitem zimowego nieba o świcie. Południki i równoleżniki nie były po prostu liniami znaczącymi kierunki geograficzne – śmiałość ich pociągnięć przywodziła na myśl zmienność i kaprysy artysty. Sam kontynent przypominał pochyloną czaszkę ludzką. Smutnymi, spuszczoneymi oczyma człowiek o wielkiej głowie spoglądał na Australię – krainę koali, dziobaka i kangura. Miniaturowa Afryka w dolnym rogu mapy, przedstawiająca gęstość zaludnienia, była jak martwa głowa w początkowym stadium rozkładu; inna, poznaczona żyłami szlaków komunikacyjnych, przypominała głowę obdartą ze skóry, z boleśnie obnażonymi naczyniami włoskowatymi. Obie te Afryki budziły skojarzenia ze śmiercią nienaturalną, okrutną i gwałtowną.

– Czy wyjąć atlas z gablotki?

– Nie, proszę się nie fatygować – odparł Ptak. – Chodzi mi o mapy drogowe firmy Michelin: zachodniej, środkowej i południowej Afryki.

Dziewczyna pochyliła się nad szufladą pełną map Michelin i pracowicie zaczęła w niej grzebać.

– Serie 182 i 185 – podpowiedział jej Ptak, najwyraźniej specjalista w sprawach Afryki.

Mapa, nad którą tak wzdychał, była jedną z kart potężnego, oprawnego w skórę atlasu, stanowiącego dekorację stolika do kawy. Kilka tygodni temu pytał o cenę atlasu i wiedział, że równała się jego pięciomiesięcznym poborom na kursach przygotowawczych na wyższą uczelnię, gdzie pracował jako wykładowca. Gdyby dodał do tego to, co zarabiał jako tłumacz na niepełnym etacie, wystarczyłyby trzymiesięczne dochody. Ale Ptak miał na utrzymaniu siebie, swoją żonę, no i to istnienie, które się właśnie w tej chwili budziło do życia. Był głową rodziny!

Dziewczyna wybrała dwie oprawione w czerwone okładki mapy i położyła je na kontuarze. Jej dłonie były małe i pobrudzone, a wąłość palców przywodziła na myśl łapki kameleona uczeplone gałązki krzewu. Oko Ptaka spoczęło na firmowym znaku Michelina pod jej palcami: na widok podobnej do ropuchy gumowej postaci toczącej przed sobą oponę pomyślał, że te mapy nie są najmądrzejszym zakupem. Ale przecież miały służyć ważnemu celowi.

-- Dlaczego ten atlas jest otwarty na Afryce? – spytał Ptak w tadumie. Dziewczyna, nieco podejrzliwa, nie odpowiedziała. Ale rzeczywiście: dlaczego zawsze był otwarty na mapie Afryki? Czy właściciel sklepu uważał, że mapa Afryki jest najefektowniejszą stroną w całym atlasie? Przecież Afryka przeżywała oszołamiający proces zmian, dzięki którym wkrótce każda jej mapa miała stać się nieaktualna. A skoro ten los ma spotkać cały tom, otwieranie go właśnie na Afryce równało się demonstracyjnemu zdradzaniu bezużyteczności reszty. Przydatna jest mapa, która nigdy nie straci

na aktualności dzięki unormowanym stosunkom politycznym. Może więc mapa Ameryki? To znaczy Ameryki Północnej?

Ptak przerwał te rozważania, żeby zapłacić, a następnie ruszył w kierunku schodów, mijając ze spuszczonego wzrokiem – z jednej strony drzewko w doniczce, z drugiej korpulentną naga postać z brązu. Brązowy brzuch rzeźby zatłuszczony był przez nie zaspokojone dłonie: połyskiwał wilgotno jak psi nos. Ptak sam jako student przechodząc tędy muskał palcami ten brzuch; dziś nie miał odwagi nawet spojrzeć posagowi w twarz. Mignął mu przed oczyma obraz lekarza i pielęgniarek myjących ręce środkami dezynfekcyjnymi koło stołu, na którym leżała jego naga żona. Ręce doktora porośnięte były włosami.

Starannie wsunął mapy do kieszeni marynarki. Przepychając się do wyjścia obok zatłoczonego stoiska z czasopismami przyciskał je mocno do siebie. Były to pierwsze mapy, jakie kupił z uwagi na wyjazd. Z zakłopotaniem pomyślał, czy w ogóle nadejdzie taki dzień, kiedy postawi nogę na afrykańskiej ziemi i spojrzy przez ciemne okulary w afrykańskie słońce. A może właśnie w tej chwili traci raz na zawsze szansę podróży do Afryki? Czy wbrew sobie musi się pożegnać z jedyną, ostatnią okazją zaspokojenia tej przemożnej młodzieńczej potrzeby? A jeśli nawet – to co? Przecież, do diabła, i tak nic na to nie poradzi!

Rozdrażniony przecisnął się przez drzwi i wyszedł na ulicę, gdzie zapadł już wieczór wczesnego lata. Chodnik robił wrażenie spowitego w mgłę: skażone powietrze i gasnące światło dnia. Ptak zatrzymał się, żeby spojrzeć na swoje odbicie w szerokim, dokładnie ocienionym oknie wystawowym. Starzał się z szybkością krótkodystansowca. Ptak – dwadzieścia siedem lat i cztery miesiące. Przewali go Ptakiem, kiedy miał piętnaście lat, i od tamtej pory pozostał Ptakiem: niezdarna sylwetka, jak topielec unoszący się w atramentowym jeziorze szyby wystawowej, w dalszym ciągu przypominała ptaka. Był mały i szczupły. Jego koledzy zaczynali tyć zaraz po skończeniu studiów i podjęciu pracy – nawet ci, co jeszcze wtedy byli szczupli, przybierali na wadze, kiedy się ożenili. Ale Ptak,

wyjawszy niewielki brzusek, pozostał chudy jak zawsze. Chodził zwykle przygarbiony, z głową wciśniętą w ramiona; kiedy stał, miał dokładnie taką samą postawę. Jak wyschnięty starzec, który był niegdyś sportowcem.

Nie tylko zresztą jego uniesione ramiona przypominały złożone skrzydła; rysy twarzy też miał ptasie. Śniady, błyszczący nos sterczał jak dziób ostro zakrzywiony ku dołowi. Oczy lśniły nieustępliwym, przyćmionym blaskiem koloru kleju i prawie nigdy nie zdradzały żadnych uczuć, chyba że czasem, gdy zamrugały nagle otwierając się niby w łagodnym zdumieniu. Cienkie, surowe wargi były zawsze naciągnięte na zębach; linie od wystających kości policzkowych do brody układały się w ostre V. A sterczące włosy przypominały czerwonawe języki ognia. Ten opis był wiernym wizerunkiem Ptaka w wieku lat piętnastu; gdy miał dwadzieścia, nic się nie zmieniło. Jak długo będzie z wyglądu przypominał ptaka? Nie ma rady, trzeba żyć z tą samą twarzą i sylwetką od piętnastego do sześćdziesiątego piątego roku życia – czyżby należał do tego typu ludzi? I teraz ten obraz w szybie wystawowej – synteza całego życia. Ptak wstrząsnął się, zdjęty obrzydzeniem tak dojmującym, że zebrało mu się na wymioty. Co za straszna wizja: wyczerpany, z kupą dzieciaków na karku, stary, zgrzybiały Ptak...

Nagle z mętnego jeziora szyby wystawowej wyłoniła się i wolno podeszła do Ptaka kobieta o szczególnym wyglądzie. Była duża, barczysta, tak wysoka, że jej twarz odbijała się ponad odbiciem jego twarzy. Z uczuciem, że z tyłu skrada się do niego jakiś potwór, Ptak obrócił się w końcu. Kobieta zatrzymała się naprzeciwko niego i poważnie spojrzała mu w oczy. Odpowiedział jej spojrzeniem. W sekundę później dostrzegł, jak brutalne, ostre pożądanie w jej wzroku rozmywa się w wodach ponurej obojętności. Kobieta zaczęła właśnie odkrywać więź wzajemnego zainteresowania, nie zdając sobie może dokładnie sprawy z jego istoty, gdy nagle zrozumiała, że w tym układzie Ptak nie będzie odpowiednim partnerem. Jednocześnie Ptak dostrzegł coś nienormalnego w jej twarzy, która w aureoli kędzierzawych, nadmiernie obfitych włosów przypominała mu anioła Fra Angelico. Przede wszystkim rzuciły mu się w oczy

blond włoski pozostawione przez brzytwę na górnej wardze. Włoski zdołały przebić grubą powłokę makijażu i drgały jakby w rozpaczy.

– Hej! – powiedziała duża kobieta dźwięcznym męskim głosem. W tym pozdrowieniu zabrzmiała konsternacja wywołana jej głupią pomyłką. Urocze.

– Hej! – Ptak pośpiesznie przywołał uśmiech na twarz i odpowiedział na pozdrowienie głosem nieco schrypniętym, skrzekliwym, stanowiącym jedną z jego ptasich cech.

Przebieraniec wykonał półobrót na swoich wysokich obcasach i wolno oddalił ulicą. Ptak patrzył za nim przez chwilę, a następnie ruszył w przeciwną stronę. Skrócił sobie drogę przez wąską uliczkę i ostrożnie, czujnie zaczął przechodzić przez szeroką jezdnię oznaczoną szynami tramwajowymi. Nawet ataki histerycznej ostrożności, które chwytały go od czasu do czasu z gwałtownością spazmu, kojarzyły się z wątłym, kruchym, oszalałym ze strachu pisklęciem – tak, przezwisko pasowało do niego jak ulał.

Ta ciota widziała, że się przeglądam w oknie wystawowym, jak gdybym na kogoś czekał, i wzięła mnie za pedała. Upokarzająca pomyłka, ale gdy tylko się odwróciłem, odkryła swój błąd: honor Ptaka został uratowany. Teraz mógł już docenić komizm tego spotkania. „Hej!” – trudno sobie wyobrazić bardziej odpowiednie pozdrowienie w tej sytuacji. Ciota miała głowę na karku. Ptak poczuł przyływ sympatii dla młodego człowieka przebranego za kobietę. Ciekawe, czy uda mu się tej nocy złapać jakiegoś jelenia. A może sam powinienem zebrać się na odwagę i pójść z nim?

W dalszym ciągu wyobrażając sobie, co by było, gdyby poszedł z młodym człowiekiem w jakiś zakazany zakątek miasta, znalazł się na przeciwległym chodniku i skręcił w ruchliwą ulicę tanich barów i restauracji. Leżelibyśmy prawdopodobnie nadzy, obok siebie, jak bracia, i rozmawiali. Ja bym też był nagi, więc on by nie odczuwał żadnego skrępowania. Może bym mu się zwierzył, że moja żona właśnie tej nocy rodzi, i może bym mu wyznał, że od lat pragnę jechać do Afryki, a moim największym marzeniem jest napisać po

powrocie wspomnienia, które bym zatytułował *Niebo nad Afryką*. Mógłbym mu nawet powiedzieć, że mój wyjazd do Afryki, samemu, kiedy wokół mnie zamknie się klatka rodziny, stanie się niemożliwy (zawsze byłem w klatce, od początku małżeństwa, ale dotychczas wierzyłem, że jej drzwi są otwarte; dziecko, które właśnie przychodzi na świat, może je zatrzasnąć). Mówiłbym o najróżniejszych rzeczach, a pedał starając się wyłuskać jądro z tego wszystkiego, co mi zagraża, z pewnością by mnie zrozumiał. Bo młody człowiek, który tak bardzo chce być wierny tkwiącemu w nim zboczeniu, że idzie w końcu na ulicę, by szukać innych zboczeńców – taki młody człowiek musi mieć oczy, uszy i serce szczególnie wrażliwe na czające się gdzieś w ludzkiej podświadomości lęki.

Jutro rano golilibyśmy się razem słuchając wiadomości przez radio i używając jednego mydła. Pedał był młody, ale zarost miał silny i... Ptak przestał snuć wyobrażenia i uśmiechnął się. Wspólne spędzenie nocy to może byłoby za wiele, ale powinien przynajmniej zaprosić młodego człowieka na drinka. Znalazł się na ulicy pełnej tanich, przytulnych barków: tłum, który się o niego ocierał, roił się od pijaków. Miał sucho w gardle i marzył o tym, żeby się napić, choćby nawet sam. Kręcąc szybko głową osadzoną na chudej, długiej szyi oceniał bary po obu stronach ulicy. Właściwie nie miał zamiaru wstępować do żadnego z nich. Wyobrażał sobie reakcję teściowej, gdy zjawił się u łóżka żony i nowo narodzonego dziecka śmierzając whisky. Nie chciałby, żeby teściowie zobaczyli go we władzy alkoholu – nigdy więcej.

Teść wykładał teraz na małej prywatnej uczelni, ale zanim przeszedł na emeryturę, był kierownikiem katedry anglistyki na uniwersytecie, na którym studiował Ptak. To, że został tak młodo nauczycielem na kursach przygotowawczych, zawdzięczał nie tyle szczęściu, ile życzliwości teścia. Lubił starszego pana i trochę się go bał. Nie spotkał nigdy człowieka w tym wieku o takiej wielkoduszności i nie chciał stale sprawiać mu zawodu.

Ptak ożenił się w maju; miał wtedy dwadzieścia pięć lat i owego pierwszego lata był przez cztery tygodnie bez przerwy pijany. Nagle

zaczął żeglować po oceanie alkoholu jak zamroczony Robinson Kruzo. Zeniedbując wszelkie obowiązki, pracę i naukę, lekceważąc bezmyślnie wszystko, siadywał dzień w dzień do późna w zaciemnionej kuchni swego mieszkania i słuchając płyt popijał whisky. Wydawało mu się teraz, kiedy wracał pamięcią do tych koszmarnych dni, że z wyjątkiem słuchania muzyki, picia i zapadania w niespokojny pijacki sen nie wykonywał żadnych właściwych ludzkim istotom czynności. W cztery tygodnie później, obudziwszy się z trwającego siedemset godzin potwornego stanu upojenia, żałośnie trzeźwy Ptak odkrył w sobie spustoszenie miasta zdewastowanego przez pożogę wojenną. Był jak ktoś upośledzony umysłowo, z nikłą szansą na rehabilitację, a przecież musiał walczyć o odbudowanie nie tylko pogorzeliśka wewnątrz siebie, ale także swoich stosunków ze światem zewnętrznym. Zrezygnował z pracy na uczelni i poprosił teścia o załatwienie mu posady nauczyciela. Obecnie, w dwa lata później, czekał na narodziny pierwszego dziecka. Gdyby się tylko zjawił w szpitalu z krwią znów skażoną trucizną alkoholu, teściowa uciekłaby przed nim jak poszczuta psami, wlokąc za sobą swoją córkę i wnuka.

Ptak miał się na baczności, świadom ukrytego, ale zakorzenionego głęboko łaknienia alkoholu, które wciąż w nim tkwiło. Często, od czasu tych czterech tygodni spędzonych w piekle whisky, zadawał sobie pytanie, dlaczego przez siedemset godzin pozostawał w stanie upojenia, ale nigdy nie udało mu się znaleźć żadnej konkretnej odpowiedzi. Tak długo jak jego zstąpienie w otchłań whisky pozostawało zagadką, istniało stałe niebezpieczeństwo, że może to się nagle powtórzyć.

W jednej z książek o Afryce, które tak zachłannie czytał, natrafił na taki ustęp: „Pijackie orgie, o których często wzmiankują podróżnicy, są w dalszym ciągu na porządku dziennym w dzisiejszych afrykańskich wioskach. Należy stąd wnosić, że życie w tej uroczej krainie nadal zdradza podstawowe niedostatki. Niezaspokojone elementarne potrzeby mieszkańców są przyczyną ich rozpacz i depresji.” Czytając powtórnie ten fragment odnoszący się do małych wiosek w Sudanie, Ptak zdał sobie sprawę, że zawsze uni-

kał analizowania braków i niedostatków swego własnego życia. A przecież istniały, był tego pewny, i dlatego tak bardzo wystrzegał się alkoholu.

Ptak znalazł się na placu, na tyłach dzielnicy podejrzanych lokalików, gdzie panował największy ruch i szum. Zbudowany z żarówek zegar na teatrze pośrodku placu zapłonął godziną siódmą – czas się dowiedzieć, co z żoną. Od trzeciej po południu co godzinę dzwonił do szpitala. Rozejrzał się dokoła. Pełno tu było budek telefonicznych, ale wszystkie zajęte. Irytowała go nie tyle myśl o rodzącej żonie, ile o zdenerwowaniu teściowej, która cały czas wisi przy telefonie przeznaczonym dla pacjentów. Od chwili kiedy zjawiała się z córką w szpitalu, ubzduriała sobie, że cały personel usiłuje ją upokorzyć. Żeby tylko przy telefonie był ktoś z krewnych jakiejś innej pacjentki... Ożywiony ponurą nadzieją Ptak zawrócił zaglądając do barów, kawiarni, chińskich lokalików, tanich restauracyjek i sklepów z obuwem. Mógł zawsze gdzieś wstąpić i zadzwonić, ale w miarę możliwości starał się unikać barów, a poza tym był już po kolacji. Właściwie powinien wziąć coś na żołądek.

Rozglądał się właśnie za apteką, kiedy uwagę jego zwrócił obco wyglądający lokal na rogu. Na ogromnej tablicy zawieszanej nad wejściem widniał przykucnięty kowboj z buchającym płomieniami coltem w ręku. Ptak przeczytał tekst umieszczony na głowie Indianina pod butem kowboja: KOWBOJSKI BAR. Wewnątrz, pod papierowymi flagami różnych państw i spiralnie skreconymi wstążkami z zielonej i żółtej krepiny, kłębił się tłum ludzi znacznie młodszych od niego, oblegając kolorowe pudła automatów do gry, które wypełniały cały lokal od frontu po tyły. Ptak zerknął przez szklane drzwi obwiedzione czerwono-błękitną taśmą i upewniwszy się, że automat telefoniczny zainstalowany jest w rogu w głębi, wszedł do „Kowbojskiego baru”. Minawszy automat z Coca-Colą i grającą szafę, która ryczała niemodnego już rocka, szedł dalej po zabłoconych deskach podłogi. Czuł się tak, jakby mu nagle eksplodowały w uszach race. Przepychał się przez salę, niby przez labirynt, mijając kręgle mechaniczne, automatyczne strzelnice i miniaturowy las pełen jeleni, zajęcy i monstualnych zielonych

ropuch przesuwających się na taśmie transportera. Właśnie w momencie kiedy tamtędy przechodził, jakiś gimnazjalista na oczach pełnych zachwytu koleżanek ustrzelił żabę i w okienku z boku wyskoczyło mu pięć punktów. W końcu Ptak dobrnął do telefonu. Wrzucił monetę i z pamięci wykreślił numer szpitala. W jednym uchu słyszał dalekie buczenie telefonu; drugie wypełniał mu ryk rock and rolla i odgłos jak gdyby tysiąca umykających krabów: młodzież, pochłonięta automatycznymi gramami, szorowała podłogę miękkimi jak rękawiczki podeszwami włoskiego obuwia. Co by sobie pomyślała jego teściowa o tym gwarze? Może powinien coś powiedzieć, jakoś wyjaśnić ten hałas, kiedy się będzie tłumaczył, że dzwoni tak późno.

Telefon odezwał się cztery razy, zanim odpowiedział mu głos teściowej przypominający nieco odmłodzony głos jego żony; Ptak, nie próbując się tłumaczyć, od razu zapytał o żonę.

– Jeszcze nic. Nie chce się urodzić. To biedne dziecko cierpi strasznie, a maleństwo nie chce się urodzić!

W milczeniu wpatrywał się przez chwilę w niezliczone punkciki dziureczek w ebonitowej słuchawce. Jej powierzchnia, jak nocne niebo usiane czarnymi gwiazdami, to zachodziła mgłą, to odsłaniała się przy każdym jego oddechu.

– Zadzwońię znów o ósmej – rzekł po chwili, odwiesił słuchawkę i westchnął.

Koło telefonu zainstalowany był zdalnie kierowany samochód. Za kierownicą siedział chłopak, który wyglądał na Filipińczyka. Pośrodku deski, na bębnie, umieszczony był miniaturowy Jaguar typu E; taśma z wymalowanym wiejskim krajobrazem przesuwiała się nieustannie, stwarzając wrażenie, że samochód pędzi malowniczą podmiejską drogą. Wzdłuż krętej trasy co chwila wyskakiwały przeszkody: owce, krowy, dziewczyny wlokące za sobą dzieci. Manewrując kierownicą należało unikać tych przeszkód tak, by utrzymać samochodzik na bębnie. Filipińczyk z pełnym zaciekleścią skupieniem siedział zgarbiony nad kierownicą, a jego niskie śniade czoło poorane było głębokimi bruzdami. Gnał wciąż naprzód, ostrymi

kłami zagryzając wąskie wargi i z sykiem rozpylając dokoła ślinę, jak gdyby wierzył, że w końcu pas przestanie się przesuwac i Jaguar typu E dotrze do miejsca przeznaczenia. Ale droga bez końca piętrzyła przeszkody. Od czasu do czasu, kiedy taśma zaczynała zwalniać, Filipińczyk wsadzał rękę do kieszeni spodni, wyjmował monetę i wrzucał ją do metalowego oka automatu. Ptak zatrzymał się i pochylony za plecami chłopaka przez chwilę śledził grę. Ale wkrótce poczuł w nogach nieznośne zmęczenie. Pospieszył do tylnego wyjścia stając tak, jakby podłoga była płytą rozgrzanego metalu. Na samym końcu natknął się na dwa naprawdę dziwaczne automaty.

Ten po prawej stronie obleżony był przez bandę chłopaków ubranych w identyczne jedwabne bluzy haftowane złotym i srebrnym brokatem w smoki – typowe pamiątki z Hongkongu przeznaczone dla amerykańskich turystów. Wydawali dziwne odgłosy, które przypominały silne zderzenia. Ptak podszedł do chwilowo wolnego automatu po lewej stronie. Było to średniowieczne narzędzie tortur, zwane żelazną dziewicą – model z dwudziestego wieku. Stalowa piękność naturalnej wielkości, pomalowana w czerwono-czarne paski, osłaniała w sposób zdecydowany swoje nagie piersi skrzyżowanymi rękami. By rzucić okiem na ukryty biust, należało te ręce odciągnąć, a wtedy liczby określające siłę, z jaką ścisano ramię dziewicy i z jaką je odciągano, wyskakiwały w okienkach jej oczu. Ponad głową figury umieszczona była tabela podająca przeciętną siłę ścisania i ciągnięcia właściwą dla każdego wieku.

Ptak wrzucił monetę do otworu między wargami dziewczyny, a następnie przystąpił do odciągania jej rąk. Stalowe ramiona nie ustępowały, więc pociągnął mocniej. Po chwili jego twarz znalazła się tuż obok stalowej piersi, a ponieważ wymalowany ma metalowej twarzy wyraz niewątpliwie oznaczał cierpienie, poczuł się tak, jakby gwałcił dziewczynę. Ciągnął dopóty, dopóki każdy mięsień w jego ciele nie odezwał się bólem. Nagle tryby zaskoczyły, w żelaznej piersi rozległ się łoskot i w pustych oczach automatu zaczęły wyskakiwać plakietki z cyframi w kolorze rozwodnionej krwi. Ptak, bez sił, ciężko

dyszając, porównał swój wynik z tabelą. Nie wiadomo było właściwie, w jakich jednostkach podane są wyniki, w każdym razie uzyskał 70 punktów za ściskanie i 75 za ciągnięcie. W kolumnie odpowiadającej wiekowi dwudziestu siedmiu lat odczytał odpowiednio 110 i 110. Z niedowierzaniem raz jeszcze przestudiował tabelę i stwierdził, że jego wyniki równają się przeciętnej dla czterdziestki. Czterdziestki! Szok, jakim było dla niego to odkrycie, dotarł od razu do żołądka powodując czknięcie. Dwadzieścia siedem lat i cztery miesiące, a siły nie więcej niż u czterdziestolatka! Ptak! Jak to możliwe? Na domiar złego, mógł już teraz powiedzieć, że mrowienie, jakie odczuwał w ramionach i bokach, przerodzi się w uporczywy ból mięśni. Zdecydowany zrehabilitować się, podszedł do automatu po prawej stronie. Ze zdziwieniem stwierdził, że zaczyna traktować te próby ze śmiertelną powagą.

Z czujnością dzikich zwierząt, na których terytorium wdarł się intruz, chłopcy w bluzach w smoki zastygli, kiedy do nich podszedł, przeszywając go bezczelnymi spojrzeniami. Ukrył zdenerwowanie pod pozorami obojętności i przyjrzał się automatowi obłązonemu przez gromadkę chłopców. Pod względem konstrukcji przypominał on szubienicę z westernów, z tą różnicą, że w miejscu, gdzie powinien dyndać skazaniec, zwisało coś, co przypominało słowiański hełm kawaleryjski. Hełm częściowo przykrywał worek z piaskiem obciążony czarną kozłową skórą. Kiedy się wrzuciło monetę do otworu, który ział pośrodku hełmu jak oko cyklopa, można było ściągnąć worek niżej, a wtedy strzałka zegara wskazywała zero. W środku tarczy widniał rysunek przedstawiający Miki-Robota, który szeroko otwierając żółty pyszczek wołał: „Chodź no, bracie! Zmierzymy twój cios!”

Ponieważ Ptak, zamiast podejść bliżej, w dalszym ciągu przyglądał się automatowi, jeden z chłopaków wystąpił demonstracyjnie naprzód, wrzucił do hełmu monetę i ściągnął worek z piaskiem. Lekko skrępowany, ale w gruncie rzeczy pewny siebie, odstał krok do tyłu i rzucając się całym ciałem do przodu, jak gdyby w tańcu, wyrznął w worek. Ciężki łomot, brzęk łańcucha o wnętrze hełmu. Igła wyskoczyła poza skalę i drgała jakiś czas

bezsensownie. Banda chłopaków ryknęła śmiechem. Siła uderzenia przekroczyła możliwości zegara. Porażony mechanizm nie chciał się uspokoić. Zwycięzca wymierzył workowi lekkiego kopniaka, tym razem w postawie karate: wskazówka opadła do 500, a worek wpelźł z powrotem do hełmu, powoli jak wyczerpany krab-pustelnik. Banda i to skwitowała wybuchem śmiechu.

Ptaka opanowała dziwna namiętność. Uważnie, żeby nie pognieść map, zdjął marynarkę i położył ją na stole do gry w bingo. Następnie wrzucił do otworu jedną z monet przeznaczonych na telefony do szpitala. Chłopcy śledzili każdy jego ruch. Ptak ściągnął worek, zrobił krok do tyłu i nastawił pięści. Kiedy wyrzucono go ze szkoły średniej w jego rodzinnym miasteczku na prowincji i przygotowywał się do egzaminów na uniwersytet, nie było tygodnia, żeby nie brał udziału w bójkach z takimi samymi jak on obwiesiami. Bano się go i zawsze miał całą świtę młodszych od siebie wielbicieli. Wierzył w siłę swego ciosu, a poza tym on robi to stylowo, bez takiego idiotycznego skoku. Przeniósł ciężar ciała na palce, zrobił niewielki krok do przodu i zaatakował worek prawym sierpowym. Czyżby siła jego ciosu przekroczyła granicę 2500 i uszkodziła zegar? Akurat! – strzałka zatrzymała się na 300. Zgarbiony, z pięścią przy piersi, przez chwilę patrzył na skalę oniemiały. Po czym uderzyła mu do twarzy fala gorącej krwi. Za jego plecami chłopcy w bluzach w smoki stali w milczącym bezruchu. Ale oczywiście nie spuszczała z oka Ptaka i skali; wystąpienie kogoś o tak skromnych możliwościach musiało ich wprawić w osłupienie.

Ptak, jakby nie był świadom obecności gangu, ponownie podszedł do hełmu, wrzucił następną monetę i ściągnął worek. Teraz już nie czas się troszczyć o czystość formy: poparł cios ciężarem całego ciała. Prawa ręka zdrewniała mu od łokcia do przegubu, a strzałka pokazała zaledwie 500!

Schylił się szybko po marynarkę i włożył ją, cały czas stojąc twarzą do stołu bingo. Następnie odwrócił się do obserwujących go w milczeniu wyrostków. Usiłował obdarzyć młodego rekordzistę pełnym zrozumienia i podziwu uśmiechem doświadczonego mistrza,

który już dawno się wycofał, ale chłopcy patrzyli na niego chłodno, bezmyślnie, jakby mieli przed sobą psa. Ptak zrobił się purpurowy aż po uszy i ze spuszczoną głową spiesznie opuścił lokal. Usłyszał za sobą głośnie rżenie – wyraz sztucznej wesołości.

Nieprzytomny z dziecinnego wstydu, przeszedł na ukos przez plac i zniknął w ciemnej uliczce – nie miałby odwagi wmieszać się w tłum obcych. Wzdłuż uliczki stały na swoich posterunkach prostytutki, ale wściekłość malująca się na jego twarzy nie zachęcała do zaczepek. Skręcił w zaułek, gdzie nie było już nawet prostytutek, i natknął się na wysoki nasyp. Po intensywnym zapachu zieleni poznał mimo ciemności, że zbocze musi być porośnięte bujną letnią trawą. Po nasypie biegły szyny kolejowe. Spojrzał w jedną i w drugą stronę, czy nie jedzie pociąg, ale w mroku nie dostrzegł nic. Popatrzył w górę na atrament nieba. Czerwonawa mgielka unosząca się nad ziemią była refleksem neonowych świateł płonących na placu. Nagle kropla deszczu pacnęła go w uniesioną do góry twarz – aha, trawa dlatego była taka wonna, że zanosilo się na deszcz. Z pochyloną głową i jak gdyby w zawstydzeniu, odlał się ukradkiem. Zanim skończył, usłyszał za sobą bezładne kroki. Kiedy się odwrócił, otaczali go zewsząd chłopcy w haftowanych bluzach.

Lekko oświetleni od tyłu, mieli twarze w głębokim cieniu i Ptak nie widział, co wyrażają. Ale pamiętał je z „Kowbojskiego baru” i brutalną niechęć, jaka z nich wzywała mimo pozorów obojętności. Chłopcy wyczuli w nim osobnika słabego i to rozbudziło ich pierwotne instynkty. Opętani okrutną dziecięcą potrzebą znęcania się nad słabszym przygnali tu za żalosaną ofiarą, której siła ciosu wyraziła się liczbą 500. Ptaka ogarnął lęk – rozpaczliwie kombinował, któredy by się im wymknąć. Żeby się dostać na oświetlony plac, musiałby runąć prosto na nich i przerwać ich pierścień w najsilniejszym miejscu. Ale w jego warunkach – siła ściskania i ciągnięcia na poziomie czterdziestolatka! – nie było o tym mowy; bez trudu go zawrócą. Na prawo miał krótki ślepy zaułek, zamknięty drewnianym płotem. Na lewo długą wąską uliczkę, która biegnąc między nasypem z jednej a wysokim drutem kolczastym ogradzającym teren fabryczny z drugiej strony prowadziła do

ruchliwej ulicy. Mógłby się uratować, gdyby udało mu się przebyć dzielący go od niej odcinek około stu kroków. Zdecydowany zrobił taki ruch, jakby zamierzał się rzucić w ślepy zaułek na prawo, po czym dokonał błyskawicznego zwrotu w lewo. Ale miał do czynienia z wytrawnymi znawcami takich chwytów. Dwudziestoletni Ptak w swoim własnym mieście nocą był dokładnie taki sam. Banda nie dała się zwieść; błyskawicznie przesunęła się nieco w lewo, przyjmując poprzedni szyk. Ptak wyprostował się, skoczył w lewo i natknął się na czarną sylwetkę wygiętą łukowato do tyłu – chłopak ten identycznie atakował worek z piaskiem. Nie mając ani czasu, ani miejsca na unik, Ptak uległ najsilniejszemu nokautowi w swoim życiu i upadł do tyłu na nasyp. Jęcząc splunął śliną i krwią. Chłopcy najpierw wybuchnęli rechem, podobnie jak wtedy, kiedy udało im się zakłócić działanie automatu do pomiaru siły ciosu, a następnie otoczywszy go jeszcze ciaśniejszym półkolem spoglądali na niego w milczeniu. Gang czekał.

Ptak przypomniał sobie o mapach; musiały się pognieść pod jego ciężarem. No i rodzi mu się dziecko: myśl o tym z nową ostrością przebiła się na plan pierwszy jego świadomości. Ogarnęła go nagła złość i dzika rozpacz. Dotychczas, przerażony i oszołomiony, myślał tylko o ucieczce. Ale teraz nie miał zamiaru uciekać. Jeśli nie będzie walczył, to nie tylko raz na zawsze straci szansę wyjazdu do Afryki, ale jego dziecko przyjdzie na świat osamotnione, by wieść życie najgorsze z możliwych – był to jak gdyby głos natchnienia i Ptak weń uwierzył.

Deszcz siekł jego rozkwaszone wargi. Ptak potrząsnął głową, jęknął i podniósł się powoli. Półkole wyrostków rozstąpiło się zachęcająco i najbardziej krzepki ze wszystkich uczynił zdecydowany krok do przodu. Ptak, z wysuniętym podbródkiem i rękoma luźno zwisającymi wzdłuż ciała, sprawiał wrażenie ślaniającej się karnawałowej kukły. Mierząc starannie chłopak uniósł wysoko jedną nogę, wygiął się do tyłu jak zawodnik, który zaraz rzuci piłkę, wziął zamach prawym ramieniem i runął na ofiarę. Ptak dał nura i pochyłoną głową, jak rozwścieczony byk, wałnął przeciwnika w brzuch. Chłopak wrzasnął, rzygnął żółcią i cicho zgiął się wpół. Ptak

poderwał głowę stawiając czoło reszcie. Na nowo odczuł rozkosz walki, której nie zaznał od lat. Zastygli w bezruchu przeciwnicy – Ptak i banda wyrostków – szacowali się nawzajem. Czas mijał.

Nagle jeden z chłopaków zawołał:

– Panowie, dajmy mu spokój, jest za stary!

Napięcie zostało natychmiast rozładowane. Opuszczając Ptaka w dalszym ciągu czujnego, chłopcy podnieśli swojego nieprzytomnego kolegę i odeszli w stronę placu. Ptak pozostał sam. W gardle poczuł drażniące łechtanie i przez chwilę śmiał się cicho. Marynarkę miał zakrwawioną, ale jeżeli przejdzie się kawałek na deszczu, nikt nie odróżni krwi od wody. Ogarnął go spokój. Oczywiście bolała go szczeka, w miejscu gdzie otrzymał cios, bolały go ramiona, plecy i oczy. Ale po raz pierwszy, odkąd żona zaczęła rodzić, był w dobrym nastroju. Powlókł się uliczką pomiędzy nasypem a ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Sapiąc i spluwając ognistymi iskrami ukazał się na szynach staroświecki parowóz. Pociąg przeleciał nad głową Ptaka jak wielki czarny nosorożec galopujący na tle atramentowego nieba.

Czekając na taksówkę, namacał językiem wybity ząb i wypluł go na ziemię.

II

Pod mapą Zachodniej Afryki, wyplamioną błotem, krwią i żółcią i przypiętą pluskiewkami do ściany, spał zwinięty w kłębek Ptak przypominający stonogę w pozycji obronnej. Spał w ich wspólnej sypialni, swojej i żony. Biała kołyska, nie wyjęta jeszcze z winylowego opakowania, czaiła się niby wielki owad pomiędzy dwoma łózkami. Ptak śnił coś i we śnie jęczał protestując przeciwko chłodowi poranka.

Stoi na płaskowyżu na zachodnim brzegu jeziora Czad, we wschodniej części Nigerii. Na co może czekać w takim miejscu? Nagle dostrzegł go olbrzymi phacochoerus. Rozwścieczone zwierzę atakuje wzbijając fontanny piachu. No jasne! Przecież przyjechał do Afryki zasmakować przygód; spotyka nieznaną tubylcze plemiona, stawia czoło śmiertelnym niebezpieczeństwom – a to wszystko, by wyrzeć poza horyzont spokojnego, chronicznie beznadziejnego codziennego życia. Ale nie ma broni; jak się zmierzy z phacochoerusem? Przyjechałem do Afryki bez odpowiedniego sprzętu, bez żadnego przygotowania – myśli i odczuwa skurcz strachu. A tymczasem phacochoerus się zbliża. Ptak przypomina sobie nóż sprężynowy, który nosił w mankencie spodni, w czasach kiedy należał do bandy chuligańskiej w prowincjonalnym miasteczku. Tylko że te spodnie wyrzucił już bardzo dawno temu. To śmieszne, że nie może sobie przypomnieć japońskiej nazwy phacochoerusa! Słyszy, jak gromadka ludzi, która go właśnie opuściła ratując się ucieczką, krzyczy: „Uwaga! Wiać, panowie! Phacochoerus!” Rozszalałe zwierzę jest już przy kępie niskich krzewów w odległości kilku kroków: Ptak nie ma szansy ucieczki. I wtedy spogląda ku północy, i widzi teren odgradzony ukośną błękitną linią. To musi być stalowy drut; gdyby tylko mógł się za niego dostać, byłby bezpieczny; ci, co go opuścili, wołają coś zza drutu. Ptak zaczyna biec. Za późno! Phacochoerus już go dopada. Przyjechałem do Afryki bez odpowiedniego sprzętu i bez żadnego przygotowania; nie zdołam uciec. Ptak rozpacza, ale strach gna go naprzód. Niezliczone oczy ludzi bezpiecznych patrzą na zbliżającego się Ptaka spoza ukośnej błękitnej linii. Ohydne, ostre zęby phacochoerusa zwierają się mocno na jego kostce...

Obudził go telefon. Świt, a w dalszym ciągu pada. Ptak dotknął bosymi stopami wilgotnej podłogi i skoczył do telefonu jak królik. Podniósł słuchawkę; męski głos bez słowa powitania zapytał go o nazwisko i powiedział:

– Proszę natychmiast przyjeżdżać do szpitala. Dziecko urodziło się nienormalne, szczegółowych informacji udzieli lekarz.

Nagle Ptak stracił grunt pod nogami. Marzył o tym, żeby wrócić na tę nigeryjską wyżynę, żeby zlizywać resztki tamtego snu – to nic, że sen był zły, pełen koszmarów, gęsto najeżony cierniami strachu. Opanował się jednak i tonem tak obojętnym, jakby to mówił ktoś zupełnie obcy, bez serca, zapytał:

– Czy z żoną wszystko w porządku? – Miał takie uczucie, jakby tysiąc razy słyszał siebie zadającego to samo pytanie w ten sam sposób.

– Żona czuje się dobrze. Niech pan przyjeżdża jak najszybciej.

Ptak zemknął z powrotem do sypialni, jak krab szukający schronienia. Zacisnął oczy i usiłował dać nurka w ciepło łóżka, jak gdyby nieprzyjmowanie prawdy do wiadomości mogło tę prawdę unicestwić. Ale nic się nie zmieniło. Z rezygnacją potrząsnął głową i wziął koszulę i spodnie, które leżały na brzegu łóżka, tak jak je rzucił. Kiedy się schylił, ból w całym ciele przypomniał mu o wczorajszej bójkę. Sprostował swoim przeciwnikom – jakąż go to napełniło dumą! Usiłował odzyskać coś z tego poczucia dumy, ale oczywiście mu się nie udało. Zapinając koszulę spojrział na mapę Afryki Zachodniej. Płaskowyż z jego snu znajdował się w miejscu zwanym Deifa. Tuż ponad nim widniał rysunek przedstawiający guźca w ataku – guźca! Aha, więc phacochoerus to jest guziec. A ukośna błękitna linia na mapie oznaczała granicę rezerwatu dzikiej zwierzyny. Czyli że nie byłby bezpieczny w swoim śnie, nawet gdyby się za nią dostał.

Ptak znów potrząsnął głową, wychodząc z sypialni wbił się w marynarkę i na palcach zszedł po schodach. Na pierwszym piętrze mieszkała ich stara gospodyni – jeśli się obudzi i wyjdzie na klatkę schodową, będzie musiał odpowiedzieć na dziesiątki pytań stanowiących wypadkową jej wścibstwa i życzliwości. Ale cóż mógłby jej odpowiedzieć? Jak dotąd usłyszał tylko telefoniczną informację: dziecko jest nienormalne. Prawdopodobnie jest najgorzej, jak tylko być może. Namacał swoje buty stojące na ubitej ziemnej podłodze przedsiönka, otworzył frontowe drzwi najciszej, jak potrafił, i wyszedł w świat.

Rower leżał na żwirze pod żywopłotem. Podniósł go i rękawem marynarki przetarł mokre od nieustannego deszczu, rozpadające się skórzane siodełko. Nie wytarłszy go do sucha, wskoczył na rower i rozpryskując żwir, jak narowisty koń, ruszył wzdłuż żywopłotu do ulicy. Po chwili miał zziębnięte, przemoczone pośladki. A poza tym znów padało i wiatr zacinał mu deszczem prosto w twarz. Jechał z szeroko otwartymi oczyma, omijając wyboje, i krople deszczu bębniły o jego nagie gałki oczne. Skręcił w lewo. Teraz miał wiatr z prawej strony i było mu trochę lżej jechać. Odchylił się w stronę wiatru dla lepszego utrzymania równowagi. Obracające się koła miesiły cienką warstewkę wody na asfalcie, rozpylając ją w leciutką mgiełkę. Ptak obserwując, jak woda tryska spod opon, przechylony w prawo, poczuł zawrót głowy. Spojrzał przed siebie – nigdzie żywego ducha, ulica o świcie była wymieciona. Rosnące po jej obu stronach miłorzęby były ciemne od liści, a każdy z tych niezliczonych liści był napęczniały od wypitej wody. Czarne pnie podtrzymujące głębokie oceany zieleni. Gdyby te oceany nagle runęły, Ptak zginałby wraz ze swoim rowerem w pachnącej świeżą zielenią topieli. Poczul się zagrożony przez te drzewa. Wysoko nad jego głową, w gąszczu koron, liście jęczały na wietrze. Spojrzał ku wschodowi na wąski skrawek nieba. Było czarnoszare, z delikatnym różowym poblaskiem słońca gdzieś w tle. Nędzne niebo rumieniło się, gwałcone brutalnie przez chmury przypominające rozpedzone kudłate psy. Nagle wystrzeliły przed nim trzy sroki, bezczelne jak koty, i Ptak o mało się nie przewrócił. Zobaczył srebrne kropelki deszczu wczepione jak wszy w ich jasnoblękitne ogony. Stwierdził, że reaguje teraz gwałtownie na byle co i że ma szczególnie wyostrzony wzrok, słuch i węch. Zaczęło do niego niejasno docierać, że to zły znak: podobnie było z nim wtedy, kiedy się tak zapił.

Opuszczając głowę, uniósł się na pedałach i dodał gazu. Powróciło uczucie daremnej ucieczki, z tamtego snu; spieszył się. Zawadził ramieniem o cienką gałązkę miłorzębu, jej rozwidlony koniec odskoczył i strzelił go w ucho. Ale nawet wtedy Ptak nie zwolnił. Krople deszczu ze świstem pocisków cięły pulsujące ucho. Gwałtownie, z piskiem hamulców, który równie dobrze mógł być jego

jękiem, Ptak zahamował przed wejściem do szpitala. Ociekał wodą i dygotał. Otrząsając z siebie deszcz miał uczucie, że przebył długą, niewiarygodnie długą drogę.

Dla złapania tchu zatrzymał się przed drzwiami gabinetu lekarskiego, a następnie zajrzał do środka i zwrócił się do niewyraźnych postaci oczekujących go w mroku.

– To ja jestem ojcem – powiedział ochryple, zastanawiając się, dlaczego siedzą po ciemku. Potem zauważył teściową, która z twarzą na pół ukrytą w rękawie kimona wyglądała tak, jakby usiłowała powstrzymać wymioty. Usiadł na krześle obok niej, czując, jak ubranie przylepia mu się do pleców i pośladków. Trząsał się, ale już nie tak gwałtownie jak na podjeździe; teraz przypominał słabe kurczę. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności: dostrzegł trybunał złożony z trzech lekarzy w pełnej napięcia ciszy oczekujących, aż zajmie miejsce. Jak państwowe godło w sądzie, za ich plecami na ścianie wisiała kolorowa plansza anatomiczna – symbol ich prywatnego prawa.

– To ja jestem ojcem – powtórzył poirytowany. W jego głosie pojawił się ton zagrożenia.

– Tak, w porządku – odparł środkowy lekarz, który wyczuwając w głosie Ptaka agresywną nutę przyjął postawę obronną. (Był to dyrektor szpitala, ten, co mył wtedy ręce koło jego cierpiącej żony.) Ptak patrzył na niego i czekał, co powie. Ale zamiast pospieszyć z wyjaśnieniami, dyrektor wyjął z kieszeni wymiętego lekarskiego fartucha fajkę i zaczął ją nabijać. Był to mężczyzna niski, baryłkowaty, otyły w stopniu nadającym mu wygląd żałośnie pompatyczny. Rozpięty poplamiony fartuch ukazywał pierś włochatą jak wielbłądzi garb; nie tylko jego górna warga i policzki, ale także zwisające u podbródka tłuste wole pokrywał zarost. Dyrektor nie miał czasu ogolić się dziś rano: od wczoraj walczył o życie dziecka. Ptak był oczywiście wdzięczny, ale jednocześnie odrobinę nieufny w stosunku do tego owłosionego mężczyzny w średnim wieku, który trzymał go w takim napięciu. Jak gdyby głęboko pod tą zarośniętą skórą czaiło się

z trudem poskromione śmiertelne niebezpieczeństwo usiłujące podnieść swój rozkudłany łeb.

W końcu łapą jak bochen dyrektor wyjął fajkę spomiędzy grubych warg i nagle spojrzął Ptakowi w oczy.

– Czy chce pan najpierw zobaczyć rzecz? – Jego potężny głos nie pasował do tego małego pokoju.

– Czy dziecko nie żyje? – zapytał Ptak kaszłąc. Przez chwilę dyrektor patrzył na niego podejrzliwie – że oto z góry zakłada zgon dziecka – ale wyraz podejrzliwości rozpląnął się w niewyraźnym uśmiechu.

– Ależ skąd – odparł. – Dziecko rusza się żwawo i krzyczy donośnie.

Westchnienie teściowej – głębokie, ponure – zabrzmiało jak mało subtelna aluzja. Albo kobieta była po prostu zmęczona, albo sygnalizowała Ptakowi głębię tragicznego trzęsawiska, w jakim grzęzli oboje z żoną. Jedno albo drugie.

– No więc... chce pan zobaczyć rzecz?

Młody lekarz siedzący po prawej stronie dyrektora wstał. Był to wysoki, chudy mężczyzna, z oczyma, które jakoś dziwnie zakłócały poziomą symetrię jego twarzy. Jedno oko było nerwowe i nieśmiałe, drugie pogodne. Ptak zaczął wstawać jednocześnie z nim, ale opadł z powrotem na krzesło stwierdziwszy, że to ładne oko jest szklane.

– Może mógłbym uzyskać przedtem jakieś informacje? – Ptak wydawał się coraz bardziej zagrożony: uczucie wstrętu wywołane określeniem „rzecz” – też dyrektor znalazł słowo! – w dalszym ciągu tkwiło w jego podświadomości.

– Tak chyba rzeczywiście będzie lepiej. Widok jest szokujący. Sam byłem zaskoczony, jak to zobaczyłem. – Całkiem nieoczekiwanie grube powieki mu poczerwieniały i dyrektor wybuchnął dziecinnym chichotem. Ptak wyczuwał jakąś podejrzaną obecność czającą się głęboko pod jego owłosioną skórą i teraz już wiedział, że był to właśnie ten chichot, który zamanifestował się początkowo

niewyraźnym uśmiechem. Spojrzał z wściekłością na chichoczącego doktora, zanim się zorientował, że to po prostu objaw zakłopotania. Ten człowiek wyjął spośród nóg czyjejs żony potworka nie dającego się w żaden sposób sklasyfikować. Potworek na przykład z kocią głową i ciałem rozdętym jak balon? Obojętne zresztą, czym był ten stwór, dyrektor czuł się zażenowany samym faktem uczestnictwa w jego narodzinach i z tego powodu chichotał. Jego zachowanie, zgoła nie licujące z powagą doświadczonego położnika i dyrektora szpitala, przywodziło na myśl szarlatana z taniej farsy. Najpierw był przerażony, potem zakłopotany, a teraz odczuwał wstyd.

Ptak bez ruchu czekał, aż dyrektorowi minie atak śmiechu. Potwór. Ale jakiego rodzaju? „Rzecz” – powiedział dyrektor, a Ptak usłyszał „potwór”; ciernie, którymi najeżone było to słowo, szarpały mu wnętrzności. Przedstawiając się powiedział: „To ja jestem ojcem”, a lekarze spojrzeli po sobie, bo w ich uszach musiało zabrzmieć coś zgoła innego: To ja jestem ojcem potwora.

Dyrektor opanował się szybko i odzyskał dawną ponurą godność. Ale lekkie zaróżowienie powiek i policzków zostało. Ptak odwrócił się usiłując pohamować przyływ złości i strachu i powiedział:

– A co w nim jest takiego zaskakującego?

– Pan ma na myśli wygląd, tak? Jak ono wygląda? Jakby miało dwie głowy! Zna pan tę rzecz Josefa Wagnera *Pod dwugłowym orłem*? No, w każdym, razie widok jest szokujący. – Dyrektor o mało nie zaczął chichotać od nowa, ale zdołał się w porę powstrzymać.

– Coś w rodzaju bliźniąt syjamskich? – zapytał Ptak nieśmiało.

– Nic podobnego, robi wrażenie, jakby miało dwie głowy. Chce pan zobaczyć?

– A z medycznego punktu widzenia... – Ptak zawahał się.

– My to nazywamy przepukliną mózgową. Po prostu defekt czaszki i mózg wydostaje się na zewnątrz. Założyłem tę klinikę zaraz

po ślubie i to jest pierwszy tego rodzaju przypadek w mojej praktyce. To się zdarza wyjątkowo rzadko. Muszę panu powiedzieć, że byłem naprawdę zdumiony.

Przepuklina mózgowa – Ptak na próżno szukał w wyobraźni jakichś skojarzeń, czegokolwiek – miał kompletną pustkę.

– Czy jest nadzieja, że dziecko z przepukliną mózgową będzie się rozwijało normalnie? – spytał w oszołomieniu.

– Normalnie! – Dyrektor podniósł głos, jakby był zły. – Przecież to przepuklina mózgowa! Można by otworzyć czaszkę i wepchnąć mózg z powrotem, ale i w tym wypadku nie należy oczekiwać niczego więcej, jak – w najlepszym razie – organizmu na poziomie rośliny. A właściwie co pan dokładnie rozumie przez „normalnie”? – Dyrektor pokiwał głową w stronę siedzących po obu jego bokach lekarzy, jak gdyby ubolewał nad brakiem rozsądku Ptaka. Doktor ze szklanym okiem szybko skinął głową na znak, że się z nim zgadza, podobnie zresztą jak i drugi lekarz – milcząca postać z twarzą obciągniętą od wysokiego czoła po szyję jednym pozbawionym wyrazu kawałkiem ziemistej skóry. Obaj obrzucili Ptaka pełnym potępienia spojrzeniem profesorów oblewających studenta na egzaminie.

– Ozy dziecko zaraz umrze? – zapytał Ptak.

– Nie, zaraz nie. Może jutro, a niewykluczone, że pożyje dłużej. To wyjątkowo silny noworodek – zauważył z zawodową rzeczowością dyrektor. – Co pan w tej sytuacji zamierza zrobić?

Sromotnie zawstydzony, jak skarcony szczeniak, Ptak milczał. A cóż on może zrobić? Najpierw zapędzili go w ślepy zaułek, a potem pytają, co ma zamiar zrobić. Jak złośliwy partner w szachach. Co w tej sytuacji powinien zrobić? Paść na kolana? Wybuchnąć szlochem?

– Jeśli pan chce, mogę załatwić przeniesienie dziecka do kliniki uniwersyteckiej, oczywiście o ile pan sobie tego życzy! – Ta propozycja zabrzmiała jak zagadka kryjąca pułapkę. Ptakowi, który usiłował dostrzec coś poprzez mgłę podejrzliwości i któremu nic a

nic nie przychodziło do głowy, pozostała jedynie bezsensowna ostrożność.

– Jeżeli nie ma innych możliwości...

– Żadnych – odparł dyrektor. – Ale przynajmniej będzie pan spokojny, że zrobił pan wszystko.

– A czy nie można by po prostu zostawić dziecka tutaj?

I Ptak, i trzech lekarze w osłupieniu wlepili oczy w autorkę tego nieoczekiwanego pytania. Teściowa Ptaka siedziała nieporuszona, jak najsmutniejszy brzuchomówca świata. Dyrektor przyglądał jej się okiem szacującego kupca. W końcu odezwał się w sposób bardzo brzydki – tak jawnie umywał ręce:

– To niemożliwe! Proszę nie zapominać, że mamy do czynienia z przepukliną mózgową. To absolutnie niemożliwe! – Kobieta wysłuchiwała tego nawet nie drgnąwszy, z twarzą w dalszym ciągu wtuloną w rękaw kimona.

– Wobec tego przeniesiemy dziecko do kliniki – oświadczył Ptak. Dyrektor skwapliwie podchwycił tę decyzję, przejawiając niezwykle wprost talent organizacyjny. Kiedy jego dwaj podwładni opuścili gabinet z poleceniem skontaktowania się z kliniką uniwersytecką i załatwienia karetki, ponownie nabił fajkę i powiedział z ulgą, jakby zrzucił z siebie wielki ciężar:

– Wyślę kogoś z naszych ludzi z dzieckiem, może pan być spokojny, że dostarczymy je tam bezpiecznie.

– Dziękuję bardzo.

– Byłoby najlepiej, gdyby świeżo upieczona babcia została tutaj z córką. A pan niech idzie do domu się przebrać. Karetka nie przyjedzie wcześniej jak za pół godziny.

– Chyba rzeczywiście tak zrobię – odrzekł Ptak. Dyrektor nachylił się i zaczął mu szeptać do ucha z przesadną poufałością, jakby chciał opowiedzieć pieprzmy dowcip:

– Oczywiście może się pan nie zgodzić na operację, jeśli pan uzna za stosowne.

Biedne maleństwo! – pomyślał Ptak.

Że też pierwszą osobą, którą moje dziecko spotkało na świecie, musiał być właśnie ten mały kudłaty tłuścioch.

Ptak był w dalszym ciągu oszołomiony: uczucia złości i smutku przysły, zanim zdążyły się skryształizować.

Wraz z teściową i dyrektorem poszli w milczeniu do izby przyjęć unikając nawzajem swoich spojrzeń. Przy wyjściu Ptak odwrócił się, żeby powiedzieć do widzenia. Teściowa popatrzyła na niego oczyma bliźniaczo podobnymi do oczu jego żony; próbowała coś powiedzieć. Ptak czekał. Ale kobieta patrzyła tylko na niego w milczeniu, a jej ciemne oczy zwięzały się stopniowo, aż straciły jakikolwiek wyraz. Ptak rozumiał jej dość specyficznego rodzaju wstyd: jakby stała nago na ruchliwej ulicy. Ale cóż mogło przyprawić ją o taki wstyd, że aż pozbawił oczy życia, a twarz wszelkiej barwy? Ptak pierwszy odwrócił wzrok i spytał dyrektora:

– Czy to jest chłopiec, czy dziewczynka? – Zaskoczony doktor stracił czujność i pozwolił sobie znów na idiotyczny cichy chichot. Tonem młodego internisty odpowiedział:

– Zaraz... nie pamiętam... ale tak, chyba widziałem... tak, oczywiście widziałem penis!

Ptak wyszedł przed szpital. Deszcz już przestał padać i wiatr ucichł; żeglujące po niebie chmury były świetliste, suche. Z mrocznego kokona świtu wyklął się piękny ranek, pachniało cudownie wczesnym latem i Ptak poczuł odprężenie we wszystkich mięśniach. W szpitalu panowała jeszcze nocna pomroka, więc światło poranka, odbijając się od mokrego chodnika i liści dźgało jak sople lodu jego wydelikaczone oczy. Przedzieranie się przez to światło na rowerze przypominało balansowanie na krawędzi trampoliny; Ptak czuł się oderwany od podłoża, odizolowany, drętwy – słaby insekt nadziany na żądło skorpiona.

„Możesz zajechać na tym rowerze do nieznanej krainy i na setki dni pograżyć się w alkoholu” – usłyszał głos wątpliwego objawienia. Podskakując na wybojach, skąpany w świetle dnia, czekał, aż głos odezwie się ponownie. Ale panowała cisza. Ospale, jak leniwiec, zaczął pedałowac...

Kiedy pochylony szukał we wnęce kuchennej nad telewizorem czystej bielizny, spojrzal nagle na własne ramie i stwierdzil, ze jest nagi. Szybko, jak gdyby ścigał wzrokiem umykającą mysz, zerknął na swoje genitalia: oblał go rumieniec wstydu. Pospiesznie włożył bieliznę, wciągnął spodnie i koszulę. Nawet teraz stanowił ogniwo w łańcuchu hańby łączącym jego teściową z dyrektorem. Wiecznie zagrożone, wątłe, niedoskonałe ludzkie ciało – jakież jest wstydlive! Drżąc, z oczyma wbitymi w podłogę, Ptak uciekał z mieszkania, uciekał po schodach, uciekał przez sień, a na koniec dosiadł roweru – by jak najprędzej uciec od tego wszystkiego. Najchętniej uciekłyby od własnego ciała. Pędząc na rowerze czuł, że ucieka od siebie skuteczniej niż na piechotę, choć i tak z nikłym efektem.

Gdy skręcał w szpitalny podjazd, zbiegał właśnie po schodach z czymś, co wyglądało na kosz do siana, człowiek w bieli, który przepchnął się następnie przez tłum do otwartej karetki. Miękka, słaba część natury Ptaka, ta, która chciała uciekać, próbowała spojrzeć na tę scenę z dystansu, jak gdyby dotyczyła ona kogoś obcego, przypadkowego przechodnia. Cóż mógł jednak zrobić – zbliżał się powoli: jak kret przekopywał się przez wymaginowany wał ziemny pokonując silny, gliniasty opór.

Zsiadł z roweru i właśnie zamykał na łańcuch przednie koło, kiedy przeszył go od tyłu głos przerażający w swoim potępieniu.

– Tu nie wolno zostawiać rowerów!

Ptak odwrócił się i spojrzal w pełne nagany oczy kudłatego dyrektora. Zarzucił sobie rower na ramie i odszedł w stronę pobliskich krzewów. Stożące na liściach aralii krople deszczu zrosiły mu kark i pociekły po plecach. Normalnie by go to zirytowało; tym razem nawet nie mrugnął okiem. Cokolwiek go teraz spotykało, było

częścią nieuniknionego planu, któremu musiał się poddać bez protestów.

Wychynał spośród krzewów z butami utyłanymi w błocie. Dyrektor jak gdyby pożałował swojej szorstkości, otoczył go krótkim, pulchnym ramieniem i prowadząc w stronę karetki powiedział z emfazą, jakby mu zdradzał jakiś rewelacyjny sekret:

– To był chłopiec! Mówiłem, że widziałem penis!

Jednooki lekarz i anestezjolog siedzieli już w ambulansie, a między nimi stał kosz i butla tlenowa. Plecy anestezjologa zasłaniały zawartość kosza. Ale delikatny syk tlenu ulatującego bąbelkami do flaszki z wodą brzmiał jak sygnał z ukrytego nadajnika. Ptak usiadł naprzeciwko nich, niepewnie, bokiem, na ławeczce, na której leżały brezentowe nosze. Poprawiając się na niewygodnym siedzeniu wyjrzał przez okienko karetki i – zadrżał. We wszystkich oknach na drugim piętrze i nawet na balkonie lśniły bielą w porannym słońcu świeżo wymyte twarze przyglądających mu się ciężarnych kobiet, które dopiero co powstawały z łóżek. Miały na sobie powiewne nylonowe koszule, czerwone albo w różnych odcieniach błękitu, a te na balkonie, którym koszule powiewały u kostek, wyglądały jak zastęp płasających w powietrzu aniołów. Ptak wyczytał w ich spojrzeniach ożywienie, oczekiwanie, a nawet radość; spuścił oczy. Syrena zaczęła wyc i karetka pogotowia ruszyła. Ptak wsparł się nogami o podłogę, żeby nie spaść z ławki, i pomyślał: Och, ta syrena! Dotychczas zawsze syrena była czymś niestałym: nadlatywała z oddali i przemknawszy błyskawicznie znikła. Teraz towarzyszyła Ptakowi jak choroba, którą w sobie nosił: ta syrena już nigdy go nie opuści.

– Wszystko będzie dobrze – rzekł doktor ze szklanym okiem zwracając się do Ptaka. W jego tonie była lekka, ale wyczuwalna nuta protekcyjności; w jej temperaturze Ptak o mało się nie rozpuścił jak cukierek.

– Dziękuję – mruknął. Jego bierność usunęła cień wahania, jaki pojawił się w zdrowym oku doktora, który wyraźnie umocniony w swoim autorytecie rzucił bez ogródek:

– To rzeczywiście rzadki przypadek, ja się też po raz pierwszy z czymś takim spotkałem. – Doktor skinął głową pod adresem własnych słów, a następnie dał zręcznego kroka przez całą szerokość kołyszącej karetki i usiadł obok Ptaka. Zdawał się nie zauważać, jak niewygodna jest ławka z leżącymi na niej noszami.

– Czy jest pan specjalistą od spraw mózgowych? – zapytał Ptak.

– Ach, nie, ja jestem położnikiem. – Doktor nie musiał już właściwie dodawać żadnych wyjaśnień, tak drobne nieporozumienie w najmniejszym nawet stopniu nie mogło zagrażać jego prestiżowi. – W naszym szpitalu nie ma specjalistów od spraw mózgowych. Ale objawy są zupełnie jednoznaczne: nie ulega wątpliwości, że to przepuklina mózgowa. Oczywiście moglibyśmy powiedzieć więcej, gdybyśmy pobrali płyn rdzeniowy z guza. Ale to bardzo ryzykowne, bo można przy tym nakłuć sam mózg. I dlatego wolimy przenieść dziecko do tamtej kliniki. Jak już panu mówiłem, specjalizuję się w położnictwie, ale to dla mnie wielkie szczęście, że się zetknąłem z przypadkiem przepukliny mózgowej. Mam nadzieję, że będę obecny przy sekcji. Bo pan wyrazi zgodę na sekcję, prawda? Rozumiem, że ta rozmowa może być dla pana przykra, ale niech pan spróbuje spojrzeć na sprawę od innej strony. W medycynie istnieje stały postęp. Może sekcja, której dokonamy na pańskim synu, pozwoli nam uratować następane dziecko z przepukliną mózgową. A poza tym, jeśli mam być szczery, byłoby lepiej i dla dziecka, i dla państwa, gdyby ono umarło. Niektórzy przejawiają w tych sprawach dziwny optymizm, ale mnie się wydaje, że im szybciej ono umrze, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych. Nie wiem, może to kwestia pokolenia. Ja się urodziłem w 1935 roku, a pan?

– Też coś koło tego – odparł Ptak nie będąc w stanie przestawić się szybko na kalendarz zachodni. – Czy ono cierpi?

– Kto, nasze pokolenie?

– Nie, dziecko!

– To zależy, co rozumiemy przez cierpienie. Dla mnie to znaczy, że nie widzi, nie słyszy, nie ma powonienia. A w tej sytuacji jestem przekonany, że nie funkcjonują również nerwy sygnalizujące ból. Ono jest, jak się wyraził dyrektor, na poziomie rośliny. Czy w pana pojęciu roślina zdolna jest do cierpienia?

Czy w moim pojęciu roślina jest zdolna do cierpienia? – zastanawiał się w duchu Ptak. Czy kiedykolwiek na widok kozy żującej kapustę przyszło mi do głowy, że roślina może odczuwać ból?

– Czy pan uważa, że dziecko będące w sensie rozwoju na poziomie rośliny może cierpieć? – powtórzył natarczywie doktor, śmiało domagając się odpowiedzi.

Ptak z rezygnacją potrząsnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że rozstrzygnięcie tego problemu przekracza możliwości jego biednego nadwerężonego umysłu. A był czas, że nigdy by nie uznał autorytetu kogoś takiego jak ten świeżo poznany człowiek, w każdym razie nie bez pewnego oporu...

– Jest coś niedobrze z dopływem tlenu – zameldował anestezjolog. Doktor wstał, żeby sprawdzić gumową rurkę; Ptak miał po raz pierwszy okazję spojrzeć na swojego syna.

Brzydki noworodek z wynędzniała, czerwona, pokryta zmarszczkami twarzą, całą w tłustych plamach. Oczy dziecka były zaciśnięte jak muszle małży, do nosa prowadziły dwie gumowe rurki, a uchylona w bezgłośnym krzyku buzia ukazywała perłoworóżową błonę wewnątrz jamy ustnej. Ptak uniósł się na ławce i wyciągnął szyję, żeby móc lepiej spojrzeć na zabandażowaną głowę dziecka. Warstwa skrwawionej waty pod bandażem nie była w stanie ukryć czegoś wielkiego i nienormalnego.

Ptak odwrócił się i usiadł. Przyciskając twarz do szyby patrzył na umykające przed karetką miasto. Ludzie na ulicach, zaalarmowani syreną, gapili się na ambulans z wypisanym na twarzach wyrazem ciekawości i nieuzasadnionego oczekiwania – dokładnie tak samo jak zastęp ciężarnych aniołów w szpitalu. Przypominali

zatrzymany nagle kadr z filmu. Na widok minimalnej rysy powstałej w gładkiej powierzchni codziennego życia odczuwali naiwną zgrozę.

Mój syn ma zabandażowaną głowę jak Apollinaire, który został ranny na polu bitwy. Na ciemnym, samotnym polu bitwy, którego nigdy nie widziałem, mój syn odniósł ranę jak Apollinaire i teraz krzyczy bezgłośnie...

Ptak zaczął płakać. Głowa w bandażach, jak u Apollinaire: ten obraz natychmiast uporządkował jego uczucia, nadając im określony kierunek. Czuł, że zamienia się w cikliwą galaretę, a mimo to uważał się za usprawiedliwionego – znajdował nawet w swoich łzach pewną przyjemność.

Jak Apollinaire, mój syn został ranny na ciemnym, samotnym polu bitwy, którego nigdy nie widziałem i z którego wrócił z obandażowaną głową. Będę musiał pogrzebać go jak poległego żołnierza.

Ptak nie przestawał płakać.

III

Siedział na schodach przed specjalnym oddziałem dziecięcym i walcząc ze zmęczeniem, które nie opuszczało go od chwili, gdy mu obeschły łzy, obejmował uda brudnymi rękami. Podniósł się na widok jednookiego doktora, który właśnie z niezadowoloną miną wyszedł z drzwi wiodących na oddział.

– Ten szpital jest tak koszmarnie zbiurokratyzowany, że nawet pielęgniarki nie chcą słuchać, co się do nich mówi. – Od czasu kiedy wysiedli z karetki pogotowia, w tym człowieku zaszła zaskakująca zmiana: w jego głosie brzmiała troska. – Mam list polecający od naszego dyrektora do jednego z tutejszych profesorów – są dalekimi krewnymi – i nawet nie mogę się dowiedzieć, gdzie on jest!

Ptak zrozumiał teraz nagle zniechęcenie doktora: tutaj na tym oddziale wszystkich traktowano jak dzieci – młody człowiek ze szklanym okiem poczuł się zagrożony prestiżowo.

– A co z dzieckiem? – zapytał, zdziwiony nutą litości w swoim głosie.

– Z dzieckiem? Aha, dopiero wtedy będziemy wiedzieli, na czym stoimy, jak neurochirurg skończy badanie. O ile dziecko je w ogóle przetrzyma. Jeśli nie, wszystko wyjaśni sekcja zwłok. Nie sądzę, żeby pożyło dłużej jak dzień; niech pan tu wpadnie jutro około trzeciej po południu. Ale ostrzegam: ten szpital jest potwornie zbiurokratyzowany, nie wyłączając pielęgniarek!

Jak gdyby na znak, że ma już dosyć pytań, doktor wznosił do nieba oboje oczu – zdrowe i szklane – i odszedł. Ptak ruszył za nim jak praczek, z pustym koszykiem pod pachą. Na korytarzu wiodącym do głównego skrzydła dołączyli do nich kierowca karetki i anestezjolog. Ci dwaj strażacy najwyraźniej od razu zauważyli, że doktora opuściła dawna jowialność. Sami też zresztą nie zachowali nic ze swojej poprzedniej maski: kiedy pędzili karetką przez sam środek miasta, jakby jechali ciężarówką przez puste pola, i z ostentacyjnym wyciem syreny przeskakiwali światła, które obowiązywały praworządnych obywateli, nadawało im to jakąś szczególną stoicką godność. Ale teraz to się skończyło. Z tyłu, stwierdził Ptak, dwaj strażacy byli podobni do siebie jak identyczne bliźnięta. Już nie młodzi, obaj średniego wzrostu i tuszy, łysieli w ten sam sposób.

– Tlen jest potrzebny od samego rana do późnej nocy – powiedział jeden z nich z naciskiem.

– Tak, zawsze to mówiłem – z takim samym naciskiem odpowiedział drugi.

Jednooki doktor zignorował tę wymianę zdań. Ptak, którego to w gruncie rzeczy nie obchodziło, rozumiał, że mężczyźni podsycają nawzajem swoje niezadowolenie, ale kiedy ze współczuciem skinął głową, człowiek obsługujący butlę z tlenem zeszywniał, jakby mu

zadano pytanie, i nerwowo mruknawszy „hę?” zmusił go do mówienia. Ptak, zbity z tropu, zapytał:

– Zastanawiam się, czy w drodze powrotnej też panowie mogą jechać na syrenie i przeskakiwać światła?

– W drodze powrotnej? – Jak duet cudownych bliźniąt, chluba całej straży pożarnej, mężczyźni powtórzyli pytanie unisono, wymienili spojrzenia i zaczerwieniem jak pijacy, rozdymając chrapy, parsknęli śmiechem. Ptaka w tym samym stopniu zezłościło własne głupie pytanie, co odpowiedź strażaków. A jego złość była połączona cieniutką rurką ze zbiornikiem potężnej, czarnej wściekłości, która nie znajdując żadnego ujścia, gromadziła się w nim pod coraz większym ciśnieniem od świtu.

Strażacy jakby się zreflektowali; zrobiło im się wstyd, że tak głupio wyśmieli nieszczęsnego młodego ojca, a ich oczywiste zmieszanie zamknęło ujście furii Ptaka. Poczł nawet coś w rodzaju skrupułów. Przede wszystkim kto zadał to idiotyczne, niepoważne pytanie? I czy nie wyciekło ono przez jakąś szczelinę powstałą w jego własnym mózgu, umarynowanym w occie rozpaczy i niewyspania?

Ptak zajrzał do kosza, który trzymał pod pachą. Przypominał on teraz niepotrzebnie wykopany pusty dół. Pozostał w nim tylko złożony kocyk, trochę waty i zwitek gazy. Krew na wacie i gazie, choć miała jeszcze barwę żywej czerwieni, nie kojarzyła się już z widokiem dziecka z obandażowaną głową, leżącego tam niedawno i wdychającego po troszeczkę tlen przez wetknięte w dziurki od nosa gumowe przewody. Ptak nie potrafił nawet uzmysłwić sobie dokładnie całej groteskowości jego główki czy połyskliwej warstwy tłuszczu powlekającej ognistą skórę. Już teraz dziecko oddalało się od niego z zawrotną szybkością. Nie bez poczucia winy odczuł ulgę, a zarazem bezbrzeżny strach. Pomyślał: wkrótce zupełnie zapomnę o dziecku o życiu, które wyłoniło się z ciemności i przetrwało dziewięć miesięcy jako płód po to tylko, by zakosztować kilku godzin cierpienia i z powrotem osunąć się w ciemność, ostateczną i bezkresną. Nie zdziwiłbym się, gdybym już w tej chwili o nim zapomniał. A kiedy mnie przyjdzie umierać, może sobie przypomnę i wtedy ta pamięć,

zwiększając mękę strachu przed śmiercią, pozwoli mi wypełnić nikłą częśćkę mojej ojcowskiej powinności.

Ptak i towarzyszący mu mężczyźni doszli do głównych drzwi. Strażacy pobiegli na parking. Z racji swego zawodu zawsze mieli do czynienia z nagłymi wypadkami, więc ciągły pośpiech musiał wyrażać ich normalny stosunek do życia. Pomknęli przez lśniący betonowy plac młóćąc rękami, jakby im deptało po piętach stado wygłodniałych diabłów. Tymczasem jednooki doktor zadzwonił z budki do swojego szpitala i poprosił dyrektora do telefonu. Wyjaśnił sytuację w kilku słowach – niewiele było do powiedzenia. Do telefonu podeszła teściowa Ptaka.

– Matka pana żony – rzekł doktor odwracając się. – Chce pan z nią rozmawiać?

Za skarby! – miał ochotę krzyknąć Ptak. Od czasu tych ciągłych rozmów telefonicznych dźwięk jej głosu w słuchawce, przypominający bezradne brzęczenie komara, prześladował Ptaka obsesyjnie. Postawił koszyk na betonie i niechętnie wziął słuchawkę.

– Neurochirurg jeszcze nie zbadał dziecka. Mam przyjść jutro po południu.

– I po co to wszystko, czego ty się w ogóle spodziewasz? – Teściowa przypierała go do muru tonem, którego mogła mu być oszczędzić, jak gdyby obarczała go bezpośrednią odpowiedzialnością za to, co się stało.

– Po to, że przypadkowo dziecko jeszcze żyje – rzekł Ptak i w przeczuciu niesmaku, który go zaraz ogarnie, czekał, aż kobieta znów się odezwie. Ale ona milczała, z tamtej strony dochodził tylko brzemienisty troską oddech.

– Zaraz tam będę i wszystko wyjaśnię – powiedział Ptak i chciał odwieść słuchawkę.

– Halo? Nie, nie przyjeżdżaj – dodała pośpiesznie teściowa. – To dziecko wierzy, że zabrałeś maleństwo do kliniki kardiologicznej. – Jak tu przyjedziesz, nabierze podejrzeń. Przyjdź lepiej jutro, jak ona

będzie spokojniejsza, i wtedy powiesz, że dziecko umarło na serce. Będziemy w kontakcie telefonicznym.

– Pojadę teraz na uczelnię i zawiadomię o tym, co się stało – mówił właśnie, kiedy usłyszał trzask przerwane połączenia. A więc i ona miała dość jego głosu. Odłożył słuchawkę i podniósł koszyk z ziemi. Jednooki doktor siedział już w karetkce. Ptak, zamiast sam wsiąść, postawił koszyk na noszach.

– Dziękuję za wszystko. Ja już sobie sam wrócę.

– Pan wraca do domu sam? – zapytał doktor.

– Tak – odparł Ptak mając na myśli, że w ogóle chce być sam. Musi zawiadomić o wszystkim teścia, ale potem będzie wolny. Perspektywa wizyty u profesora, w porównaniu z powrotem do żony i teściowej, wydawała się przyjemnością o charakterze czysto terapeutycznym.

Doktor zamknął drzwi i karetka oddaliła się cicho, przestrzegając ograniczenia szybkości, jak potwór pozbawiony teraz siły i głosu. Przez to samo okno, przez które godzinę wcześniej płacząc spoglądał na przechodniów, Ptak widział teraz doktora i jednego ze strażaków nachylającego się ku kierowcy. Wiedział, że plotkują o nim i o jego dziecku, ale było mu to obojętne. Efektem rozmowy telefonicznej z teściową był nieoczekiwany urlop, czas, który mógł spędzić sam, w dowolny sposób – na myśl o tym poczuł przypływ zdrowej, świeżej krwi.

Ruszył przez szpitalny dziedziniec, szeroki i długi jak boisko piłki nożnej. W połowie drogi odwrócił się i spojrzał na budynek, w którym właśnie zostawił swoje pierwsze dziecko, walczące ze śmiercią niemowlę. Wielki gmach, imponujący jak fort. Lśnił w promieniach letniego słońca, a kwilące w jednym z jego mrocznych zakamarków maleństwo wydawało się czymś pośledniejszym od ziarenka piasku.

Jeśli jednak przyjdę jutro, mogę się zgubić w labiryncie tego nowoczesnego fortu i błądząc w oszołomieniu nigdy nie znaleźć mego

umierającego albo już zmarłego dziecka. Ta myśl oddaliła Ptaka o krok od jego tragedii. Wyszedł przez główną bramę i pospieszył ulicą.

Przedpołudnie: najradośniejsza pora dnia wczesnym latem. Wiatr, który przywodził na myśl wycieczki z pierwszych szkolnych lat, wzbudził przyjemne mrowienie w policzkach i uszach Ptaka, rozpalonych z niewyspania. Komórki nerwowe w jego skórze – im dalej znajdowały się od ośrodków świadomych zahamowań psychicznych – tym bardziej łakomie chłoneły uroki pory dnia i roku. Wkrótce doszło do głosu poczucie wyzwolenia.

Zanim pójde do teścia, umyję się i ogolę! Wszedł do pierwszego napotkanego po drodze zakładu. Fryzjer, mężczyzna w średnim wieku, wskazał mu krzesło jak najzwyczajszemu w świecie klientowi. Nie dostrzegł w nim żadnych symptomów nieszczęścia. Ptak zaś, stając się tym, kim widział go ów człowiek, wyzbywał się swego smutku i lęków. Zamknął oczy. Na policzkach i brodzie poczuł gorący, wilgotny ręcznik, pachnący środkiem dezynfekcyjnym. Wiele lat temu oglądał zabawny skecz: młody chłopak, uczeń w zakładzie fryzjerskim, nie mogąc utrzymać w rękach zbyt gorącego ręcznika, bez namysłu chlasnął nim klienta w twarz. Od tamtej pory Ptak śmiał się zawsze, ilekroć nakrywano mu twarz ręcznikiem. Stwierdził, że nawet teraz się uśmiecha. Tak, ale tego już było za wiele! Wzdrygnął się strząsając uśmiech z twarzy i z poczuciem winy zaczął myśleć o dziecku.

Śmierć dziecka będącego na poziomie rośliny – rozpatrywał upośledzenie swego syna od strony najbardziej dla siebie bolesnej. Przecież śmierci dziecka z funkcjami życiowymi rośliny nie może towarzyszyć cierpienie. Zgoda, więc cóż oznacza dla takiego dziecka śmierć? Czy choćby życie? Zalążek istnienia, który pojawił się w płaszczyźnie nicości rozciągającej się na przestrzeni milionów lat i rozwijał się tam przez dziewięć miesięcy. Oczywiście embrion pozbawiony świadomości – po prostu zwinięty w kulkę istniał wypełniając sobą całkowicie ciepły, mroczny, śluzowaty świat. A zaraz potem – niebezpieczny świat zewnętrzny – zimny i twardy, chropowaty, suchy i przeraźliwie widny, którego już nie mógł sobą wypełnić: musiał go

dzielić z niezliczoną ilością obcych istot. Ale dla dziecka na poziomie rośliny to przebywanie w świecie zewnętrznym sprowadzi się do kilku godzin tajemnego cierpienia, zupełnie niezrozumiałego. Potem – jeden unicestwiający moment i znów ta sama płaszczyzna nicości, ciągnąca się na przestrzeni milionów lat. A jeśli sąd ostateczny istnieje? Wśród jakiej kategorii zmarłych zostanie powołane przed sąd, oskarżone i skazane dziecko o biologicznych jedynie funkcjach życiowych, które zmarło zaraz po urodzeniu? Zaledwie kilka godzin na świecie, spędzonych na płaczu, z językiem trzepoczącym w rozwartych perłoworóżowych ustach – czy znalazłby się sędzia, który by to uznał za dostateczny dowód winy? To żaden dowód! Ptak spazmatycznie łapał oddech, zdjęty strachem, który rósł z każdą chwilą. Mógłbym zostać wezwany na świadka i nie potrafiłbym poznać mojego własnego syna inaczej jak po tej narośli na głowie. Poczul ostry ból w górnej wardze.

– Proszę siedzieć spokojnie! Zaciałem pana – syknął fryzjer opierając mu brzytwę na nosie i zaglądając w twarz. Ptak dotknął wargi czubkiem palca. Na widok krwi zrobiło mu się niedobrze. Miał grupę A, podobnie jak żona. Ta odrobina krwi, która krążyła w ciele jego umierającego dziecka, też miała prawdopodobnie grupę A. Schował rękę pod białą serwetkę i znów zamknął oczy. Fryzjer powoli, ostrożnie wygolił miejsce dokoła skaleczenia, a następnie w pośpiechu, bezceremonialnie, jakby usiłował nadrobić stracony czas, ogolił mu policzki i brodę.

– Myjemy głowę?

– Nie, nie trzeba.

– Ma pan we włosach pełno kurzu i trawy – usiłował go przekonać fryzjer.

– Wiem, przewróciłem się wczoraj wieczorem. – Wstając z krzesła Ptak rzucił okiem na swoją twarz w lustrze, które iskrzyło się jak plaża w południe. Włosy miał rzeczywiście zmierzwiłone, sztywne jak wysuszona słoma, ale twarz, od wystających kości policzkowych do brody, jaśniała świeżą różowością, jak brzuch tęczowego pstrąga.

Gdyby tylko te oczy koloru kleju zabłyśły światłem, gdyby napięte powieki rozluźniły się nieco, a cienkie wargi przestały drgać, byłby to znacznie młodszy i żywszy Ptak niż na wizerunku, jaki ukazała poprzedniego dnia szyba wystawowa.

Wstąpienie do fryzjera okazało się dobrym pomysłem: odniósł jedną niewatpliwą korzyść – przynajmniej częściowo odzyskał poważnie zachwianą równowagę psychiczną. Jeszcze raz rzucił okiem na zaschniętą pod nosem krew przypominającą trójkątne znamię i wyszedł z zakładu. Zanim dotrze do uczelni, rumieniec, jaki brzytwa pozostawiła na jego policzkach, prawdopodobnie zblednie. Ale za to zdąży zdrapać paznokciem znamię zakrzepłej krwi: nie ma obawy, żeby zrobił na teściu wrażenie żalostnej łajzy. Rozglądając się za przystankiem autobusowym przypomniawszy sobie o zaskórniaku, który miał w kieszeni, i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Wysiadł prosto w tłum studentów, którzy wyroili się właśnie głównym wejściem na przerwę obiadową: było pięć po dwunastej. Zaczepił na dziedzińcu jakiegoś dryblasę i zapytał o zakład anglistyki. Ku jego zdumieniu twarz studenta rozjaśniła się uśmiechem i chłopak rzekł z nutką rozrzewnienia:

– Kawał czasu, sensei*! – Ptak był przerażony. – Pan mnie uczył na kursach przygotowawczych. Nie dostałem się na żadną z uczelni państwowych, więc mój stary ofiarował pewną sumę i zostałem tu przyjęty... że tak powiem, kuchennymi drzwiami:

– Aha, i teraz tu studiujesz? – rzekł Ptak z ulgą, przypominając sobie chłopaka. Chociaż w sumie niebrzydki, miał wybaluszone oczy i kartoflowaty nos, który przywodził na myśl niemieckich chłopów z ilustracji do *Bajek* Grimma.

– Wygląda na to, że kursy przygotowawcze nie na wiele ci się zdały – powiedział Ptak.

– Ależ skąd, sensei! Nauka nigdy nie idzie w las. Można wszystko zapomnieć, ale nauka to jednak nauka.

* Pierwotnie: mistrz, nauczyciel, dziś słowo wyrażające szacunek.

Ptak podejrzewał, że chłopak z niego szydzi, i obrzucił go ponurym spojrzeniem. Ale student całą swoją wielką postacią usiłował wyrazić życzliwość. Nawet w grupie liczącej setkę słuchaczy, uprzytomnił sobie Ptak, ten dał się poznać jako wyjątkowy matoł. Dlatego właśnie teraz z taką prostotą i niefrasobliwością chwali się przed nim, że dostał się na drugorzędną prywatną uczelnię kuchennymi drzwiami, i wyraża wdzięczność za naukę, która nie przyniosła mu żadnych korzyści. Każdy z pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu studentów unikałby podobnego spotkania.

– Przy tak wysokich opłatach za naukę miło mi to słyszeć.

– Ten wydatek opłacił się stokrotnie. Czy pan będzie tu wykładał?

Ptak potrząsnął głową.

– Och... – chłopak taktownie kontynuował rozmowę: – Zaraz... zaprowadzę pana do zakładu anglistyki; tędy, proszę. Ale naprawdę, sensei, niech mi pan wierzy, że pański trud na kursach przygotowawczych nie poszedł na marne. Ja te wszystkie wiadomości mam gdzieś w głowie, one mi się stopniowo utrwalają i potem jak znalazł. Po prostu tylko trzeba czekać na odpowiedni moment. A czyż to nie jest w końcowym efekcie najważniejsze, sensei?

Ptak, idąc za swoim byłym uczniem, nastrojonym tak optymistycznie i dydaktycznie zarazem, przeciął uliczkę wysadzaną drzewami w pełnym rozkwicie i znalazł się przed czerwono-beżowym budynkiem z cegły.

– Zakład anglistyki znajduje się na trzecim piętrze w głębi. Byłem tak szczęśliwy, jak się tu dostałem, że zwiedziłem dokładnie cały teren i teraz znam go jak własną kieszeń – powiedział chłopak z dumą i błysnął uśmiechem tak pełnym autoironii, że Ptak nie wierzył oczom.

– Głupio gadam, prawda?

– Wcale nie uważam.

– To bardzo miło z pana strony. Pewnie się jeszcze zobaczymy, sensei. Ale niech pan na siebie uważa, jest pan dość mizerny!

Wchodząc po schodach Ptak myślał: ten facet tysiąc razy sprytniej urządzi się w życiu niż ja, przynajmniej nie będzie płodził dzieci z przepukliną mózgową. Cóż za osobliwego moralistę miałem w swojej grupie!

Zajrzał do zakładu anglistyki przez uchylone drzwi i zobaczył teścia leżącego w dębowym fotelu na biegunach na małym balkoniku w drugim końcu pokoju i patrzącego w półotwarty świetlik. Gabinet robił wrażenie sali konferencyjnej; był znacznie większy i widniejszy niż podobne pomieszczenia na uniwersytecie, który skończył Ptak. Teść często mówił (opowiadał tę historię z przewrotnym upodobaniem, jak ulubiony kawał na swój temat), że na tej prywatnej uczelni, gdzie może liczyć na takie udogodnienia jak fotel na biegunach, traktują go znacznie lepiej niż na uniwersytecie państwowym. Ptak wiedział, że jest w tej historii coś więcej niż żart. Gdy słońce zaczynało mocniej przypiekać, wnosilo się fotel do pokoju albo osłaniało balkon markizą; jedno albo drugie.

Przy dużym stole koło drzwi trzej młodzi asystenci, z rumianymi twarzami lśnącymi od potu, pili kawę, najwyraźniej po posiłku. Wszystkich trzech Ptak znał z widzenia: byli to przodujący studenci ze starszego roku. Nic dziwnego, że zrobili lepszą karierę, skoro Ptak po incydencie z whisky zrezygnował z pracy na uczelni.

Zapukał do otwartych drzwi i wszedł pozdrawiając starszych kolegów, a następnie ruszył w stronę balkonu. Teść odwrócił się i z głową odrzuconą do tyłu zatrzymał fotel patrząc, jak Ptak się zbliża. Asystenci również patrzyli, wszyscy trzej z identycznymi nie wyrażającymi nic szczególnego uśmiechami. Wprawdzie uważali Ptaka za rzadki fenomen, ale jednocześnie jako ktoś z zewnątrz nie zasługiwał na poważniejsze zainteresowanie. Zabawny, dziwny facet, który bez żadnego wyraźnego powodu pił przez dłuższy czas, a w końcu odszedł z uczelni zaraz po dyplomie; coś w tym rodzaju.

– Profesorze! – powiedział Ptak z przyzwyczajenia nabytego jeszcze przed ślubem z jego córką. Teść odwrócił się razem z bujającym fotelem, którego bieguny zaskrzypiały, i wskazał mu krzesło obrotowe z długimi poręczami.

– Czy dziecko się urodziło? – zapytał.

– Tak, dziecko się urodziło. – Ptak drgnął na dźwięk własnego głosu, który przeszedł w cienki pisk, i zamilkł. A następnie z wysiłkiem dokończył jednym tchem: – Dziecko ma przepuklinę mózgową i lekarz mówi, że umrze jutro, pojutrze, matka czuje się dobrze!

Duża, lwia twarz profesora, zwykle koloru toffi, stopniowo zrobiła się cynobrowa. Nawet worki pod oczami nabrały żywszej barwy, jakby przepuszczały krew. Ptak czuł, jak sam się czerwieni. Znów sobie uświadomił, jak bardzo samotny i bezradny był od rana.

– Przepuklina mózgową... Widziałeś dziecko?

Ptak nawet w lekkiej chrypcie profesora wyczuł cień podobieństwa do głosu żony i głównie z tego powodu zrobiło mu się jej brak.

– Tak, widziałem. Miało głowę zabandażowaną jak Apollinaire.

– Jak Apollinaire... z głową w bandażach. – Profesor smakował te słowa na języku, jakby się zastanawiał nad puentą skromnego żartu. Kiedy się znów odezwał, zwrócił się raczej do asystentów niż do Ptaka: – W tym naszym wieku trudno doprawdy powiedzieć z całą pewnością, czy lepiej żyć, czy się w ogóle nie urodzić. – Trzej młodzi mężczyźni roześmieli się powściągliwie, ale wyraźnie. Ptak spojrział w ich stronę. Odwzajemnili mu się spojrzeniem, którego chłód miał oznaczać, że wcale ich to nie dziwi, iż podobny wybryk natury zdarzył się właśnie facetowi tak stukniętemu jak on. Ptak, urażony, wpatrywał się w swoje zabłocone buty.

– Zadzwoń, jak już będzie po wszystkim – rzekł.

Profesor milczał, kołysząc się w fotelu ledwie dostrzegalnie. Ptak pomyślał, że teść może w tej sytuacji uważać przyjemność, jaką

mu to zwykle sprawiało, za coś niewłaściwego. I on się nie odzywał. Czuł, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Czy będzie w stanie załatwić to tak czysto i po prostu, kiedy mu przyjdzie zawiadomić żonę? Nie ma mowy. Będą łzy, tysiące pytań, bezskuteczne próby szybkiego zakończenia rozmowy, suchość w gardle, uczucie rozsadzania głowy: wreszcie państwa Ptaków skuja razem pęta starganych nerwów.

– Ja już chyba pójdę; trzeba jeszcze podpisać w szpitalu różne papiery – powiedział w końcu.

– Ładnie z twojej strony, że przyszedłeś. – Profesor nie zrobił najmniejszego ruchu świadczącego o tym, że chce wstać. Ptak podniósł się, szczęśliwy, że go nie zatrzymują. – Tam w biurku jest butelka whisky, weź sobie – rzekł teść.

Ptak zeszywniał; wyczuł napięcie u trzech asystentów. Muszą przecież wiedzieć, równie dobrze jak profesor, o jego potwornym długotrwałym pijackim transie. Zdawał sobie sprawę, że ich oczy śledzą rozwój wypadków. Pełen wahania, przypomniał sobie fragment z angielskich wypisów, które przerabiał ze swoimi uczniami. Młody Amerykanin mówił ze złością: „Robisz mnie w konia? Szukasz guza?”

Mimo to schylił się, otworzył biurko i oburącz wyjął butelkę Johnny Walkera. Był purpurowy po białka oczu, a jednak odczuwał przewrotną, gorączkową radość. Każcie chrześcijaninowi podeptać krucyfiks i zaprzeć się wiary – możecie być pewni, że nie okaże wahania.

– Dziękuję – powiedział. Trzej asystenci odprężyli się. Profesor z głową wyprostowaną i twarzą w dalszym ciągu obwisłą, purpurową, powoli wracał z fotelem do poprzedniej pozycji. Ptak rzucił okiem w kierunku młodych ludzi, skłonił się szybko i wyszedł.

Zbiegł po schodach i wy dostał się na kamienne podwórko, cały czas ostrożnie trzymając butelkę whisky, jakby to był ręczny granat. Reszta dnia należała do niego – mógł ją spędzić, jak mu się spodoba.

Ta myśl zlała się w jego wyobraźni z wizerunkiem Johnny Walkera i rozplynęła w przeczuciu ekstazy i niebezpieczeństwa.

Jutro, pojutrze – a może będzie tydzień odroczenia – kiedy moja żona dowie się o śmierci tego biedactwa, zostaniemy razem wtrąceni w okrutny loch wspólnej nerwicy. Wobec tego – dyskutował Ptak z bełkotliwym głosem przeczucia – mam dziś pełne prawo do tej butelki whisky, do chwili zapomnienia. Spokojnie bełkot ucichł. Wspaniale! Zabieramy się do picia. Najpierw chciał iść do swojego mieszkania i wypić u siebie w gabinecie, ale pomysł był oczywiście głupi. Jak wróci do domu, stara gospodyni i przyjaciele obiegają go, jeśli nie osobiście, to telefonicznie, zasypując drobiazgowymi pytaniami o dziecko, a poza tym, ile razy zajrzy do sypialni, widok białej lakierowanej kołyski będzie mu szarpał nerwy jak drapieżny rekin. Gwałtownie potrząsając głową odrzucił tę myśl. A może by się zaszyć w tanim hoteliku, gdzie nie spotka nikogo znajomego? Ale Ptak wyobraził sobie siebie pijanego w zamkniętym hotelowym pokoju i ogarnął go lęk. Z zazdrością spoglądał na etykietę whisky, na której beztrósco kroczył Szkot w czerwonym żakiecie. Dokąd tak spieszył? Nagle Ptak przypomniał sobie swoją dawną sympatię. Zima czy lato, cały dzień potrafiła przeleżeć w zaciemnionym pokoju snując wysoce metafizyczne rozmyślenia i paląc jeden za drugim playersy, aż nad jej łóżkiem zawisał obłok migły. Nigdy nie wychodziła z domu przed zmierzchem.

Zatrzymał się przed samym wejściem na teren uczelni czekając na taksówkę. Przez duże okno baru kawowego po przeciwnej stronie ulicy widział swojego byłego ucznia siedzącego przy stoliku w towarzystwie kolegów. Chłopak zauważył go natychmiast i jak przymilny szczeniak zaczął mu dawać przyjazne, niezdarne znaki. Jego koledzy również patrzyli na Ptaka z bezceremonialnym zainteresowaniem. Ciekawe, co im powie. Że Ptak jest nauczycielem angielskiego, który przez picie odszedł z uczelni, człowiekiem pozostającym we władzy niezrozumiałej namiętności czy może potwornego lęku?

Student uśmiechał się wytrwale, dopóki Ptak nie wsiadł do taksówki. Odjeżdżając miał wrażenie, że otrzymał jałmużnę. I to od chłopaka, który przez cały czas nauki na kursach przygotowawczych nie potrafił dostrzec różnicy między rzeczownikiem odsłownym a imiesłowem czasu teraźniejszego, od swojego byłego ucznia o kurzym mózdzku.

Przyjaciółka Ptaka mieszkała na jednym z licznych wzgórz miasta, w dzielnicy otoczonej świątyniami i cmentarzami. Zajmowała sama mały domek na końcu niewielkiej uliczki. Wpadła mu w oko na wieczorku zapoznawczym, który odbył się na początku pierwszego roku studiów. Kiedy przyszła na nią kolej, żeby wstała i przedstawiła się kolegom, kazała im zgadywać, skąd się wzięło jej niezwykle imię: Himiko – dziecko-które-wypatrzyło-ogień. Ptak odpowiedział, prawidłowo, że z Kronik starożytnej prowincji Hago: „Cesarz wydał rozkaz wioślarzom: «Tam w dali płoną ognie-sygnaly; płyncie prosto na nie.»», Od tej pory Ptak i Himiko, dziewczyna z wyspy Kiusiu, zostali przyjaciółmi.

Na uniwersytecie, na którym studiowali, było bardzo mało dziewcząt, dosłownie garstka – na wydziałach humanistycznych. Poprzyjeżdżały do Tokio z różnych prowincji i wszystkie wkrótce po zrobieniu dyplomu w drodze szczególnej, bliżej nie określonej metamorfozy przedzierzgnęły się w monstra. Pewien procent komórek w ich ciałach ulegał stopniowemu przerostowi i tworzył deformacje; robiły się ociężałe, tępe, melancholijne. Zwykle okazywały się zupełnie nieprzystosowane do normalnego życia. Jeśli nawet wychodziły za mąż, z reguły się rozwodziły; jeśli podejmowały pracę, szybko je wyrzucano; jeżeli zaś nie robiły nic poza podróżowaniem, ulegały nedorzecznym w swojej makabryczności wypadkom samochodowym. Himiko Wkrótce po skończeniu studiów wyszła za mąż za kolegę z uczelni. Nie rozwiodła się; spotkało ją coś znacznie gorszego: po roku małżeństwa jej mąż popełnił samobójstwo. Teść podarował jej dom, w którym młodzi mieszkali, i co miesiąc dawał jej pieniądze na życie. Miał nadzieję, że Himiko wyjdzie ponownie za mąż, ale jak dotychczas oddawała się

kontemplacji, wieczorami krążąc po mieście swoim sportowym wozem.

Mówiono o niej zupełnie otwarcie, że jest zboczoną seksualnie awanturnicą. Przypisywano nawet samobójstwo jej męża ekscentrycznym upodobaniom Himiko. Ptak raz tylko przespał się z dziewczyną, ale oboje byli tak pijani, że do tej pory nie miał pewności, czy doszło między nimi do stosunku. Zdarzyło się to na długo przed niefortunnym małżeństwem Himiko i choć już wtedy odczuwała dojmujące pożądanie przejawiając niemałą aktywność, była przecież tylko niedoświadczoną młodziutką studentką.

Ptak wysiadł z taksówki u wylotu uliczki, na której mieszkała jego przyjaciółka. Szybko obliczył, ile mu zostało pieniędzy; jutro po zajęciach poprosi o zaliczkę na poczet swoich miesięcznych poborów. Wsunął do kieszeni marynarki butelkę Johnny Walkera i zakrywając ręką szyjkę ruszył przed siebie. Sąsiedzi znali dokładnie ekscentryczny tryb życia Himiko i trudno było sobie wyobrazić, by nie obserwowali dyskretnie z okien jej gości.

Nacisnął dzwonek w przedsionku, ale nie było odpowiedzi. Kilkakrotnie załomotał w drzwi, cicho wołając Himiko po imieniu. Była to czcza formalność. Obszedł dom dookoła i zobaczył, że jej zakurzony używany MG stoi pod oknem sypialni. Z nie zakrytymi pustymi siedzeniami, czerwony MG wyglądał, jakby od dawna został tu porzucony. Ale był to dowód, że Himiko jest w domu. Ptak z całej siły przycisnął zabłoconym butem paskudnie wgnieciony zderzak. MG zakołysał się łagodnie jak łódź. Ptak znów patrząc w zasłonięte okno sypialni cicho zawołał Himiko. Zasłony uniosły się nieznacznie w miejscu, gdzie się schodziły, i przez wąską szparę spojrzęło na niego oko. Przestał kołysać MG i uśmiechnął się: w obecności tej dziewczyny zawsze mógł być swobodny i naturalny.

– Hej, Ptak. – Jej głos, stłumiony przez zasłonę i szybę, zabrzmiał jak słabe, bezsensowne westchnienie.

Ptak wiedział, że znalazł idealne miejsce, by w środku dnia napocząć butelkę Johnny Walkera. Jeszcze jeden krok ku

odzyskaniu równowagi psychicznej, pomyślał i wrócił przed drzwi frontowe.

IV

– Mam nadzieję, że nie spałaś – powiedział, kiedy Himiko mu otworzyła.

– Miałabym spać? O tej porze? – Udawała zdziwioną. Osłoniła ręką oczy przed południowym słońcem, ale bezskutecznie; blask, który wdarł się za Ptakiem do mieszkania, padł brutalnie na jej szyję i ramiona, w miejscach gdzie zsuwał się fiołkowy frotowy szlafrok. Dziadek Himiko był rybakiem z Kiusiu, który pojął za żonę, dosłownie uprowadzoną, Rosjankę z Władywostoku. To wyjaśniało biel skóry Himiko, przez którą prześwitywała pajęczna sieć naczyń włoskowatych. W sposobie poruszania się dziewczyny było coś z niepewności imigranta, który nigdy się na dobre nie zaadaptował w nowej ojczyźnie.

Mrugając w powodzi światła cofnęła się w cień otwartych drzwi z pośpiechem nastroszonej kwoki. Jej kobiecość osiągnęła to przejściowe stadium pomiędzy delikatną dziewczęcą urodą, którą już utraciła, a pełnią dojrzałości, która ją dopiero czekała. Najprawdopodobniej należała do typu kobiet, u których ów przejściowy okres trwa szczególnie długo.

Szybko, by oszczędzić swojej przyjaciółce niedyskretnego światła, Ptak wszedł i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę ciasny przedpokoik przypominał wewnątrz zasłoniętej klatki. Zdejmując buty Ptak mrugał gwałtownie, zanim oczy przywykły do mroku. Himiko stała za nim w ciemności obserwując go pilnie.

– Nienawidzę przeszkadzać ludziom, kiedy mają zamiar spać...
– zaczął.

– Taki jesteś dzisiaj nieśmiały, Ptak. Ale ja nie spałam. Jeśli się zdrzemnę w ciągu dnia, nie mogę potem spać w nocy. Rozmyślałam na temat pluralistycznej koncepcji świata.

Pluralistyczna koncepcja świata? Doskonale, pomyślał Ptak, możemy podyskutować o tym przy whisky. Rozglądając się dokoła jak węszący za tropem myśliwski pies, wszedł za Himiko do środka. W salonie panował wieczorny mrok, a zastała, duszna atmosfera przywodziła na myśl barłóg chorego zwierzęcia. Spojrzał ukradkiem na stary, ale solidny trzciniowy fotel, na którym zwykle siadywał, i zdjawszy piętrzące się na nim pisma usiadł ostrożnie. Dopóki Himiko nie weźmie prysznicu, nie ubierze się nie umaluje, wykluczone, żeby zapaliła światło, tym bardziej żeby odsunęła zasłony. Do tej pory gość musi cierpliwie czekać w ciemności. Podczas swojej ostatniej wizyty u Himiko, rok temu, Ptak nadepnął na szkło i skaleczył się w duży palec u nogi. Zadrżał na samo wspomnienie bólu i strachu.

Trudno było się zdecydować, gdzie postawić whisky. Nieopisany bałagan, na który składały się książki, pisma, puste pudełka i butelki, muszle, noże, nożyczki, zwędłe kwiaty zbierane w zimowych lasach, owady i listy, nowe i stare, panował nie tylko na podłodze i stole, ale nawet na niskiej szafie bibliotecznej stojącej pod oknem, na adapterze i telewizorze. Ptak zawahał się na chwilę, po czym odgarnął stopą najbliższe przedmioty, zyskując w ten sposób kawałek wolnego miejsca, i ustawił sobie pomiędzy nogami butelkę Johnny Walkera. Obserwująca go od drzwi Himiko powiedziała takim tonem, jakby to było pozdrowienie:

– Jeszcze się nie nauczyłam porządku. Ptak, czy jak mnie odwiedziłeś poprzednio, to też tak było?

– No chyba! Zaciałem się w palec u nogi.

– Rzeczywiście, cała podłoga dokoła fotela była zakrwawiona – wspominała Himiko. – Kopeć lat, Ptak. Ale tutaj nic się nie zmieniło. A co u ciebie?

– Właściwie to miałem wypadek.

– Wypadek?

Ptak zawahał się; nie miał zamiaru zaczynać od zwierzenia się ze swoich kłopotów.

– Urodziło nam się dziecko, ale zaraz umarło – uprościł sprawę.

– Niemożliwe?! Naprawdę? Podobna historia przydarzyła się innym moim przyjaciołom – dwóm. Z tobą znam już trzy takie osoby. Nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z opadami radioaktywnymi?

Ptak usiłował porównać w myśli swoje dziecko, które robiło wrażenie dwugłowego, z oglądanymi zdjęciami deformacji spowodowanych przez radioaktywność. Ale sprawę nienormalności swego dziecka mógł roztrząsać jedynie sam; uczucie wstydu ściśle osobistego wezbrało mu w gardle falą gorącą. Jak mógłby o tym nieszczęściu rozmawiać z innymi ludźmi, skoro było czymś nierozzerwalnie z nim związanym? Wiedział, że jest to problem, którego nigdy nie podzieli z resztą rodzaju ludzkiego.

– Jeśli chodzi o mojego syna, to był to najwyraźniej wypadek.

– To musi być dla ciebie straszne – powiedziała Himiko i spojrzała na niego łagodnie, z wyrazem oczu, który zdawał się zasnuwać jej powieki atramentową czernią.

Ale Ptak nie zastanawiał się nad tym, co miały mu do powiedzenia oczy Himiko; zamiast tego uniósł butelkę Johnny Walkera.

– Szukałem miejsca, gdzie mógłbym się napić, a wiedziałem, że tobie to nie będzie przeszkadzało, nawet w południe. Napijesz się ze mną?

Ptak czuł się jak bezczelny schlebiający jej żigolak. Ale tak zachowywali się w stosunku do niej wszyscy mężczyźni. Ten, za którego wyszła za mąż, jeszcze bardziej otwarcie niż Ptak czy jakikolwiek z jej przyjaciół zgrywał się wobec niej na młodszego brata. A potem nagle pewnego ranka się powiesił.

– Widzę, że jeszcze bardzo przeżywasz śmierć dziecka, jeszcze się z tego nie otrząsałeś. Nie będę cię już o to więcej pytać.

– Tak będzie chyba najlepiej. A zresztą niewiele jest tu do powiedzenia.

– Napijemy się?

– Dobrze.

– Ja bym najpierw wzięła prysznic, ale ty możesz zacząć. W kuchni są szklaneczki i dzbanek.

Himiko zniknęła w łazience. Ptak wstał. Kuchnia i łazienka zajmowały ciasną przestrzeń w głębi domu. Ptak przeskoczył przez kota przycupniętego na podłodze, szlafrok i bieliznę, które zrzuciła z siebie Himiko, i wszedł do kuchni. Kiedy wracał z dzbankiem wody, szklankami i kubkami, które sam umył, niosąc po dwa naczynia w każdej kieszeni, rzucił okiem w otwarte oszklone drzwi i zobaczył w głębi łazienki, gdzie było jeszcze ciemniej niż w przedsionku, biorącą prysznic Himiko. Z lewą ręką uniesioną do góry, jakby chciała zatrzymać potoki czarnej wody spływające z ciemności nad jej głową, i prawą spoczywającą na brzuchu, Himiko spoglądała przez prawe ramię na swoje pośladki i lekko napiętą łydkę. Widok jej pleców, pośladków i nóg napełnił go niesmakiem, nad którym nie potrafił zapanować; pokrył się gęsią skórą. Wspiął się na palce, jakby chciał uciec przed ciemnością rojącą się od duchów, rozdygotany minął biegiem sypialnię i dopadł dobrze znanego trzcinowego fotela. Kiedyś już zdołał to w sobie przełamać, sam nie pamiętał kiedy, a teraz znów się w nim odezwało – zaprawione lękiem młodzieńcze obrzydzenie do nagiego ciała. Ptak czuł, że obrzydzenie jak ośmiornica dosięgnie go swoimi mackami nawet w szpitalu, przy żonie rozmyślającej teraz o dziecku, które z powodu wrodzonej wady serca ojciec przeniósł do innej kliniki. Ciekawe, czy długo to uczucie będzie go trzymało? Czy przybierze na sile?

Ptak paznokciem odpieczętował butelkę i nalał sobie whisky. Trzęsła mu się ręka i szklanka szczękała o butelkę jak rozwścieczony szczur. Łypnął ponuro okiem jak stary alchemik i

wlał w siebie whisky. Ależ go paliła! Wstrząsnął się, zachłysnął i łyzy zakręciły mu się w oczach, ale ognista strzała rozkoszy błyskawicznie przeszła jego żołądek i drżenie ustało. Odbiło mu się po dziecięcemu poziomkami, wytarł mokre wargi wierzchem dłoni i ponownie napełnił sobie szklaneczkę, tym razem już pewną ręką. Przez ile tysięcy godzin tego unikał? Chowając w sercu urazę do kogoś nieokreślonego, opróżnił skrzętnie drugą szklaneczkę, jak sikorka wydziobująca proso. W gardle go już nie paliło, nie zachłysnął się i nie zakręciły mu się łyzy. Uniósł butelkę Johnny Walkera i przyglądał się rysunkowi na etykiecie. Westchnął w uniesieniu i wychylił trzecią szklaneczkę.

Kiedy wróciła Himiko, Ptak był już lekko wstawiony. Widok jej ciała wywołał znów uczucie obrzydzenia, które zostało złagodzone przez zawarte w alkoholu miazmaty. A poza tym czarna jednocześnie sukienka, którą dziewczyna okryła nagość, zmniejszyła nieco groźbę; wraz z burzą zmierzwionych włosów nadawała jej wygląd zabawnego niedźwiadka z filmów rysunkowych. Uczesawszy się Himiko zapaliła światło. Ptak zrobił miejsce na stole, postawił szklaneczkę i kubek i nalał jej wody i whisky. Himiko usiadła w dużym drewnianym rzeźbionym fotelu, starannie obciągając sukienkę, żeby nie pokazywać więcej świeżo umytego ciała, niż potrzeba. Ptak był jej wdzięczny. Stopniowo opanowywał obrzydzenie, co jednak nie znaczy, że się go wyzbył całkowicie.

– No to na zdrowie! – powiedział opróżniając szklaneczkę.

– Na zdrowie! – Himiko wysunęła dolną wargę jak orangutan, próbując trunku, a następnie upiła mały łyk.

Siedzieli w ciszy, nasycając powietrze swymi gorącymi, przepojonymi whisky oddechami, i po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy. Odświeżona prysznicem Himiko nie była brzydka; tamta, która umykała przed światłem, mogła być jej matką. Ptak był zadowolony. Momenty tak uderzającej regeneracji zdarzały się jeszcze w jej wieku.

– Przypomniał mi się jeden wiersz, jak brałam prysznic. Pamiętasz to? – Himiko wyszeptała jeden wers angielskiego poematu, jakby to było zaklęcie. Ptak poprosił, żeby powtórzyła. – „Raczej zabij dziecko w kołysce, niżbyś miał żywić niespełnione pragnienia.”

– Ale przecież nie można wymordować wszystkich dzieci w kołyskach – powiedział. – Co to za poeta?

– William Blake. Pisałam z niego pracę magisterską, pamiętasz?

– Rzeczywiście, tyś pisała o Blake'u. – Ptak odwrócił się i zobaczył na ścianie oddzielającej salonik od sypialni reprodukcję Blake'a. Często widywał ten obraz, ale nigdy mu się dokładnie nie przyjrzał. Teraz zwrócił uwagę na jego niesamowitość; plac otoczony budynkami w stylu Środkowego Wschodu. W dali dwie stylizowane piramidy; musiał to być Egipt. Całość oblewało blade światło świtu – a może był to zmierzch? Rozciągnięte pośrodku placu, jak ryba z rozprutym brzuchem, leżało ciało młodego mężczyzny. Koło niego oszalala z rozpaczony matka w otoczeniu starców z latarniami i kobiet z dziećmi na rękach. Nad całą sceną dominowała gigantyczna postać, przelatująca z rozpostartymi ramionami nad placem. Czy była to istota ludzka? Pięknie umięśnione ciało pokrywała łuska. W oczach pełnych złowieszczej boleści malowały się fanatyzm i gorycz; usta – po prostu otwór w twarzy tak głęboki, że wchłonał nos – przypominały pysk salamandry. Czy był to szatan? Bóg? Ów stwór wzbijał się w górę sięgając burzliwego nocnego nieba i jednocześnie spalając się w płomieniach własnych łusek.

– Co on robi? Czy to mają być łuski, czy kolczuga średniowiecznego rycerza?

– Myślę, że to łuski – odrzekła Himiko. – Na reprodukcji kolorowej to było zielone i znacznie bardziej przypominało łuski. To jest Zaraza! Wykańcza najstarszych synów Egiptu!

Ptak kiepsko znał Biblię; może była to scena z Księgi Wyjścia. Obojętne zresztą skąd – usta i oczy tej postaci stanowiły połączenie

zjadliwości z groteską. Ból, strach, zdumienie, zmęczenie, samotność – a nawet jak gdyby śmiech – wszystko to kipiało w bezdennej otchłani czarnych jak węgiel oczu i przypominających pysk salamandry ust.

– Czy on nie jest wspaniały? – powiedziała Himiko.

– Podoba ci się ten pokryty łuską człowiek?

– Bardzo. Czasem się zastanawiam, jak ja bym się czuła, gdybym była duchem Zarazy.

– Prawdopodobnie twoje oczy i usta wyglądałyby równie okropnie jak jego. – Ptak spojrział na usta Himiko.

– To jest przerażające, prawda? Ile razy się bardzo przestraszę, myślę sobie zawsze, o ile gorzej byłoby, gdybym to ja przyprawiła kogoś o taki strach – w ten sposób zyskuję psychiczną rekompensatę. Czy zdarzyło ci się przerazić kogoś tak bardzo, jak ciebie może kiedyś przerażono?

– Nie wiem. Musiałbym się nad tym zastanowić.

– Nad tym się nie trzeba zastanawiać, to się wie.

– Wydaje mi się, że nigdy w życiu tak naprawdę nikogo nie przestraszyłem.

– Na pewno nie, w każdym razie jak dotąd. Ale czy nie sądzisz, że prędzej czy później musi do tego dojść? – Ton Himiko był powściągliwy, ale wieszczy.

– Myślę, że zamordowanie dziecka w kołysce przeraziłoby i ciebie, i wszystkich innych. – Ptak nalał whisky sobie i Himiko, jednym haustem opróżnił swoją szklaneczkę i nalał sobie ponownie. Dla Himiko tempo było za szybkie.

– Nie pijesz?

– Będę dziś jeszcze prowadziła. Czy ty kiedykolwiek ze mną jechałeś, Ptak?

– Chyba nie. Musimy się któregoś dnia wybrać razem.

– Przyjdź kiedyś wieczorem. W dzień jest niebezpiecznie, bo straszny ruch; po ciemku mam znacznie szybszy refleks.

– Dlatego siedzisz zamknięta po całych dniach i rozmyślasz? Prowadzisz życie prawdziwego filozofa – filozofa, który po ciemku rozbija się swoim czerwonym MG – całkiem nieźle. No i co z tą pluralistyczną koncepcją wszechświata?

Ptak śledził z umiarkowaną satysfakcją, jak pod wpływem zadowolenia twarz Himiko tężeje. To pytanie miało jej wynagrodzić brutalność nagiego wtargnięcia i zaplanowanego picia, bo z pewnością mało kto zechciałby wysłuchiwać jej mrzonek.

– W tej chwili ty i ja siedzimy i rozmawiamy w pokoju, który stanowi część tego, co nazywamy światem realnym – zaczęła Himiko. Ptak usadowił się wygodnie i starannie ustawił na dłoni świeżo nalaną szklaneczkę whisky. – Tak się złożyło, że istniejemy w całkowicie odmiennych formach i w różnych światach, których jest niezliczona ilość. Popatrz: każde z nas znalazło się kiedyś w sytuacji, gdy szansę życia i śmierci były pół na pół. Na przykład w dzieciństwie zachorowałam na dur brzuszny i o mało nie umarłam. Świetnie pamiętam moment, kiedy stanęłam u rozstajnych dróg: mogłam albo zstąpić w otchłań śmierci, albo pisać się w górę – ku życiu. Oczywiście Himiko, która tu z tobą siedzi, wybrała życie. Ale w tym samym momencie inna Himiko wybrała śmierć! I cały świat, pełen ludzi, którzy zachowali krótkie wspomnienie zmarłej Himiko, kręci się wokół moich młodych zwłok rozpalonych gorączką duru. Rozumiesz, Ptak? Za każdym razem, kiedy stajesz na rozdrożu życia i śmierci, masz przed sobą dwa światy; z jednym w chwili śmierci tracisz wszelki (kontakt; z drugim przez fakt życia ten kontakt zachowujesz. To jest tak, jakbyś zrzucił z siebie ubranie: opuszczasz świat, w którym istniejesz jedynie jako trup, i przechodzisz do świata, w którym żyjesz nadal. Innymi słowy, każde z nas otoczone jest bezmiarem światów jak pień drzewa konarami i liśćmi.

I właśnie kiedy mój mąż popełnił samobójstwo, nastąpiło coś w rodzaju takiego powszechnego podziału komórek. Ja pozostałam w świecie, w którym on umarł, ale w innym świecie, po drugiej stronie,

gdzie mój mąż nadal żyje, jest z nim inna Himiko. Świat, który człowiek umierając, powiedzmy, w bardzo młodym wieku, porzuca, i świat, w którym żyje, nie przestają istnieć, przeciwnie: stale się mnożą. Na tym, według mnie polega pluralistyczna koncepcja wszechświata.

Wiesz co, Ptak? Nie powinieneś tak rozpaczać z powodu śmierci swojego dziecka. Bo z niego powstał inny świat i w tym innym świecie ono teraz rośnie silne i zdrowe. I w tamtym świecie ty jako młody ojciec opijasz swoje szczęście, a dla mnie to też cudowna wiadomość, więc razem spełniamy toast. Rozumiesz?

Twarz Ptaka rozjaśnił pogodny uśmiech. Alkohol przeniknąwszy do najdrobniejszych naczynek krwionośnych w jego ciele rozpoczął swoje dzieło: ciśnienie pomiędzy różową ciemnością jego jaźni a światem zewnętrznym zostało wyrównane. Ptak wiedział, że ten stan długo nie potrwa.

– Ptak, możesz tego w pełni nie pojmować, ale czy przynajmniej z grubsza orientujesz się, o co chodzi? Musiały się przecież zdarzać w twoim dwudziestosiedmioletnim życiu momenty, kiedy stawałeś na rozdrożu życia i śmierci. Za każdym razem w jednym świecie żyłeś, a w drugim pozostawiałeś swoje zwłoki. Ptak, ty przecież musisz pamiętać przynajmniej niektóre z tych momentów.

– Owszem, pamiętam, jeśli mam być szczery. Ale czy chcesz powiedzieć, że za każdym razem zostawiając gdzieś swoje zwłoki uchodziłem z życiem do tego świata?

– Otóż to.

Czy ona może mieć rację? -- zastanawiał się sennie. Czy w każdym z tych krytycznych momentów pozostawał gdzieś w postaci trupa jakiś inny Ptak? Czy rzeczywiście istniała cała plejada zmarłych Ptaków w tysiącach innych światów: wątły, nieśmiały uczeń i student – niezbyt tęga głowa, ale znacznie silniejszy fizycznie niż dzisiaj? Który więc z tych wszystkich Ptaków jest najlepszy? Jedno było pewne: nie on, nie Ptak z tego świata.

– Czy istnieje wobec tego śmierć ostateczna, (kiedy człowiek umierając na tym świecie umiera jednocześnie we wszystkich innych światach?)

– Musi istnieć, inaczej żyłby wiecznie, przynajmniej na jednym ze światów. Ty pewnie umrzesz swoją śmiercią ostateczną ze starości, jak będziesz miał przeszło dziewięćdziesiąt lat. Wszyscy żyjemy na tym czy innym świecie, aż umrzemy ze starości w świecie, który jest dla nas ostateczny. Czy nie wydaje ci się to sprawiedliwe?

W przeblasku zrozumienia Ptak przerwał jej nagle:

– Ty się jeszcze ciągle zadreczasz samobójstwem swojego męża, prawda? I po to wydumałaś całą tę filozoficzną blagę, żeby pozbawić śmierć atrybutu ostateczności.

– Mów, co chcesz, ale odkąd mnie zostawił samą na tym świecie, bez przerwy się zastanawiam, dlaczego on umarł... – Brunatna skóra wokół jej słabnących oczu pociemniała nieprzyjemnie szybko. – Niewdzięczna rola, ale już w nią weszłam i nie uchylam się od odpowiedzialności, przynajmniej na tym świecie.

– Nie myśl, Himiko, że ja cię krytykuję, wcale tak nie jest. Po prostu nie mogę patrzeć, jak się oszukujesz... – Ptak uśmiechnął się, żeby zmniejszyć trochę stężenie zawartej w jego słowach trucizny, ale się nie wycofał. – Usiłujesz nieodwołalność śmierci swego męża uczynić czymś względnym, przyjmując istnienie jakiegoś innego świata, w którym on żyje dalej. Ale faktu śmierci nie uczynisz relatywnym, obojętne, jakimi chwytami psychologicznymi się posłużysz.

– Może masz rację, Ptak... nalej mi jeszcze whisky. – Głos Himiko był suchy, pozbawiony zainteresowania. Ptak napełnił obie szklaneczki i modlił się, żeby alkohol przyćmił wspomnienie jego spontanicznej krytyki i jutro pozwolił Himiko snuć od nowa marzenia o mnogości światów. Jak człowiek podróżujący w czasie, który cofnął się o dziesięć tysięcy lat, Ptak był przerażony odpowiedzialnością za wszelkie zło w świecie obecnym. To uczucie nasilało się w nim powoli, od momentu kiedy się dowiedział, że jego

dziecko jest potworkiem. Chciał na chwilę wymknąć się z tej rzeczywistości, jak wymyka się gracz, gdy mu w pokerze nie idzie karta.

W milczeniu wymienili wielkoduszne uśmiechy i wychylili whisky skrzętnie jak spijające nektar chrząszcze. Popołudniowe odgłosy letniej ulicy brzmiały dla Ptaka jak mało ważne odległe sygnały. Poruszył się na krześle i ziewnął roniąc łzę obojętną jak ślina. Ponownie napełnił sobie szklaneczkę i łyknął jednym haustem, żeby się upewnić, że wymknięcie się z tego świata pójdzie mu gładko.

– Ptak?

Drgnął oblewając sobie kolana whisky i otworzył oczy; czuł, że wkracza w drugie stadium upojenia.

– Co?

– Ten skórzany płaszcz z kozłowej skóry, który dostałeś od wuja... co się z nim stało? – Himiko wolno poruszała językiem, starannie wymawiając słowa. Jej twarz była okrągła i bardzo czerwona, jak wielki pomidor.

– Rzeczywiście; stale go nosiłem na pierwszym roku.

– Miałeś go jeszcze zimą na drugim roku...

Zima – to słowo plusnęło w (kałużę osłabionej przez whisky pamięci Ptaka.

– Aha, prawda, rozłożyłem go wtedy na ziemi, na tym podwórku w składzie drewna, bo było mokro, kiedy to robiliśmy. Na drugi dzień rano cały płaszcz był w błocie i trocinach. Już go nie mogłem nosić. Wtedy w pralniach nie przyjmowali odzieży z kozłowej skóry. Zwinąłem go i wsadziłem do szafy, a potem musiałem wyrzucić.

Ptak przypomniał sobie tę ciemną noc w samym środku zimy i incydent, który wydawał się już tak odległy. Było to na drugim roku studiów. Ptak i Himiko pili razem, aż w końcu mieli dobrze w czubie. Ptak odprowadził ją do domu. Na podwórku składu drewna za jej

internatem złapał dziewczynę w ciemności i przytulił. Patrzyli na siebie, zmarznięci, dygocąc, a ich pieścizoty były bardzo nieśmiałe, dopóki jego ręka, jak gdyby przypadkiem, nie musnęła jej krocza. Wtedy podniecony przyparł ją do sterty desek pod płótem usiłując w nią wejść. Himiko dokładała wszelkich starań, żeby mu pomóc, ale po chwili bezowocnych wysiłków zachichotała cicho dając za wygraną. Roznamiętnieni nie wyszli jednak poza sferę pieścizot. Świadomość, że na stojący nic nie wskóra, upokorzyła Ptaka i jednocześnie podnieciła. Rozpostarł na ziemi skórzany płaszcz i położył na nim chichoczącą w dalszym ciągu Himiko. Była wysoka; jej głowa i nogi od kolan spoczywały na gołej ziemi. Po chwili chichot ustał i Ptak myślał, że dziewczyna jest bliska orgazmu. Ale kiedy po jakimś czasie ją o to zapytał, Himiko wyznała, że było jej po prostu zimno. Ptak przerwał na tym grę miłosną.

– Byłem wtedy zupełnym barbarzyńcą – rzekł w zadumie, jak starzec.

– Ja też.

– Zastanawiam się, dlaczego właściwie już nigdy nie spróbowaliśmy tego w innych warunkach.

– To, co nam się wtedy przydarzyło, było czymś tak przypadkowym, że następnego dnia rano miałam wrażenie, że to się nigdy nie może powtórzyć.

– Tak, to rzeczywiście było coś niezwykłego. Przypadek. Prawie gwałt – rzekł Ptak zmieszany.

– Prawie? To był gwałt – sprostowała Himiko.

– Ale czy rzeczywiście nie miałaś wtedy żadnej przyjemności? To znaczy nie byłaś nawet bliska orgazmu? – W tonie Ptaka zabrzmiała uraza.

– A czegoś ty się właściwie spodziewała? Przecież to był mój pierwszy raz.

Ptak patrzył na nią w osłupieniu. Wiedział, że Himiko nie pozwoliłaby sobie na podobne kłamstwo czy żart. Najpierw oniemiał,

a potem ogarnęło go rozbawienie graniczące z uczuciem strachu. Jego krótki wybuch śmiechu podziałał zaraźliwie na Himiko.

– Życie zaskakuje nas na każdym kroku – rzekł pasowiejąc, czego nie można było złożyć wyłącznie na karb whisky.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zdruzgotany. Przecież fakt, że wtedy zdarzyło mi się to po raz pierwszy, ma znaczenie tylko dla mnie, o ile w ogóle może mieć jakiegokolwiek znaczenie; to naprawdę nie ma z tobą nic wspólnego.

Ptak nalał whisky do kubka zamiast do szklanki i wypił duszkiem. Chciał przypomnieć sobie ze szczegółami scenę w składzie drewna. Rzeczywiście raz po raz jego penis natrafiał na coś twardego i napiętego jak rozciągnięta warga. Pomyślał, że to po prostu z zimna. Ale cóż wobec tego miały znaczyć plamki krwi, które odkrył na brzegu koszuli nazajutrz rano? Dlaczego wtedy go to nie zastanowiło? Niby kaprys, ogarnęło go pożądanie. Zagryzł usta, jakby pod wpływem bólu, i ścisnął mocno kubek z whisky. Gdzieś w środku jego ciała wyrósł guz bólu i lęku, który był samą żądzą. Taki ból i niepokój w klatce piersiowej zwiastują nadchodzący atak serca. To, co odczuwał w tej chwili Ptak, nie miało nic wspólnego z łagodnym pragnieniem, znamieniem ledwie na gładkim obliczu codziennego życia, stanowiącym skrajne przeciwieństwo afrykańskich marzeń bujających na wyżynach jego ducha. Nie miało nic wspólnego z pożądaniem, które gasił raz czy dwa w tygodniu łącząc się ze swoją żoną, z tym spokojnym pożądaniem, które rozpływało się w szlamie smutnego zmęczenia przy akompaniamencie jednego lubieżnego, apatycznego jęku. Tej żądzy by nie ugasił powtarzając ów akt choćby tysiąc razy; to nie był bilet na kolejkę dziecienną w wesołym miasteczku, który się wyrzuca po zrobieniu jednej rundy. Była to niebezpieczna żądza, którą się zaspokajają tylko raz, myśląc z lękiem, czy w momencie spełnienia za zroszonymi potem nagimi plecami nie czai się śmierć. To pożądanie Ptak mógł zaspokoić owej zimowej nocy na dziedzińcu składu drewna, gdyby wiedział na pewno, że gwałci dziewicę.

Jego pulsujące, rozpalone od whisky oczy przeszły Himiko chytrym spojrzeniem. W głowie nadętej jak balon tętniła mu krew. Dym papierosowy opływał pokój dokoła jak ławica schwytych w wiewiórek sardynek; Himiko zdawała się unosić w morzu mgły. Obserwowała Ptaka z zabawnym, nieprzytomnym, naiwnym uśmiechem, oczyma, które nic nie widziały. Zatraciła się w alkoholowym transie, a jej ciało, w szczególności zaś czerwona, pałająca twarz, robiło wrażenie miększego i okrągłego niż zwykle. Gdybym tylko, pomyślał z żalem Ptak, mógł z nią powtórzyć tę scenę nocnego gwałtu. Ale zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Gdyby nawet do tego doszło, ich stosunek skojarzyłby mu się z widokiem własnego członka – żalosnego pisklęcia, które rano obrzucił przelotnym spojrzeniem – i rozepchniętych narządów żony kurczących się leniwie po męce porodu. Seks dla Ptaka i Himiko zawsze już będzie się wiązał z konającym dzieckiem, z nieszczęściami całej ludzkości, z upośledzeniem tak żenującym, że ci, których ono nie dotknęło, udają, że go nie widzą, nazywając to humanizmem. Sublimacja pożądania? Raczej całkowite odarcie go z wartości. Ptak przełknął whisky, która wstrząsnęła jego chłodnymi wnętrznościami. Gdyby chciał odtworzyć ów erotyczny moment, z całym jego cudownym napięciem, który zniszczył tej zimowej nocy, musiałby chyba zadusić dziewczynę na śmierć. Z gniazda pożądania we wnętrzu Ptaka z trzepotem skrzydeł wypadły słowa: zarżnij ją i zgwałć trupa! Ale Ptak zdawał sobie sprawę, że w swoim obecnym stanie na nic podobnego by się nie ważył. Jest mi żal i czuję się zubożony, bo się dowiedziałem, że Himiko była dziewicą. Ptak pełen był pogardy dla własnej słabości; chętnie by się wyrzekł tej części siebie. Ale demon niepokoju i palącego pożądania nie przestawał w nim szaleć. Jeżeli nie możesz jej zamordować i zgwałcić trupa, sprowokuj sytuację o równym napięciu i dynamizmie! Ale Ptak był bezradny, zdumiony własną niezdolnością do jakiegokolwiek ryzyka czy perwersji. Łyknął whisky jak odwołany karnie z boiska koszykarz wodę: rozdrażniony, wściekły na siebie, z wyraźnym niesmakiem. Whisky straciła już swoją moc i bukiet; przestała nawet piec.

– Ptak, czy ty zawsze pijesz whisky szklankami? Jakby to była herbata? Ja nawet herbaty nie mogę tak pić, jak jest gorąca.

– Zawsze... zawsze jak piję, to właśnie tak – wybełkotał.

– Nawet jak jesteś z żoną?

– A bo co?

– Nie mógłbyś jej chyba zaspokoić pijąc w ten sposób. Wątpię, czy w ogóle byłbyś do tego zdolny, choćbyś nie wiem jak się starał. Nawaliłoby ci serce jak zawodnikowi pływającemu na długie dystanse; zostawiłbyś wokół jej głowy plamę whisky jak tęczę.

– Masz ochotę teraz się ze mną przespać?

– Nie przespałabym się z tobą po wypiciu takiej ilości alkoholu; nic by nam z tego nie przyszło.

Ptak wsadził palec przez dziurę w kieszeni i namacał coś ciepłego, miękkiego: śmieszna drzemiąca mysz. Całkowity bezwład – w przeciwieństwie do szalejącego w piersi demona.

– Nic z tego, prawda? – rzuciła Himiko z wyzywającą poufałością, widząc jego nieśmiały ruch.

– Może sam nic z tego nie będę miał, ale tobie dogodzę tak, że będziesz chodziła po ścianach.

– Dla mnie orgazm to nie taka prosta sprawa. Już pewnie zapomniałeś, jak to było, kiedy leżeliśmy wtedy na ziemi w składzie drewna. Zresztą nie ma powodu, żebyś pamiętał. Ale dla mnie to był obrzęd inicjacji. Obrzęd chłodny, żaloszny, nawet śmieszny, a jednak wzruszający. Od tamtej pory zaczął się mój bieg na długi dystans i nieustanna walka, Ptak!

– Czy przeze mnie zostałaś frygida?

– Jeśli masz na myśli zwykły orgazm, to poradziłam sobie z tym bez ciebie, i to dosłownie zaraz. Pomogli mi chłopcy z mojej grupy, jeszcze zanim zdążyło mi wyschnąć za paznokciami błoto po tym naszym spotkaniu w składzie drewna. Ale od tamtej pory rozpoczęła

się moja pogoń za coraz wyższymi formami orgazmu – jak gdybym się wspinała na schody.

– I to wszystko, czym się zajmowałaś od czasu dyplomu?

– Od czasu studiów. Teraz właściwie widzę, że było to moje jedyne rzetelne zajęcie, odkąd zostałam studentką.

– Musiało ci się już przejeść.

– Nie, to nie jest tak. Kiedyś ci udowodnię, chyba że chcesz tamto nasze przeżycie seksualne zachować w pamięci jako jedyne.

– A ja cię nauczę tego, czego sam się nauczyłem w czasie mojego biegu długodystansowego – rzekł Ptak. – Przestańmy sobie skakać do oczu jak para czupurnych kurcząt, chodźmy do łóżka!

– Za dużo wypiełeś, Ptak!

– Uważasz, że penis to jedyny organ, który ma coś wspólnego z seksem? To bardzo prymitywny pogląd jak na kogoś, kto poszukuje wyższych form orgazmu.

– Czym się masz zamiar posłużyć? Palcami? Ustami? A może czymś równie wymyślnym jak wyrostek robaczkowy? O nie, dziękuję bardzo, to nie dla mnie; to zbyt bliskie masturbacji.

– Trudno ci odmówić szczerości – rzekł Ptak patrząc spode łba.

– A poza tym ty dziś w gruncie rzeczy nie masz na nic takiego ochoty. Robisz na mnie wrażenie, jakby seks budził w tobie odrazę. Gdybyśmy nawet poszli do łóżka, skończyłoby się tym, że zwałiłyś mi się między nogi i zwymiotowałam. Nie byłbyś w stanie zapanować nad obrzydzeniem i zapaskudziłyś mi brzuch brunatną mieszaniną whisky i żółci. Tak by to było, Ptak. Już kiedyś mnie coś takiego spotkało i to było potworne!

– Doświadczenie jednak uczy; twoje obserwacje są zupełnie słuszne – rzekł Ptak zdeprimowany.

– Nie ma pośpiechu – pocieszyła go Himiko.

– Rzeczywiście nie ma. Cholernie dawno nie byłem w takiej sytuacji, żebym się musiał spieszyć. Spieszyłem się zawsze, jak byłem dzieckiem. Zastanawiam się dlaczego.

– Może dlatego, że w dzieciństwie ma się tak mało czasu. Bo się szybko rośnie.

– Ja rzeczywiście szybko rosłem. A teraz już jestem ojcem. Tylko niestety nie miałem odpowiedniego przygotowania do ojcostwa, dlatego nie potrafiłem spłodzić normalnego dziecka. Czy myślisz, że mógłbym jeszcze kiedykolwiek mieć normalne dziecko? Nie jestem tego pewny.

– Nikt nie ma w takich sprawach pewności, Ptak. Dopiero kiedy urodzi ci się następne dziecko, idealnie zdrowe, będziesz wiedział, że jesteś normalnym ojcem. I wtedy odzyskasz poczucie pewności wstecz.

– Zrobiłaś się naprawdę mądra życiowo. – Był wyraźnie podniesiony na duchu. – Himiko, chciałbym cię zapytać... – Ukwiął snu zamykał się nad nim po trochu i Ptak wiedział, że nie oprze mu się już dłużej. Spojrzał na pustą szklankę falującą w polu jego widzenia i potrząsnął głową zastanawiając się, czyby się jeszcze nie napić; wreszcie uznał, że jego organizm nie przyjmie już ani kropli whisky. Szklanka wysliznęła mu się z palców, upadła na kolana i potoczyła się na podłogę. – Himiko, chciałbym cię zapytać jeszcze o jedno – powiedział usiłując przenieść ciężar ciała na nogi, żeby sprawdzić, czy zdoła wstać. – Na jakim świecie będziesz żyła ty, jeśli umrzesz jako dziecko?

– O ile w ogóle istnieje taki świat, to musi być bardzo nieskomplikowany. Ale czy nie możesz uwierzyć w moją pluralistyczną koncepcję wszechświata? Twoje dziecko w swoim ostatecznym świecie dożyje późnej starości, dziewięćdziesiątki.

– Aha, no tak – rzekł Ptak. – Idę spać, Himiko, czy to jeszcze noc? Czy mogłabyś wyrzeć przez okno?

– Jest sam środek dnia, ale jeśli chcesz spać, możesz się położyć w moim łóżku. Ja wyjdę, jak się tylko ściemni.

– Opuścisz swojego biednego przyjaciela dla tego czerwonego sportowego samochodu?

– Skoro biedny przyjaciel jest pijany, najlepiej zostawić go samego. W przeciwnym razie moglibyśmy później oboje żałować.

– Masz całkowitą rację! Posiadłaś wszystkie perły mądrości. I ty tak jeździsz tym swoim MG przez całą noc, aż do świtu?

– Czasem tak. Mam różne sprawy do załatwienia – jak dobra wróżka, która zsyła sen na dzieci, co nie mogą spać.

Kiedy wreszcie Ptak zdołał się wygramolić z trzcinowego fotela, ciężki i bezwładny, jakby jego ciało należało do kogoś innego, oplótł ramieniem krzepką postać Himiko i ruszył do sypialni. Wewnątrz rozpalonego słońca, które było jego głową, tańczył jakiś śmieszny karzeł, rozsypując sproszkowane światło, jak wróżka, którą widział na filmie Disneya *Piotruś Pan*. Zachichotał rozśmieszony tym przywidzeniem. Kiedy runął na łóżko, wydał jeszcze pełen wdzięczności okrzyk:

– Himiko, jesteś jak dobra babcia!

Przez mroczny plac w jego śnie siedł okryty łuską człowiek ze smutnymi, ciemnymi oczyma i przerażającą szramą ust przypominających pysk salamandry, ale wkrótce wszystko to pochłonęła czerwoczarna fala zmierzchu. Odgłos odjeżdżającego sportowego wozu; głęboki, wszechogarniający sen.

Dwukrotnie w ciągu nocy Ptak się budził, ale nie było Himiko. Ocknął się na dźwięk stłumionych, lecz uporczywych głosów dochodzących z zewnątrz:

– Himiko! Himiko!

Pierwszy brzmiał jeszcze młodzieńczo. Następnym razem, kiedy otworzył oczy, usłyszał głos mężczyzny w średnim wieku. Wstał z łóżka, uniósł zasłony dokładnie w miejscu, gdzie się stykały, tak samo jak zrobiła to Himiko wyglądając do niego, i spojrzał na nocnego gościa. W bladym świetle księżycy zobaczył niewielkiego mężczyznę w lnianym smokingu, zbyt obcisłym, jakby się skurczył w

praniu. Okrągła, jajowata głowa sięgała okna; mały mężczyzna wołał Himiko z chmurnym wyrazem twarzy stanowiącym mieszaninę zakłopotania i lekkiego obrzydzenia do siebie. Ptak opuścił zasłony i poszedł do sąsiedniego pokoju po whisky. Jednym haustem wypił to, co zostało, zakopał się ponownie w łóżku swojej przyjaciółki i zasnął natychmiast.

V

Jego sen co chwilę zakłócał jakiś jęk, aż wreszcie, z ociąganiem, Ptak się obudził. W pierwszej chwili pomyślał, że to on sam jęczy, i rzeczywiście, jak tylko otworzył oczy, kłębowisko szatanów odbywających ruję w jego brzuchu przeszło mu wnętrzości tysiadcem cieniutkich strzał, wydzierając z jego piersi jęk. Ale ten odgłos pochodził skądinąd. Ostrożnie, tak żeby nie zmienić pozycji całego ciała, uniósł samą głowę. Himiko spała na gołej podłodze, wciśnięta między łóżko a telewizor. To ona jęczała, jak potężne zwierzę, transmitując jakieś sygnały ze świata swego snu, sygnały strachu.

Poprzez pajęczą siatkę mroku Ptak obserwował, jak jej młoda, okrągła, blada twarz tężeje niby w paroksyzmie bólu i nagle odpręża się idiotycznie. Koc zsunął się dziewczynie do pasa; Ptak obrzucił spojrzeniem jej piersi. Stanowiły idealne półkule, które opadały teraz nienaturalnie na boki, jakby unikając siebie nawzajem. Miejsce pomiędzy nimi było rozległe i płaskie, jałowe. Ta niedojrzała pierś wydała mu się dobrze znajoma – musiał ją widzieć tamtej zimowej nocy w składzie drewna. Ale boki Himiko i wzgórek brzucha, prawie całkowicie ukrytego pod kocem, nie budziły w nim tęsknot. Kryły w sobie zapowiedź złogów tłuszczu, który z wiekiem zaczynał się odkładać w jej ciele. I to ledwie dostrzegalne wiotczenie było częścią nowego życia Himiko; (nie miało z Ptakiem nic wspólnego). Ukryte pod skórą kłaczka otyłości rozpełzną się prawdopodobnie jak ogień

zmieniając całkowicie jej figurę. Piersi też utracą tę odrobinę młodzieńczej świeżości, którą zachowały.

Himiko znów jęknęła i jej powieki zatrzepotały, jakby się przestraszyła. Ptak udał, że śpi. Kiedy po chwili otworzył oczy, dziewczyna znów pogrążona była we śnie. Leżała teraz jak mumia, otulona w koc po szyję, śpiąc cichym, spokojnym snem owada. Musiała dojść do porozumienia z olbrzymami, z którymi się zmagala. Ptak z ulgą zamknął oczy ignorując groźnego szantażystę, jakim był jego żołądek. Nagle żołądek spęczniał wypełniając bez reszty wnętrze ciała i całą świadomość Ptaka. Beładne myśli usiłowały utworować sobie drogę do centrum mózgu: kiedy wróciła Himiko? Czy położono jego dziecko przypominające obandażowaną głowę Apollinaire'a na stole sekcyjnym? Czy będzie w stanie poprowadzić rano zajęcia na kursach bez przygód? Jedną po drugiej eliminował te myśli potworny ucisk w żołądku. Ptak zdawał sobie sprawę, że lada chwila zwymiotuje, i jego twarz pokryła się gęsią skórą ze strachu.

Co ona o mnie pomyśli, jak zabrudzę jej łóżko wymiotami? Zdeflorowałem ją po pijanemu, niemal gwałtem, na dworze, w środku zimy, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robię! W wiele lat później przychodzę do niej na noc i znów kompletnie pijany budzę się bliski torsji. Jaka człowiek potrafi być świnią! Odbiło mu się szybko z dziesięć razy pod rząd i Ptak usiadł jęcząc z bólu, który rozsadzał mu głowę. Pierwszy krok był niepewny, ale po chwili zmierzał już prosto do łazienki. Zdumiony stwierdził, że jest w samej bieliźnie.

Kiedy zamknął za sobą źle dopasowane oszklone drzwi i znalazł się w odosobnieniu, błysnęła mu radosna nadzieja: może uda mu się zwymiotować tak, żeby Himiko nie słyszała. Gdyby tylko potrafił to robić delikatnie jak świerszcz...

Kłękając wsparł się łokciami o nowoczesną muszlę klozetową i z pochyloną głową, w modlitewnej pozie, oczekiwał, aż jego napięty żołądek eksploduje. Początkowo zimna twarz, potem nienaturalnie rozpalona, nagle zrobiła się znów lodowata, drętwa. Oglądana z tej

pozycji muszla klozetowa, a w szczególności jej wypełniona czystą wodą zwężona część, przypominała rozwartą białą gardziel.

Nadeszła pierwsza fala mdłości. Ptak szczechnął, szyja mu zeszywniała, żołądek skurczył się. Piekący płyn wypełnił mu nos, a po twarzy pociekły łzy, spływając aż do wymiocin, które przylgnęły do górnej wargi. Znów mu się odbiło i łagodnie pozbył się tego, co zostało w przelyku. Zawirowały mu w głowie żółte iskierki – chwila wytchnienia. Podnosząc się jak hydraulik, który właśnie skończył pracę, wytarł twarz papierem toaletowym i głośno wydmuchał nos. „Ach” – westchnął. Ale to jeszcze nie koniec; wykluczone. Zawsze, jak mu coś zaszkodziło, wymiotował co najmniej dwa razy. I za drugim razem nie mógł się zdać na mięśnie żołądka, ten drugi raz musiał sprowokować sam wkładając palec w oślizłą czeluść gardła. Westchnął znowu w przewidywaniu czekającej go męki i pochylił głowę. Wnętrze muszli klozetowej, zanieczyszczone teraz, było odrażające. W przypiływie obrzydzenia zamknął oczy, namacał nad głową łańcuch i pociągnął. Runął z hukiem wodospad i delikatny podmuch musnął mu chłodem czoło. Kiedy Ptak otworzył oczy, wielka rozwarta gardziel znów ziała przed nim nieskalaną bielą. Wsadził palec do swego biednego, czerwonego, zdartego gardła i zmusił się do torsji. Jęki, bezsensowne łzy, żółte iskry w głowie, piekąca śluzówka w nosie. Na zakończenie wytarł pobrudzone palce, usta i mokre od łez policzki i osunął się na muszlę klozetową. Czy chociaż w części odkupił w ten sposób cierpienie dziecka? Uświadamiając sobie własną bezczelność poczerwieniał ze wstydu. Trudno wyobrazić sobie bardziej bezowocne cierpienie niż męka kaca; to, co przeżywał teraz, nie mogło stanowić żadnego aktu ekspiacji.

Nie możesz pocieszać się tym fałszywym zadośćuczynieniem, nawet na chwilę tak krótką jak ta myśl – przywoływał się do porządku Ptak-moralista. W każdym razie torsje przyniosły mu ulgę i wśród szalejących w żołądku szatanów zapanował względny spokój. Chociaż Ptak wiedział, że nie potrwa on długo, były to pierwsze chwile znośnego samopoczucia, odkąd otworzył oczy. Miał dzisiaj zajęcia, a poza tym w szpitalu trzeba było jeszcze wypełnić jakieś

formularze dotyczące dziecka, które już prawdopodobnie nie żyło. Będzie musiał zawiadomić o jego śmierci teściową i naradzić się z nią, kiedy powiedzieć żonie. Koszmarna perspektywa. A tymczasem jestem w łazience mojej przyjaciółki, oparty o muszlę klozetową, zamroczony i kompletnie bez sił! Absurdalna sytuacja! Mimo to nie odczuwał lęku; właściwie nawet ostatnie pół godziny spędzone w sposób tak bezradny i nieodpowiedzialny miało słodki smak odkupienia. Skulony na podłodze, świadom jedynie pieczenia w nosie i gardle, czuł się niejako zbratany z walczącym ze śmiercią maleństwem. Moja jedyna przewaga polega na tym, że nie płaczę. Ale i tak zachowuję się sto razy bardziej haniebnie...

Gdyby to było możliwe, rzuciłby się do klozetu i spłynął do dołu kloacznego z rykiem spienionej wody. Zamiast tego jednak splunął raz jeszcze, z ociąganiem puścił miskę i otworzył drzwi. W tym momencie nie pamiętał o Himiko, ale gdy tylko przestąpił bosą stopą próg sypialni, wiedział, że dziewczyna nie śpi i doskonale zdaje sobie sprawę z dramatu, jaki się rozegrał w łazience, uwieńczonego szczególną ciszą. Leżała na podłodze jak poprzednio, ale w delikatnym pyle światła sączącego się przez szpary w zasłonie widział, że jej oczy, obrysowane czarną kreską, są szeroko otwarte. Nie ma wyboru: musi przemknąć się koło jej nóg jak mysz, by dostać się do koszuli i spodni leżących w nogach łóżka. Tymczasem Himiko będzie prawdopodobnie patrzyła oczyma jak soczewki aparatu na jego sflaczały brzuch i żylaste uda.

– Porzygałem się jak pies – powiedział nieśmiało.

– Jak pies? Czy słyszałeś kiedy, żeby pies robił to tak koszmarnie głośno? – powiedziała Himiko głosem przytłumionym jeszcze przez sen, patrząc na Ptaka spokojnie, szeroko otwartymi oczyma, jakby go badała.

– To był pies z Góry Świętego Bernarda, wielki jak cielę – odparł Ptak z niechęcią.

– Porządnie cię wzięło, ale już po wszystkim?

– Tak, przynajmniej na razie. – Posuwając się chwiejnie w stronę łóżka nadepnął Himiko na nogi tak boleśnie, że aż krzyknęła. – Ale jestem pewny, że mnie to znów złapie w ciągu dnia; zawsze tak jest. Przez jakiś czas nie piłem i już dawno nie miałem kaca, więc ten może się okazać najgorszy ze wszystkich. Chociaż właściwie wypłem nikłą część tego, co mi się zdarzało wypić w czasach, gdy krążyłem po mojej alkoholowej orbicie. – Ptak usiłował osiągnąć efekt komiczny przemawiając przesadnie ponurym tonem, ale skończył na nucie gorzkiej introspekcji.

– Co masz sobie żałować? Spróbuj tak jak wtedy,

– Dziś nie mogę być pijany.

– Sok cytrynowy postawi cię na nogi; w kuchni są cytryny.

Posłusznie zajrzał do kuchni. W zlewie, przeszyte promieniem światła przenikającym matową szybę – jakby żywcem ze szkoły flamandzkiej – leżało w nieładzie kilkanaście cytryn; lśniły surowizną, od której zadrżał każdy nerw w jego nadwątłym żołądku.

– Zawsze kupujesz tak dużo cytryn? – Wskoczył nerwowo w spodnie, zapiął koszulę pod szyją i znów poczuł się sobą.

– To zależy – odparła Himiko z przeraźliwą obojętnością, jak gdyby chciała mu dać do zrozumienia, że jest nudny. Ale Ptak trzeszczał dalej:

– A właściwie kiedy ty wróciłaś? Jeździłaś tym swoim MG do świtu? – Zamiast odpowiedzieć, patrzyła na niego ironicznie, więc dodał pośpiesznie, jakby ta wiadomość miała zasadnicze znaczenie: – W środku nocy było tu jakichś dwóch twoich przyjaciół. Jeden robił wrażenie jeszcze chłopaka, a drugi był w średnim wieku, z jajowatą głową. Uchyliłem zasłony, ale nie powiedziałem mu „jak się masz”.

– Jak się masz? Nie było powodu – rzekła Himiko nieporuszona. Ptak wyjął z kieszeni marynarki zegarek i sprawdził godzinę – była dziewiąta. Wykład miał o dziesiątej. Trzeba było nie

lada odwagi, żeby nie przyjść na zajęcia bez uprzedzenia albo się spóźnić. Ptak nie był ani taki odważny, ani taki głupi. Zawiązał krawat na wycucie.

– Przespałam się z każdym z nich parę razy i na tej podstawie uważają, że mają prawo tu przyłazić w środku nocy. Ten młody to dość ekscentryczny typek – nie zależy mu specjalnie, żeby być ze mną w łóżku; szczyt jego marzeń to czekać w pobliżu, jak ja akurat śpię z kimś innym. Taki jest skory do pomocy, a tak fantastycznie zazdrosny!

– A czy dałaś mu kiedy tę upragnioną szansę?

– Oczywiście że nie! – ucięła Himiko. – Ten chłopak jest wymarzony dla dojrzałych mężczyzn, takich jak ty. Gdybyście się kiedyś zetknęli, zrobiłby wszystko, żeby ci dogodzić. Założę się, że już nieraz oferowano ci tego rodzaju usługi. Przecież zawsze miałeś na uniwersytecie wielbicieli wśród młodszych kolegów. I teraz też musisz mieć na kursach słuchaczy, którzy cię adorują. Zawsze uważałam cię za idealnego bohatera dla młodocianych przedstawicieli tej subkultury.

Ptak zaprzeczył ruchem głowy i poszedł do kuchni. Kiedy dotknął bosymi stopami zimnych desek podłogi, uświadomił sobie, że nie włożył skarpetek – co mogło się okazać problemem. Jak się schylił w poszukiwaniu skarpetek i naciśnię żołądek, znów może wymiotować. Skrzywił się. Ale stąpanie bosymi nogami po podłodze i chwytanie cytryny mokrymi rękami, o które bębniła kapiąca z kranu woda, było przyjemne. Wybrał dużą cytrynę, przekroił ją na pół i wycisnął sobie do ust. Cierpkie, chłodne uczucie powrotu do życia, które tak dobrze pamiętał, spłynęło wraz z sokiem do umęczonego żołądka. Wrócił do sypialni i trzymając się bardzo sztywno zaczął szukać skarpetek.

– Rzeczywiście dobrze mi ta cytryna zrobiła – powiedział z wdzięcznością.

– Możesz jeszcze wymiotować, ale przynajmniej będziesz miał w ustach cytrynowy smak, to może być nawet całkiem przyjemne.

– Dziękuję ci za te słowa pociechy. – Ptak zdawał sobie sprawę, że ulga, której doznał, rozwiewa się jak mgła.

– Czego ty szukasz? Wyglądasz jak niedźwiedź polujący na kraby.

– Skarpetek – mruknął; nagle własne gołe stopy wydały mu się, śmieszne.

– Są w twoich butach, żebyś je miał pod ręką, jak będziesz wychodził.

Spojrzał dwuznacznie na leżącą w kocu na podłodze Himiko i pomyślał, że pewnie zawsze tak robi, kiedy któryś z kochanków wpakuje się jej do łóżka. A z butami – zwykły środek ostrożności: w ten sposób przyjaciele mogli uciekać boso, z pantoflami w rękę, kiedy zjawiał się rywal potężniejszy i bardziej zazdrosny.

– Ja już pójdę – powiedział. – Mam dziś rano dwa wykłady. Dziękuję ci bardzo za noc i za dzisiejszy ranek.

– Przyjdiesz jeszcze? Wiesz, niewykluczone, że będziemy sobie potrzebni.

Gdyby nagle niemy przemówił, Ptak nie byłby bardziej zdumiony. Himiko spoglądała na niego spod swoich grubych powiek, ze zmarszczonym czołem.

– Może masz rację, może rzeczywiście jesteśmy sobie potrzebni.

Jak odkrywca badający bagniste tereny, Ptak ostrożnie stąpał wśród niebezpiecznych pułapek, którymi najeżony był ciemny salon; kiedy wreszcie znalazł się w przedsionku, w największym pośpiechu włożył skarpetki i buty, przerażony, że go znów chwycą mdłości.

– Do zobaczenia! – zawołał. – Śpij dobrze!

Himiko milczała jak grób.

Wyszedł w letni ranek przesycony światłem ostrym jak ocet. Mijając czerwonego MG zauważył kluczyk w stacyjce. Któregoś dnia ukradną jej ten samochód bez najmniejszego trudu. Zasmuciła go ta

myśl. Himiko! Jak z pilnej, starannej i bystrej studentki mogła się zmienić w kogoś o tak spaczony osobowości? Wyszła za męża tylko po to, żeby przeżyć samobójczą śmierć młodego męża, a teraz odbywszy katharsis swojej szaleńczej nocnej jazdy śni koszmary, które wydzierają jęki z jej piersi.

Zaczął wyjmować kluczyki ze stacyjki. Ale jeśli wróci do pokoju, gdzie w ciemności leży jego przyjaciółka, zatroskana, milcząca, z zaciśniętymi oczyma, ponowne wyjście z domu może się okazać trudne. Zostawił kluczyk i rozejrzał się dokoła; nigdzie w pobliżu nie czają się przecież złodzieje samochodów, pocieszał się, przynajmniej nie akurat w tej chwili. Na ziemi, obok jednego z kół, leżał niedopałek cygara. Ten mały z jajowatą głową pewnie go tu rzucił w nocy. Liczba mężczyzn, którzy poszukiwali Himiko w celach bardziej intymnych niż on, musiała być znaczna.

W obronie przed zmorą kaca, kryjącą w sobie tysiąc gróźb, gwałtownie potrząsnął głową i głęboko wciągnął powietrze. Ale nie był w stanie pozbyć się zniewalającego uczucia i wyszedł z opromienionej blaskiem słonecznym uliczki ze spuszczoną głową.

Dzielnie się mimo to trzymał przez całą drogę aż do szkoły. Ulica, peron, pociąg. Najgorszy był pociąg, ale przeżył jakoś wstrząsy i odór innych ciał pomimo niebezpiecznego drapania w gardle. Ze wszystkich pasażerów w wagonie tylko Ptak się pocił, jak gdyby letni upał rzucił się właśnie na ten jeden jedyny metr kwadratowy powierzchni wokół niego. Ci, co się o niego otarli w tłoku, odwracali się patrząc podejrzliwie. Ptak kulił się i jak świnia, która zeżarła skrzynkę cytryn, wydychał cytrynowy zapach: Jego oczy niespokojnie błądziły po wagonie szukając schronienia w razie nagłego ataku torsji.

Kiedy wreszcie bez kłopotów dotarł do szkolnej bramy, czuł się jak powracający z wojny weteran. Ale najgorsze miał jeszcze przed sobą. Nieprzyjaciel wyprzedził go i przyczajony oczekiwał w zasadzce.

Wyjął ze swojej szafy wypisy z literatury i pudełko kredy. Spojrzał na leżący na najwyższej półce Concise Oxford Dictionary, ale dziś wydał mu się za ciężki, żeby go zanieść do klasy. A miał paru uczniów, których znajomość idiomów i gramatyki angielskiej znacznie przewyższała jego wiedzę w tej dziedzinie. Jak się natknął na nieznaną słowo czy na trudne zdanie, wystarczy się uciec do pomocy jednego z nich. Głowy jego uczniów tak były nabite szczegółami, że przypominały skomplikowane mechanizmy: ilekroć próbowały ogarnąć problem całościowo, plątały się i zacinały. Do obowiązków Ptaka należało więc dokonanie syntezy całego fragmentu. Ale bez przerwy prześladowała go obsesyjna niepewność, czy jak przyjdzie do egzaminów wstępnych na wyższą uczelnię, jego nauka okaże się przydatna.

By uniknąć spotkania z szefem, przystojnym i bystrym absolwentem Uniwersytetu Michigan, który niewątpliwie wywodził się z elity studentów obcokrajowców, wyszedł tylnymi drzwiami i nie wsiadając do windy przeznaczonej dla ciała pedagogicznego, zaczął się wspinać po spiralnych schodach wijących się jak bluszcz po zewnętrznej ścianie budynku. Nie miał odwagi spojrzeć w dół na rozwijającą się stopniowo pod nim perspektywę; z trudem znosił przypominające przechyły statku huśtanie schodów, po których przebiegały tabuny chłopców. Blady, ciężko dysząc, bekając, z jękiem stawiał kroki. Szedł tak wolno, że mijający go studenci, zaskoczeni własną szybkością, spoglądali mu ciekawie w twarz i po chwili wahania ruszali znowu, trzęsąc żelaznymi schodami. Ptak westchnął, poczuł zawrót głowy i wsparł się o poręcz...

Co za ulga znaleźć się wreszcie na szczycie! Nagle ktoś go zawołał po imieniu i cały lęk powrócił. Był to jeden z przyjaciół, a zarazem opiekunów grupy języków słowiańskich, utworzonej przez Ptaka i kilku innych tłumaczy. Ale w tej chwili Ptak był całkowicie pochłonięty walką z własnym kaczem i niespodziewane spotkanie stanowiło dla niego koszmarną mękę. Zamknął się w sobie jak zaatakowany skorupiak.

– Hej, Ptak! – zawołał kolega; przezwiska używali wszyscy, niezależnie od okoliczności. – Dzwonię do ciebie od wczoraj wieczór i nie mogę się dodzwonić. Pomyślałem; że wpadnę...

– Co? – mruknął Ptak nieuprzejmie.

– Nie słyszałeś nic o panu Delczewie?

– A co miałem słyszeć? – zapytał Ptak, którego ogarnęło złe przeczucie. Pan Delczew pełnił funkcję attache w konsulacie małego bałkańskiego państwa i był wykładowcą w grupie slawistycznej.

– Mówią, że zamieszkał z jakąś japońską dziewczyną i nie ma zamiaru wracać do konsulatu. Podobno trwa to już tydzień. Jego władze nie chcą nadawać sprawie rozgłosu i usiłują jakoś na niego wpłynąć; byli tu nawet u nas. Cóż, brakuje im ludzi. Dziewczyna mieszka w najbiedniejszej części Sindziuku, a przecież to jest dosłownie labirynt; nie mają w konsulacie nikogo, kto by się na tyle dobrze orientował w mieście, żeby móc go tam odszukać. Dlatego zwrócili się do nas o pomoc. Ostatecznie jesteśmy w pewnym stopniu odpowiedzialni za tę historię...

– Odpowiedzialni?

– Pan Delczew poznał ją w tym barze, do któregośmy go zaprosili wtedy po zebraniu, pamiętasz... w „Przedziale pulmanowskim”.
– Kolega Ptaka parsknął. – No co, nie pamiętasz takiej małej, dziwnej dziewczyny z ziemistą cerą?

Ptak przypomniał sobie natychmiast: rzeczywiście – mała, dziwna dziewczyna z ziemistą cerą.

– Ale przecież ona nie mówi ani po angielsku, ani w żadnym z języków słowiańskich, a jego japońszczyzna jest bardzo kiepska. Jak oni sobie radzą?

– Właśnie, na tym dowcip polega. Trudno sobie wyobrazić, żeby przez cały dzień nie otworzyli do siebie ust. – Kolega Ptaka był speszony własną insynuacją.

– A co będzie, jak pan Delczew odmówi powrotu do konsulatu? Czy to zostanie uznane za zdradę albo coś w tym rodzaju?

– No jasne!

– Ten Delczew naprawdę szuka guza – powiedział Ptak ponuro.

– Chcemy zwołać zebranie grupy i zastanowić się wspólnie nad tą sprawą. Jesteś wolny dziś wieczór?

– Wieczorem?... – Ptak był zakłopotany. – Nie... dziś wieczorem nie mogę.

.– Ale ty byłeś z Delczewem bliżej niż ktokolwiek z nas. Jeżeli zdecydujemy się wysłać do niego delegację, mieliśmy nadzieję, żebyś się zgodził pójść...

– Hm... delegację... nie, mimo wszystko dziś wieczorem nie mogę – odparł Ptak, i po chwili z wysiłkiem dodał: – Urodziło mi się dziecko, ale coś z nim jest nie w porządku i albo już nie żyje, albo właśnie umiera.

– O Boże! – wykrzyknął przyjaciel marszcząc czoło. – Nad ich głowami rozległ się dzwonek. – To straszne, okropne. Oczywiście, że w tej sytuacji poradzimy sobie jakoś bez ciebie. I głowa do góry... a z żoną wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję.

– Jak już postanowimy, co robić, dam ci znać. Wyglądasz fatalnie, nie załamuj się...

– Dziękuję.

Ptak, patrząc, jak jego przyjaciel zbiega po spiralnych schodach, w obłędnym pośpiechu, jakby go ktoś gonił, zły był na siebie, że ani słowem nie wspomniał o kacu. Wszedł do klasy. Przez chwilę patrzył w sto par oczu bazyliuszka. Potem z namysłem spuścił wzrok; ostrożnie, by znów nie podnieść głowy i nie spojrzeć uczniom w twarze, trzymając przed sobą książkę i pudełko kredy jak gdyby w geście obrony, wszedł na podium.

Czas zaczynać lekcję! Otworzył skrypt w miejscu, gdzie tkwiła wsadzona w ubiegłym tygodniu zakładka, nie mając zielonego pojęcia, co to za tekst. Ale po chwili głośnego czytania zorientował się, że to wyjątek z Hemingwaya. Skrypt stanowił obszerną antologię współczesnej literatury amerykańskiej, opracowaną przez kierownika studium; znalazły się tu ulubione fragmenty autora wyboru, w większości naszpikowane pułapkami gramatycznymi. Hemingway! Ptak poczuł się pewniej. Cenił Hemingwaya, szczególnie *Zielone wzgórze Afryki*. Wyjątek w skrypcie pochodził ze *Słońce też wschodzi*; była to jedna ze scen końcowych, kiedy bohater kapie się w morzu. Wypływa poza zasięg przyboju, zalewany wodą, i kiedy osiąga pełne, spokojne już morze, przewraca się na plecy. Nad sobą widzi tylko niebo, pod sobą czuje kołysanie fali...

W głębinach swego ciała Ptak czuł narastający nieuchronnie kryzys. W gardle miał sucho; obrzmiały język ledwie mieścił się w ustach. Ptak pograżył się w limfatycznym płynie strachu. Ale nie przestawał czytać głośno, spoglądając tylko od czasu do czasu jak chora łasica, chytrze, a zarazem nieśmiało, w stronę drzwi. Czy zdąży, gdyby uciekł już teraz? Znacznie lepiej jednak byłoby przezwyciężyć kryzys. W nadziei, że uda mu się odwrócić własną uwagę od żołądka, usiłował umiejscowić czytany fragment w kontekście. Bohater leżał jakiś czas na plaży, a potem znów poszedł pływać. Kiedy wrócił do hotelu, zastał telegram od swojej kochanki, która uciekła z młodym toreadorem. Ptak usiłował przypomnieć sobie treść telegramu: MÓGLBYŚ PRZYJECHAĆ HOTEL MONTANA MADRYT JESTEM W KŁOPOCIE BRETT.

Tak, tak to właśnie brzmiało; przypominał sobie bez trudu. Dobry omen – ze wszystkich telegramów, jakie w życiu czytałem, ten jest najbardziej sugestywny. Powinienem przezwyciężyć mdłości – była to bardziej modlitwa niż stwierdzenie. Dalej próbował odtwarzać akcję: bohater nurkuje z otwartymi oczyma i widzi coś zielonego wyciekającego z dna – jeśli rzeczywiście tak było w książce, uda mi się powstrzymać torsje. Zdołam je w ten sposób zaczarować. Ptak czytał dalej.

Bohater wyszedł z wody, wrócił do hotelu i znalazł tele-igram. Brzmiał on dokładnie tak, jak go zapamiętał: MÓGLBYŚ PRZYJECHAĆ HOTEL MONTANA MADRYT JESTEM W KŁOPOCIE BRETT.

Ale potem zszedł z plaży i nie było ani słowa o nurkowaniu z otwartymi oczyma. Ptak był zdumiony. Czyżby mu się pomyliło z jakąś inną powieścią Hemingwaya? A może w ogóle z zupełnie innym pisarzem? Pod wpływem tych wątpliwości czar prysł i Ptak zaniemówił. Gardło pokryło mu się pajęczą siecią drobniutkich pęknięć. Język o mało nie rozsadził ust. Uniósł oczy i z uśmiechem wytrzymał spojrzenie stu par oczu bazyliuszka. Pięć sekund nedorzeczej, rozpaczliwej ciszy. Następnie padł na kolana i wsparty rozcapierzonymi palcami o zabłoconą podłogę, jak ropucha, zaczął z jękiem wymiotować. Ze sztywno sterczącą spomiędzy ramion szyją przypominał rzygającego kota. Wnętrznosci skręcały się w nim i wyżywały do sucha; przywodził na myśl słabowitego demona wijącego się pod stopą olbrzymiego króla Devy. Miał nadzieję, że będzie w tym przynajmniej jakiś element komizmu, ale przedstawienie, jakie dał, wcale nie było śmieszne. Tyle tylko, że zgodnie z przepowiednią Himiko, gdy wymioty podchodziły mu do ust, a następnie cofały się spływając do gardła, miały wyraźnie cytrynowy smak. Fiołek wykwitły na murze ponurego lochu – pomyślał Ptak usiłując się opanować. Ale te psychologiczne sztuczki były kruche jak spieczona skórka na cieście – na nic się zdały wobec nowej fali skurczów, która przybrała teraz siłę sztormu. Ptak cały zeszywniał, a z jego ust wydarł się podobny do grzmotu jęk. Z obu stron błyskawicznie nadciągała ciemność ograniczając mu pole widzenia jak klapki, które nakłada się koniowi na oczy. Rad by się zaszyć w jakieś miejsce jeszcze ciemniejsze i głębsze, a stamtąd wymknąć się do innego świata!

Ale w sekundę później stwierdził, że otacza go ten sam świat. Z twarzą mokrą od łez patrzył ponuro we własne wymioty. Wodnista czerwono-brunatna kałuża upstrzona jaskrawożółtymi włókienkami cytryny. Równiny Afryki widziane z nisko lecącego samolotu w porze roku, gdy wszystko więdnie i usycha, mogłyby mieć te same barwy:

w cieniu cytrynowych strzępków czaił się hipopotam i mrówkojad, i górska kozica. Przypinaj spadochron, łap strzelbę i skacz z chyżością konika polnego.

Mdłości ustały. Ptak otarł usta ręką brudną od błota i żółci i wstał.

– Z uwagi na zaistniałe okoliczności chciałbym dziś wcześniej skończyć zajęcia – powiedział głosem, który przypominał zamierające westchnienie. Nie musiał przekonywać uczniów o tej konieczności. Sięgnął po skrypt i pudełko kredy. Nagle jeden z bazylišków zerwał się z miejsca i zaczął krzyczeć. Różowe wargi chłopca trzepotały, a jego okrągła, zniewieściała chłopska twarz oblała się głębokim rumieńcem. Ponieważ sepleniał i jąkał się lekko, trudno go było zrozumieć. Wkrótce jednak wszystko się wyjaśniło: chłopak krytykował postawę Ptaka jako wykładowcy, a widząc, że jedyną jego reakcją jest zmieszanie, stał się agresywny i napastliwy. Pomstował na wysokie opłaty za naukę, na to, że tak niewiele zostało czasu do egzaminów wstępnych, wyrzekał, że zaufanie, jakie uczniowie pokładali w kursach przygotowawczych, zostało zawiedzione. Stopniowo, jak wino zmienia się w ocet, zmieszanie Ptaka przerodziło się w lęk. Strach odcisnął wokół jego oczu głębokie koła. Ptak przypominał teraz przerażonego lemura. Niedługo złość jego napastnika udzieli się pozostałym dziewięćdziesięciu dziewięciu bazyliškom i zostanie otoczony przez setkę rozwścieczonych wyrostków nie mając żadnej szansy ucieczki. Jeszcze raz zdał sobie sprawę, jak mało wie o młodzieży, którą uczy dzień w dzień od tak dawna. Osaczył go tajemniczy wróg w sile stu, i to wtedy, gdy nadchodzące jedna po drugiej fale mdłości wypłukały z niego resztki sił.

Podniecenie napastnika wzrastało z każdą chwilą – był już bliski łez. Ale Ptak nie mógłby mu odpowiedzieć, nawet gdyby chciał – po ataku wymiotów jego gardło było suche jak pieprz, bez kropli śliny. Czuł, że stać by go było jedynie na typowo ptasi krzyk. Ach, jęczał w duchu, co za życie. Zawsze czyhają na mnie jakieś zdradliwe pułapki. A ta – jakżeż daleka jest od przygód, które mogłyby czekać badacza Afryki. Nawet gdybym w nią wpadł, to ani

bym się z niej nie wydostał, ani bym się nie zabił: patrzyłbym tylko tępo do końca życia w zamykające się wokół mnie ściany. Najchętniej wysłałbym telegram: JESTEM W KŁOPOCIE – tylko do kogo?

I właśnie wtedy jeden z chłopaków o inteligentnej twarzy, siedzący w środkowym rzędzie, wstał i powiedział spokojnie, zupełnie naturalnym tonem:

– Wyłącz się, dobrze? Przestań jęczeć.

Wzbierający wśród uczniów nieprzychylny, wrogi nastrój przysł nagle. Napięcie zostało rozładowane i klasa huknęła śmiechem. Czas działać! Ptak położył skrypt na pudełku z kredą i ruszył do drzwi. Wychodząc usłyszał za sobą krzyki. Odwrócił się i zobaczył, że chłopak, który go tak uporczywie prześladował, klęczy podparty rękami, dokładnie w takiej samej pozie jak on, kiedy go chwyciły mdłości, i obwąchuje jego wymioty.

– To śmierdzi whisky! – wrzasnął. – Masz kaca, ty skurwielu! Idę do dyrektora na sagę i zobaczysz, że cię wyrzucą na zbitą mordę!

Na sagę? Ptak zastanawiał się, co to może znaczyć, i kiedy wreszcie do niego dotarło, że „na skargę”, uroczy młody człowiek zdążył już wstać i ponurym tonem, który znów wywołał wybuch śmiechu ze strony kolegów, powiedział:

– Nie powinieneś pić, jak po tym rzygasz.

Uwolniony wreszcie od swego głupawego prześladowcy, Ptak zaczął schodzić po spiralnych schodach. A może Himiko miała rację; może rzeczywiście miał całą plejadę młodych wielbicieli, gotowych zawsze z pomocą w potrzebie. Przez kilka minut schodzenia po schodach – choć czuł gorzki smak wymiotów w gardle i na języku – przez te kilka minut Ptak był szczęśliwy.

VI

Na skrzyżowaniu korytarzy, które wiodły – jeden do gabinetu lekarzy pediatrów, drugi na specjalny oddział dziecięcy, Ptak zatrzymał się niezdecydowany. Młody pacjent w wózku inwalidzkim zjechał na bok, żeby go przepuścić, patrząc na niego spode łba. W miejscu, gdzie powinien mieć stopy, stało duże radio starego typu. Tych stóp nie było zresztą widać nigdzie indziej. Speszony Ptak przykleił się do ściany. Inwalida znów obrzucił go groźnym spojrzeniem, jakby Ptak reprezentował wszystkich tych, co idą przez życie na własnych dwóch nogach, a następnie ruszył z zawrotną szybkością. Ptak popatrzył, jak się oddala, i westchnął. Jeśli dziecko jeszcze żyje, powinien iść prosto na oddział. Jeśli umarło, musi załatwić z pediatrą formalności związane z sekcją i kremacją. Ale nie wiedział – mógł tylko zgadywać. Decydując się iść najpierw do gabinetu pediatry z całą świadomością postawił na śmierć dziecka. Z tą chwilą stał się jego prawdziwym wrogiem, pierwszym i największym. Jeżeli istnieje życie wieczne i Bóg, który sądzi, pomyślał Ptak, uzna go winnym. Ale to poczucie winy, podobnie jak smutek, który go ogarnął w karetce pogotowia, gdy porównywał swoje dziecko do Apollinaire'a z obandażowaną głową, miało pierwotnie smak miodu.

Coraz bardziej przyspieszając kroku, jakby biegł do kochanki, szedł na spotkanie głosu, który oznajmi mu o śmierci dziecka. Kiedy już się dowie, załatwi niezbędne formalności (sekcja to głupstwo, szpital sam mu pomoże; gorzej będzie z kremacją). Dziś samotnie będę je oplakiwał, jutro zawiadomię żonę o naszym nieszczęściu. Dziecko zmarło od rany w głowie ustanawiając tym samym między nami dwojgiem więzy krwi – powiem jej mniej więcej coś w tym rodzaju. – Jestem pewien, że uda nam się odbudować nasze życie rodzinne. A potem... znów to samo: te same rozczarowania, te same nie spełnione marzenia, Afryka tak samo odległa jak dotychczas...

Z przechyloną na bok głową Ptak zajrzał do nisko umieszczonego okienka rejestracji, podał nazwisko pielęgniarce, która spojrziała na niego zza szkła, i wyjaśnił sytuację, tak jak ona wyglądała poprzedniego dnia, kiedy przywiózł dziecko.

– Aha, pan przyszedł do tego dziecka z przepukliną mózgową – powiedziała radośnie pielęgniarka, z beztróskim uśmiechem. Była to kobieta po czterdziestce, z czarnym wąsikiem wokół ust. – Niech pan idzie prosto na specjalny oddział dziecięcy. Wie pan, gdzie to jest?

– Tak, wiem – odparł Ptak zachrypłym, bezbarwnym głosem. – Czy to znaczy, że dziecko jeszcze żyje?

– Jak to, oczywiście że żyje! Świetnie ssie i ma bardzo dobrze rozwinięte, silne ręce i nogi. Gratulacje!

– Ale to jest przepuklina mózgową...

– Tak, oczywiście. – Pielęgniarka uśmiechnęła się ponownie, ignorując jego wahanie. – Czy to pana pierwsze dziecko?

Ptak w odpowiedzi skinął tylko głową i pospieszył korytarzem na oddział. A więc przegrał. Ciekawe, jak wysoką stawkę. Ponownie na zakręcie korytarza spotkał pacjenta na wózku, ale tym razem szedł prosto przed siebie, ledwie na niego spojrzawszy, i kaleka musiał pospiesznie usunąć mu się z drogi, żeby nie doszło do zderzenia. Ptak nie był tym razem speszony, ledwie zdawał sobie sprawę z upośledzenia chłopaka. Co z tego, że nie ma nóg? Ptak był pusty w środku jak opróżniony magazyn. Gdzieś głęboko w dołku i w głowie nieustępliwy kac śpiewał swoją jadowitą śpiewkę. Spieszył korytarzem oddychając nierówno, cuchnęło mu z ust. Pasaż łączący główne skrzydło z poszczególnymi oddziałami wznosił się łukowato jak wiszący most, zakłócając dodatkowo jego i tak wątpliwe poczucie równowagi. Po obu stronach korytarza, który przypominał kanał z odległym słabym światłem na końcu, znajdowały się drzwi poszczególnych sal. Ptak, z ziemistą twarzą, systematycznie przyspieszał kroku, aż prawie biegł.

Drzwi na specjalny oddział dziecięcy, jak drzwi chłodni, wykonane były z surowej blachy cynowej. Ptak podał swoje

nazwisko pielęgniarce, jakby wyszeptał coś wstydliviego. Znów ogarnęło go to samo skrępowanie co poprzedniego dnia, kiedy dowiedziawszy się, że dziecko jest nienormalne, odczuł świadomość własnego ciała. Pielęgniarka zaprosiła go skwapliwie do środka. Kiedy zamykała za nim drzwi, spojrział w owalne lustro wiszące na filarze w sali i zobaczył lśniący na czole i na nosie pot, wargi rozchylone w nierównym oddechu, mętne, zezujące do środka oczy: twarz zboczeńca. Ogarnięty nagłą odrazą, odwrócił się gwałtownie, ale obraz tej twarzy zapadł już w jego świadomość. Przez skołataną głowę przemknęło przeczucie niby uroczysta obietnica: od tej chwili wspomnienie tej twarzy będzie mnie prześladowało.

– Które jest pana? – Stojąca koło Ptaka pielęgniarzka zwróciła się do niego, jakby był ojcem najzdrowszego i najpiękniejszego dziecka w całym szpitalu. Ale nie uśmiechała się, nie była nawet sympatyczna. Ptak uznał, że musi to być normalna na tym oddziale rutyna. Wszyscy przerwali swoje zajęcia i spojrzeli na niego wyczekująco: pielęgniarzka, która zadała mu to pytanie, dwie młode siostry, które właśnie pod wielkim boilerem umieszczonym na przeciwległej ścianie płukały butelki, starsza pielęgniarzka, która tuż koło nich odmierzała sproszkowane mleko, doktor studiujący kartotekę na zaśmieconym biurku pod brudną, oklejoną plakatami ścianą i drugi, który rozmawiał z małym, przysadzistym mężczyzną, najwyraźniej ojcem jednego z potworków.

Ptak obrzucił wzrokiem salę niemowląt mieszczącą się za szerokim szklanym przepierzeniem. Zapomniał w tym momencie o obecności lekarzy i pielęgniarek. Jak puma, która w poszukiwaniu ofiary bystrym okiem ogarnia równinę ze szczytu kopca termitów, tak samo Ptak obserwował dzieci za szklaną taflą.

Oddział tonał w powodzi ostrego światła. Tutaj to już nie był początek lata; tu była pełnia. Odbity promień słoneczny przypiekał mu czoło. Dwadzieścia niemowlęcych łóżeczek i pięć inkubatorów przypominających organy elektryczne. W inkubatorach rysowały się niewyraźnie małe kształty, jakby spowite w mgłę. Za to dzieci w łóżeczkach były aż nazbyt odsłonięte i obnażone. Poddane

porażającemu działaniu palącego słońca leżały zwarzone niby najpotulniejsza w świecie trzoda. Niektóre poruszały słabo rączkami i nóżkami, ale nawet na nich pieluszki i białe bawełniane koszulki wydawały się ciężkie jak ołowiany skafander nurka. Wszystkie maleństwa robiły wrażenie zakutych w kajdany skazańców: jednym przywiązano do łóżek przeguby rączek (co z tego, że miało im to uniemożliwić drapanie wrażliwej skóry?), innym przymocowano strzępami gazy nóżki (co z tego, że dla zabezpieczenia ran powstałych przy transfuzji?) – te szczególnie przywodziły na myśl maleńkich, bezbronnych więźniów. Na sali panowała całkowita cisza. Czyżby szklana ścianka tak dokładnie tłumila głosy? – zastanawiał się Ptak. Nie, noworodki leżały z pozamykanymi buziami jak biedne żółwie bez apetytu. Spojrzenie Ptaka przesunęło się po główkach. Zapomniał już twarzy swego syna, ale jego dziecko było naznaczone w sposób wykluczający wszelką omyłkę. Zaraz, jak to powiedział dyrektor szpitala? „Chodzi panu o wygląd? Wygląda, jakby miało dwie głowy! Kiedyś słyszałem taki utwór Wagnera *Pod dwugłowym orłem*” – skurwysyn musi być wielbicielem muzyki klasycznej.

Ale Ptak nie mógł znaleźć dziecka z odpowiednią głową, mimo że zirytowany wodził wzrokiem wzdłuż rzędu łóżeczek. Nagle, bez żadnego widocznego powodu, wszystkie niemowlęta jak na komendę otworzyły buzie niby cielece wątróbki i zaczęły wić się i wrzeszczeć. Ptak wzdrygnął się i odwrócił do pielęgniarki, jakby chciał zapytać: „Co się stało?” Ale pielęgniarka nie zwracała najmniejszej uwagi na skrzeczące niemowlaki, podobnie jak i reszta personelu; wszyscy w milczeniu i z głębokim zainteresowaniem obserwowali Ptaka bawiąc się w zgadywanke: „No, już wiesz? Szukaj w inkubatorze. Jak myślisz, który inkubator jest domem twego dziecka?”

Posłusznie, jakby zaglądał do akwarium, mrocznego od planktonu i szlamu, ugiął kolana i zajrzał do najbliższego inkubatora. Maleńkie, jak oskubane kurczę, leżało tam dziecko z dziwnie popękana skórą, całe w wysypce. Było nagie – plastikowy woreczek osłaniał poczwarke jego członka, a płatek gazy pępowinę. Jego spojrzenie, gdy popatrzyło na Ptaka, przypominało karzełki z

ilustrowanych bajek dla dzieci – tyle w nim było odwiecznej mądrości, jakby i ono wraz z pielęgniarkami brało udział w ogólnej grze. Choć nie ulegało wątpliwości, że nie jest to jego dziecko, ten wcześniak o starczym wyglądzie, ginący cicho, bez skargi, natchnął Ptaka uczuciem przyjaźni, jaką mógłby obdarzyć drugiego dorosłego człowieka. Wyprostował się, z trudem odrywając wzrok od wilgotnych, spokojnych oczu niemowlęcia, i zdecydowanie zwrócił się do pielęgniarek, jak gdyby zamierzał im powiedzieć, że ma już dość tej zabawy. Kąt ustawienia i gra światła uniemożliwiały zajrzenie do innych inkubatorów.

– Jeszcze się pan nie zorientował? To jest ten inkubator na końcu sali pod oknem. Ja go podwiozę, żeby pan mógł stąd zobaczyć dziecko.

Przez moment Ptak był wściekły. A potem zrozumiał, że cały ten rytuał oznaczał wprowadzenie na specjalny oddział dziecięcy – słowa pielęgniarki stały się dla wszystkich hasłem do podjęcia przerwanych zajęć.

Mobilizując się wewnętrznie, popatrzył na wskazany przez siostrę inkubator. Od momentu wejścia na oddział znajdował się pod jej wpływem: stopniowo znikło uczucie urazy i potrzeba buntu. Sam teraz słaby i uległy, mógł być powiązany strzępami gazy jak te niemowlęta, które nagle zaczęły płakać, w tak osobliwy sposób demonstrując swoją solidarność. Odetchnął głęboko; jego oddech był gorący; przejechał wilgotnymi dłońmi po siedzeniu, a następnie otarł ręką pot z czoła, oczu i policzków. Rozmasował pięściami oczy, w których błysnęły ciemne płomienie; miał uczucie, że spada na łeb, na szyję w przepaść. Zatoczył się...

Kiedy otworzył oczy, zobaczył pielęgniarkę jak gdyby w lustrze; zbliżała się właśnie do niego z drugiej strony szklanego przepierzenia pchając przed sobą inkubator. Ptak zebrał się w sobie, wyprostował się i zacisnął pięści. A potem spojrział na swoje dziecko. Nie miało już głowy obandażowanej jak ranny Apollinaire, a jego cera – w odróżnieniu od innych niemowląt – była czerwona jak ugotowana krewetka i nienormalnie błyszcząca, lśniła jak naskórek na świeżo

zabliźnionym oparzeniu. Zamknięte mocno powieki świadczyły o tym, że dziecku musi coś okrutnie doskwierać. Tym czymś była niewątpliwie narośl, która sterczała z tyłu czaszki – trudno zaprzeczyć – jak druga purpurowa głowa. Była ona z pewnością ciężka i niewygodna – jak kotwica ucepiona głowy! Głowy długiej, spiczasto zakończonej. Jej widok wywołał znacznie potężniejszy szok niż sam guz. Ptak jakby dostał obuchem w łeb – chwyciły go mdłości zupełnie inne niż nudność wywołana kacem, potworne mdłości, które zachwiały całym jego istnieniem. Skinał do obserwującej go spoza inkubatora pielęgniarki, jak gdyby. chciał powiedzieć: „Już dość!”, albo poddać się czemuś, czego nie był w stanie pojąć. Czyżby dziecko miało żyć i rozwijać się z tą naroślą na głowie? Ono wcale nie zamierzało umierać – już cklive, łatwe łzy żaloby nie rozpuszczą go, jakby było odrobiną galarety. Świadomość, że dziecko będzie żyło, przygnębiła Ptaka, zaczęła go dręczyć. Obciągnięte skórą czerwoną jak krewetka, lśniącą niby świeżo zabliźniona rana, zaczynało okrutny żywot, skazane na dźwiganie ciężkiej kotwicy swego guza. Egzystencja rośliny? Możliwe; złośliwy, żywotny kaktus. Pielęgniarka kiwnęła głową, jak gdyby zadowolona z tego, co wyczytała w twarzy Ptaka, i odwiozła inkubator z powrotem pod okno. Znów burza niemowlęcych wrzasków wstrząsnęła oddzielnym szklaną ścianką pomieszczeniem, w którym światło buzowało jak w piecu ognistym. Ptak oklapł, spuścił głowę. Krzyk dziecięcy wypełnił ją jak proch skałkówkę. Marzył o jakimś małym łóżeczku czy inkubatorze dla siebie; najlepszy byłby inkubator z mgiełką pary wodnej w środku; mógłby w nim leżeć i oddychać skrzelami jak bezduszny stwór ziemnowodny.

– Powinien pan zaraz powypełniać formularze związane z przyjęciem dziecka do szpitala – powiedziała pielęgniarka stając – znów obok niego. – Prosimy o wpłacenie trzydziestu tysięcy jenów kaucji.

Ptak skinał głową.

– Dziecko świetnie ssie mleko i ma bardzo żwawe ruchy rąk i nóg.

Po kiego diabła pije to mleko i ćwiczy ruchy? – o mało nie spytał z wyrzutem Ptak, ale się powstrzymał. Z niesmakiem pomyślał, że robi się drażliwy.

– Zechce pan chwilę zaczekać, poproszę dyżurnego pediatrę.

Pozostał sam, zignorowany. Pielęgniarki niosące tace z butelkami i pieluszki potraçały go łokciami, ale żadna nawet nie spojrzała mu w twarz. A mimo to on je nieśmiało przeproszał. Tymczasem cały oddział po tej stronie szklanego przepierzenia rozbrzmiał głosem niskiego mężczyzny, który wyraźnie miał pretensję do jednego z lekarzy.

– Skąd macie pewność, że nie ma wątroby? I jak coś podobnego mogło się zdarzyć? Już mi wyjaśnialiście ze sto razy, ale to się nie trzyma kupy. Chodzi mi o to, czy to prawda z tym, że dziecko nie ma w ogóle wątroby. Doktorze, niech pan powie!

Ptak zdołał się jakoś ustawić tak, żeby nie zawadzać krzątającym się pielęgniarkom, i stał jak wierzba płacząca patrząc na swoje spocone dłonie. Były podobne do mokrych skórzanych rękawiczek. Przypomniał sobie rączki swojego dziecka, uniesione do góry, spoczywające obok główki. Były to duże dłonie, jak u niego, z długimi palcami. Schował ręce do kieszeni spodni. A potem spojrzał na niskiego mężczyznę, dobrze po pięćdziesiątce, który w rozmowie z lekarzem prezentował szczególnie upartą logikę. Miał na sobie brązowe pumpy i rozpiętą pod szyją sportową koszulę z zawiniętymi rękawami. Koszula była za obszerna na jego wątłą postać, przypominająca szkielet ledwie obłożony czymś w rodzaju suszonego mięsa. Gołe ramiona i szyja były spalone na brąz jak rzemień i zdumiewająco żylaste; ten rodzaj skóry i mięśni widuje się u wątłych pracowników fizycznych, cierpiących na chroniczne przemęczenie. Kędzierzawe włosy mężczyzny przylegały do dużej płaskiej głowy jak niechlujna tłusta mycka; czoło miał za szerokie, oczy tępe, a małe usta i szczęka psuły proporcje twarzy. Człowiek ten z pewnością pracował rękami, ale nie mógł być zwykłym robotnikiem. Prawdopodobnie wykonując różne ciężkie, nieskomplikowane prace, ćwiczył jednocześnie umysł i nerwy jako drobny przedsiębiorca. Miał

na sobie szeroki jak obi* pas, dla którego znakomitą przeciwwagę stanowił ekstrawagancki pasek od zegarka z krokodylowej skóry zdobiący przegub ręki, którą wymachiwał lekarzowi przed nosem, o dobrych osiem cali powyżej własnego. Sposób wyrażania się i zachowanie doktora były typowe dla niższego urzędnika i męczyzna stawiając się i pokrzykując usiłował podważyć jego wątpliwy autorytet. Od czasu do czasu jednak rzucał spojrzenie za siebie, ku pielęgniarkom i Ptakowi, i wtedy w jego oczach malowała się rezygnacja, jak gdyby godził się z klęską, z której miał się już nigdy nie podźwignąć. Dziwny mały człowieczek.

– Nie wiemy, jak do tego doszło. Trzeba przyjąć, że to przypadek. Faktem jest, że pańskie dziecko nie ma wątroby. Stolec jest biały. Zupełnie biały! Czy widział pan jakiegokolwiek dziecko z takim stolcem? – powiedział doktor wyniośle, jakby czubkiem buta usuwał z drogi intruza.

– Widziałem kurczęta, które robiły na białą. A kurczęta mają na ogół wątroby, nie? Lubi pan pewnie smażone wątróbki z drobiu z jajkami? Kurczęta mają wątroby, a mimo to niektóre robią na białą!

– Wiem o tym, ale my nie mówimy o kurczętach, to jest dziecko, mały człowiek!

– Ale czy to rzeczywiście coś takiego niezwykłego – dziecko z białym stolcem?

– Z białym stolcem?! – wybuchnął doktor. – Tak, dziecko z białym stolcem to rzeczywiście coś niezwykłego.

– Wszystkie dzieci bez wątroby mają biały stolec, to rozumiem, ale czy to automatycznie oznacza, że wszystkie dzieci z białym stolcem nie mają wątroby? Tak, doktorze?

– Już wyjaśniałem to panu przynajmniej ze sto razy! – Wściekły głos lekarza zabrzmiał jak krzyk rozpacz. Chciał wyśmiać małego człowieczka, ale jego duża twarz za grubymi szklami w rogowej

* Szeroki pas noszony do kimona.

oprawie była wbrew niemu samemu ściągnięta bólem i usta mu drżały.

– Czy mógłbym to jeszcze raz usłyszeć, doktorze? – Teraz mężczyzna był cichy, potulny. – To, że mój syn nie ma wątroby, nie jest wesołe ani dla niego, ani dla mnie. To poważna sprawa, prawda, doktorze?

Wreszcie doktor poddał się, posadził nieszczęsnego ojca przy swoim biurku, wyjął kartę dziecka i zaczął mu wyjaśniać. Wymiana zdań między lekarzem a rozdrażnionym, pełnym wątpliwości mężczyzną była tak intensywna, że przestała być dostępna dla Ptaka. Próbował podsłuchiwać, z przechyloną ku nim głową, ale właśnie w tym momencie wpadł na oddział lekarz, mniej więcej w jego wieku, i zatrzymał się tuż za nim.

– Czy jest tu może ktoś od dziecka z przepukliną mózgową? – zawołał wysokim, piskliwym głosem przypominającym dźwięk metalowej piszczałki.

– Tak – odparł Ptak odwracając się. – Ja jestem ojcem...

Doktor zlustrował go oczyma, w których było coś z żółwia. Ale nie tylko w oczach; kwadratowa szczęka i obwisła, pomarszczona szyja też przywodziły na myśl brutalnego żółwia-aligatora. Ale z tych oczu, białawych, ponieważ źrenice były jedynie pozbawionymi wyrazu punkcikami, wyzierały prostota i życzliwość.

– Czy to jest pana .pierwsze dziecko? – zapytał nie przestając przyglądać się Ptakowi podejrzliwie. – To musiało być dla pana straszne.

– Tak...

– Nie mam panu właściwie nic nowego do zakomunikowania. W ciągu najbliższych czterech czy pięciu dni zbada dziecko neurochirurg; zastępca naszego dyrektora to sława w tej dziedzinie. Oczywiście żeby mogli operować, dziecko musi się wzmocnić, inaczej nie miałyby to sensu. Mamy strasznie dużo pracy na neurochirurgii, dlatego unikamy niepotrzebnej straty czasu.

– A to... ono będzie operowane?

– O ile wzmocni się na tyle, że przetrzyma operację – odrzekł doktor, błędnie sobie tłumacząc wahanie Ptaka.

– A czy istnieje nadzieja, że dziecko po operacji będzie się rozwijało normalnie? W szpitalu, w którym się urodziło, powiedzieli, że nawet jeśli zostanie zoperowane, będzie najwyżej na poziomie rośliny.

– Rośliny... ja bym może tego tak nie nazwał... – Doktor nie dając Ptakowi wyraźnej odpowiedzi zamilkł. Ptak wpatrywał się w jego twarz wyczekująco. Nagle ogarnęło go haniebne pragnienie. Zalęgło się ono w mrokach jego świadomości jak kłębowisko czarnych ślimaków, kiedy dowiedział się w okienku rejestracji, że dziecko jeszcze żyje, i z przerażającą jasnością przybierało na sile. Znowu Ptak zadał sobie pytanie: jak będzie wyglądało nasze dalsze życie, moje i mojej żony, z tym potworkiem na karku? Muszę od niego uciec. Jeśli tego nie zrobię, to co z moją Afryką? W poczuciu zagrożenia, jak gdyby potworek w inkubatorze skradał się do niego zza szklanej ściany, mobilizował się do walki. Tasiemiec egoizmu przyssał się już do niego i Ptak, czerwony ze wstydu, pokrył się perlistym potem. Łomot tętna ogłuszył go na jedno ucho, oczy nabiegły mu krwią, jakby go zdzieliła wielka, niewidzialna pięść. Twarz mu płonęła, był bliski łez. Ach, marzył, żeby tylko mógł się jakoś pozbyć tego roślinnego monstrum. Ale przecież nie przyzna się do tego przed lekarzem, nie zdoła pokonać bariery wstydu. W rozpacz, czerwony jak pomidor, spuścił głowę.

– To pan nie chce zgodzić się na operację i pomóc dziecku... przynajmniej częściowo?

Ptak wzdrygnął się: poczuł się tak, jakby doświadczony palec dotknął najbrzydszego, a zarazem najwrażliwszego na rozkosz miejsca jego ciała – mięsistych fałd moszny. Purpurowy na twarzy, błagał lekarza głosem tak nikczemnym, że sam ledwie mógł go słuchać:

– Jeżeli nawet po zabiegu szanse... że dziecko będzie się rozwijało normalnie, są takie nikłe...

Zdawał sobie sprawę, że zrobił pierwszy krok na pochyłej drodze hańby. Istniało niebezpieczeństwo, że dalej poleci z szybkością lawiny. Ponownie się wzdrygnął, świadom nieuchronności tego, co się z nim dzieje. A mimo to jego oczy, rozgorączkowane, nieprzytomne, nie przestawały błagać doktora.

– Pan chyba rozumie, że nie mogę zrobić nic, żeby po prostu pozbawić dziecko życia! – Doktor spojrział na Ptaka z wyższością i niesmakiem.

– Oczywiście, że nie... – rzekł pospiesznie Ptak, jakby usłyszał coś wysoce zaskakującego. Stwierdziwszy, że doktor go szybko rozszyfrował, poczuł się podwójnie upokorzony; w rozgoryczeniu nie próbował nawet odzyskać twarzy.

– Rzeczywiście jest pan młodym ojcem... pewnie tak gdzieś w moim wieku? – Powoli odwracając swoją żółtą głowę doktor spojrział na resztę personelu. Ptak, zdjęty paniką, pomyślał, że chce z niego zakpić. Jeżeli będzie próbował zrobić ze mnie wariata, powiedział sobie w duchu ze śmieszoną brawurą, półprzytomny, zabiję go! Ale doktor zamierzał przystąpić do haniebnego spisku. Głosem ściszym, tak żeby nikt inny nie mógł go usłyszeć, powiedział:

– Spróbujemy ograniczyć dziecku racje mleka. Można mu nawet zamiast mleka podawać wodę z cukrem. Poobserwujemy przez jakiś czas, jak się będzie zachowywało na tej diecie, ale jeżeli nie osłabnie, musimy operować, nie ma wyjścia.

– Dziękuję – powiedział Ptak z nieśmiałym westchnieniem.

– Proszę to zachować przy sobie. – Ton doktora znów wzbudził w Ptaku obawy, że z niego zakpiono. Ale wtedy lekarz rzekł łagodnie, jak do chorego: – Niech pan wpadnie za cztery, pięć dni. Tak od razu nie będzie żadnej dostrzegalnej zmiany, zresztą nie ma sensu robić tego na siłę – po czym zamknął usta jak żaba łykająca muchę.

Ptak odwrócił od niego wzrok i zgarbiony ruszył ku drzwiom. Ale zanim wyszedł, zatrzymał go głos pielęgniarki:

– Proszę jak najszybciej wypełnić formularze!

Spieszył ponurym korytarzem, jakby uciekał z miejsca zbrodni. Zrobiło się upalnie. Dopiero teraz zorientował się, że na oddziale była klimatyzacja – pierwsze klimatyzowane pomieszczenie, w jakim się znalazł tego lata. Ukradkiem otarł gorące łzy wstydu. Ale w jego głowie było jeszcze goręcej, goręcej nawet niż na zewnątrz; drżąc na całym ciele szedł niepewnym krokiem rekonwalescenta. Kiedy mijał otwarte okno oddziału wewnętrznego, jeszcze ciągle we łzach, pacjenci – jak brudne zwierzęta – jedni leżąc, inni siedząc na łóżkach, patrzyli za nim z kamiennymi twarzami. Atak płaczu ustąpił, kiedy Ptak mijał prywatne separatki, ale uczucie wstydu zastygło mu w oczach niby jaskra. I nie tylko w oczach; ścięło się i zestaliło w najtajniejszych głębiach całego ciała. Uczucie wstydu: rak. Ptak był świadom obecności tej obcej tkanki, ale nie potrafił o niej myśleć; jego umysł był wypalony, wygasły. W otwartych drzwiach jednej z separatek, jak gdyby tarasując wejście, stała drobna, młodziutka, zupełnie naga dziewczyna. W błękitnawym cieniu jej ciało wydawało się jeszcze nie w pełni rozwinięte. Lewą ręką tuliła litościwie mizerne guzki piersi, prawą głaskała płaski brzuch i skubała włosy łonowe. Nagle rzuciła Ptakowi wyzywające spojrzenie migotliwych oczu, rozsunęła nogi i tym samym litościwym, łagodnym ruchem zatopiła miłosierny palec w złocistym runie otaczającym srom; jej podświetlona sylwetka rysowała się przez moment ostro na tle okna. Ptak, ogarnięty współczuciem graniczącym niemal z miłością, przeszedł koło otwartych drzwi nie czekając, aż nimfomanka osiągnie swoje samotne spełnienie. Uczucie wstydu było w nim zbyt silne, by mógł okazać zainteresowanie komukolwiek poza sobą.

Na korytarzu wiodącym do głównego skrzydła dogonił go mały logik w rzemiennym pasie i krokodylowym pasku od zegarka. Dotrzymywał mu kroku z tą samą arogancką przekorą, którą demonstrował na oddziale, podskakując na swoich krótkich

nózkach, żeby wyrównać w ten sposób różnicę wzrostu. Wreszcie patrząc Ptakowi w twarz odezwał się donośnym głosem człowieka, który podjął decyzję. Ptak słuchał w milczeniu.

– Trzeba im wypowiedzieć wojnę, rozumie pan, walczyć! Walczyć! Walczyć! Ze szpitalem, a w szczególności z lekarzami, trzeba walczyć. Dałem im dzisiaj do wiwatu, chyba pan słyszał, co?!

Ptak przypomniał sobie „biały stolec” i skinał głową. W swojej walce ze szpitalem mały człowieczek chwycił się rozpaczliwych sposobów dając się całkowicie ponieść słowom.

– Pan wie, mój mały nie ma wątroby, więc muszę walczyć, bo go inaczej żywcem pokroją. Żeby pan wiedział! Jak pan chce coś załatwić w dużym szpitalu, to pan musi się stawiać! Nic pan nie wskóra, jak pan będzie grzeczny i cichy. Umierający pacjent tyle się może o siebie upomnieć, co trup w stanie kompletnego rozkładu. Ale od tego jest właśnie rodzina, my nie możemy sobie pozwolić na uprzejmość. Trzeba walczyć, i to jak! Parę dni temu powiedziałem im wprost: jak dzieciak nie ma wątroby, to mu zróbcie! Ale żeby walczyć, trzeba mieć taktykę, więc się obczytałem na wszystkie strony. I mówię im: jeśli dorabiacie sztuczne odbytnice, to możecie dorobić sztuczną wątrobę. A poza tym, mówię, wątroba jest chyba ważniejsza niż zwykła dziura w dupie!

Znaleźli się przy głównym wejściu do szpitala. Ptak czuł, że jego towarzysz usiłuje go rozweselić, ale nie było mu do śmiechu.

– Myśli pan, że dziecko wyzdrowieje do jesieni? – zapytał, jak gdyby chciał mu wynagrodzić swoją ponurą minę.

– Wyzdrowieje? Słaba szansa, mój syn nie ma wątroby! Jestem sam jeden przeciwko dwutysięcznemu personelowi tego ogromnego szpitala!

Rozgoryczenie, a zarazem godność słabszego, z jaką to zostało powiedziane, wstrząsnęły Ptakiem. Odrzucił propozycję podwiezienia trzykołową półciągarówką i poszedł sam na przystanek autobusowy. Myślał o trzydziestu tysiącach jenów, które będzie musiał zapłacić za szpital. Już wiedział, Skąd weźmie na to pieniądze, i na moment,

nie dłuższy niż trwało podjęcie decyzji, uczucie wstydu ustąpiło rozpaczliwej wściekłości nie skierowanej właściwie przeciwko nikomu, od której aż zadrżał. Miał w banku niewiele ponad trzydzieści tysięcy jenów, ale był to depozyt stanowiący zaczątek jego „afrykańskiego” funduszu. Jak dotąd owa suma stanowiła jedyny konkretny dowód jego planów. A teraz poza dwiema mapami drogowymi nie pozostanie mu już nic, co by go wiązało bezpośrednio z podróżą do Afryki. Pot sączył mu się wszystkimi porami skóry i na ustach, uszach i czubkach palców czuł nieprzyjemny wilgotny chłód. Stał na końcu kolejki do autobusu i głosem przypominającym brzęczenie komara zaklął:

– Do diabła z tą Afryką!

Stojący tuż przed nim mężczyzna zaczął się odwracać, ale rozmyślił się i wolno wyprostował swoją dużą, łysą głowę. Wszyscy byli wykończeni upałem, który tak przedwcześnie trawił miasto.

Ptak zamknął omdlewające powieki i wstrząsany zimnym dreszczem pocił się obficie. Wkrótce poczuł, że jego ciało zaczyna wydzielać nieprzyjemny odór. Autobus nie nadjeżdżał; panowała spiekota. Wstyd i wzbierająca wściekłość przesłoniły mu oczy czerwona ciemnością. I nagle poprzez tę ciemność przebił się i strzelił do góry jak młode drzewko kauczukowe pęd seksualnego pożądania. Z zamkniętymi nadal oczyma Ptak sięgnął ręką do spodni i przez materiał dotknął naprężonego w erekcji członka. Poczuł się nędzny, podły, nikczemny; pragnął najwyższego zaspokojenia w intymnym akcie seksualnym. Pragnął stosunku, który by obnażył drażący go wstyd. Wyszedł z kolejki i oczyma poddanymi okrutnej torturze słońca zaczął się rozglądać za taksówką; widział wszystko jak w negatywie: biel i czerń odwrotnie. Chciał wrócić do Himiko, gdzie światło dzienne nie miało dostępu. Jeśli mnie wyrzuci, pomyślał rozdrażniony, jakby się celowo tą myślą biczował, zbije ją do nieprzytomności, a potem zerznę.

VII

– Zawsze, ilekroć usiłujesz się ze mną przespać, jesteś w fatalnej kondycji – westchnęła Himiko. – Teraz na przykład jesteś chyba najmniej atrakcyjnym Ptakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Ptak milczał uparcie.

– Ale mimo to się z tobą prześpię. Od samobójstwa męża przestałam w tych sprawach grymasić. A poza tym, jeżeli postanowiłeś odbyć ze mną najbardziej nawet odrażający stosunek, jestem pewna, że niezależnie od tego, co będziemy robili, potrafię znaleźć w tym coś autentycznego.

Autentyczne – prawdziwe, niekłamane, rzeczywiste, naturalne, czyste, szczere – nauczyciel kursów przygotowawczych wyliczał w myśli wyrazy bliskoznaczne. Ale w jego obecnym stanie żadne z tych określeń w najmniejszym nawet stopniu nie mogło się do niego odnosić.

– Kładź się, ja się muszę umyć.

Powoli zdjął przepocone ubranie i położył się na zniszczonym kocu. Podparłszy głowę pięściami rzucił okiem na własny rysujący się brzuch i białawy, nie dość sztywny penis. Himiko, widoczna przez szeroko otwarte drzwi łazienki, przykucnęła nad muszlą klozetową i rozwarłszy uda polewała sobie krocze wodą z dużego dzbanka. Ptak obserwował ją przez chwilę z łóżka i uznał, że to mądrość nabyta w wyniku bujnego życia erotycznego z wieloma mężczyznami. Po czym, dalej patrząc spokojnie na swój brzuch i członek, czekał.

– Ptak... – zawołała Himiko, zachlapana aż po piersi, wycierając się energicznie dużym kąpielowym ręcznikiem – dzisiaj jest niebezpiecznie, mogę zajść w ciążę, czy jesteś przygotowany?

– Nie.

Ciąża! Ciernie, którymi najeżone było to słowo, zraniły Ptaka do żywego, aż jęknął żałośnie. Te ciernie rwały mu wnętrzości paląc je ogniem.

– To trzeba będzie o czymś pomyśleć. – Himiko z hukiem rewolwerowego wystrzału postawiła na podłodze dzbanek i podeszła do Ptaka nie przestając się wycierać. Speszony osłonił ręką zwiędły członek.

– Nagle mi odeszło – powiedział. – Himiko! Jestem w tej chwili do niczego.

Oddychając głośno, zdrowo, dziewczyna patrzyła na Ptaka i wycierała sobie boki i rowek między piersiami. Wyglądało na to, że się zastanawia nad ukrytym znaczeniem jego słów. Zapach jej ciała ożywił w nim letnie wspomnienia z czasów studiów i Ptak złapał oddech: skóra spieczona na słońcu. Himiko zmarszczyła nos jak mały spaniel i parsknęła bezceremonialnym śmiechem. Ptak oblał się rumieńcem.

– Tylko ci się tak wydaje, że jesteś do niczego – powiedziała niedbale i upuszczając ręcznik tam, gdzie stała, zaczęła nakrywać go swoim ciałem, z którego sterczały niby dwa kły jej małe piersi. Ptak, jak dziecko, w odruchu samoobrony, jedną ręką osłaniając członek, drugą wymierzył prosto w brzuch Himiko. Dłoń zagłębiła się w miękkie ciało dziewczyny i Ptak pokrył się gęsią skórą.

– To przez ciebie, bo zaczęłaś wykrzykiwać o ciąży – usprawiedliwił się pospiesznie.

– Nic nie wykrzykiwałam – zaproponowała Himiko zirytowana.

– Dostałem jak obuchem w łeb. „Ciąża” jest słowem, którego nie znoszę!

Himiko zakryła piersi i podbrzusze rękami, prawdopodobnie dlatego, że Ptak dalej uparcie chował swój penis. Przypominali starożytnych zapaśników, którzy walczyli nago: najpierw gołymi

rękami osłaniali najwrażliwsze części ciała, a potem stali naprzeciw siebie, czujni, bacznie się nawzajem obserwując.

– O co chodzi, Ptak? – zapytała bez złości. Powoli zaczynała doceniać powagę sytuacji.

– Pomyślałem o ciąży i... kłapa.

Dziewczyna złożyła nogi i usiadła dotykając jego uda. Posunął się na wąskim łóżku i zrobił jej miejsce. Opuściła rękę, którą zakrywała piersi, i delikatnie dotknęła jego dłoni zaciśniętej na członku.

– Ptak, ja sobie z nim poradzę – powiedziała spokojnie, ale z przekonaniem. – Od tamtej nocy w składzie drewna wiesz, upłynęło sporo czasu...

Ogarnęło go uczucie mrocznej, lepkiej bezradności; poddał się łaskotliwej grze palców Himiko. Czy potrafi jej to w sposób przekonywający wyjaśnić? Miał wątpliwości. Ale przecież musi, musi jakoś wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– To nie jest sprawa techniki – rzekł odwracając oczy od żalostnego w swojej szczerości widoku jej piersi. – Problem polega na strachu.

– Strachu? – Himiko obracała w myślach to słowo, jak gdyby spodziewała się znaleźć załączek żartu.

– Boję się tych ciemnych czeluści, w których poczęło się to dziwaczne dziecko – oświadczył Ptak siląc się na żartobliwy ton, co jednak tylko pogłębiło ponury nastrój. – Kiedy zobaczyłem to dziecko z obandażowaną głową, przypomniał mi się Apollinaire. Może to zabrzmiało sentymentalnie, ale pomyślałem sobie, że tak samo jak Apollinaire zostało ranne w głowę na polu bitwy. Moje dziecko odniosło ranę w jakiejś samotnej walce wewnątrz czarnej zamkniętej czeluści, której nigdy nie widziałem... – Mówiąc to Ptak przywołał na pamięć cklive łzy odkupienia, które przelał w karetkę. Ale łzy wstydu przelane dziś na szpitalnym korytarzu nie miały już nic

wspólnego z pokutą... – Nie mogę wysłać biedactwa, jakim jest w tej chwili mój penis, na to pole bitwy!

– Ale czy ta sprawa nie ogranicza się jedynie do twoich stosunków z żoną? Mam na myśli, że ten strach będzie zrozumiała, kiedy po raz pierwszy dojdzie między wami do zbliżenia po jej powrocie ze szpitala...

– Zakładając, że w ogóle do tego dojdzie... – Ptak zawahał się przerażony czekającą go, choć przecież odległą jeszcze o całe tygodnie perspektywą trudnego momentu. – Wiem, że jeszcze na dodatek będę się czuł tak, jakbym uprawiał kazirodztwo z własnym synem. Tego by chyba nie wytrzymał nawet członek ze stali!

– Biedaku! Gdybym ci tylko pozwoliła, wyliczyłbyś ze sto jeden kompleksów na usprawiedliwienie swojej impotencji.

Himiko, zadowolona ze swego żartu, położyła się na brzuchu na wąskim skrawku łóżka obok niego. Łóżko zapadło się pod jej ciężarem jak hamak i Ptak, usiłując skulić się jeszcze bardziej, w śmiertelnej męce nasłuchiwał jej hamowanego oddechu tuż przy swoim uchu. Jeśli włączyła już zapłon pożądania, będzie musiał coś dla niej zrobić. Ale wpełznąć tym małym, wątym stworzonkiem do czarnego kanału ukrytego za wilgotnymi nieodgadzionymi fałdami – nie, tego nie robi. Gorące ucho Himiko muskało mu skroń. Chociaż leżała bezwładnie, w milczeniu, jej ciało zmagало się z milionem szerszeni pożądania. Ptak zastanawiał się nad możliwością częściowego przynajmniej zaspokojenia jej za pomocą palców, warg czy języka. Ale poprzedniego dnia wyznała, że brzydzi się tym w nie mniejszym stopniu niż samogwałtem. Gdyby coś takiego zrobił i został upomniany tymi samymi słowami, oboje czuli by się tak, jakby się brutalnie nawzajem odtrącili. Ptakowi przyszło do głowy, że dałoby się coś zrobić, gdyby Himiko miała w sobie żyłkę sadystyczną. Spróbowałyby wszystkiego, byleby tylko nie tykać owej czeluści, z której wzięło się całe nieszczęście. Mogłaby go bić, kopać czy deptać po nim, a on by to znosił spokojnie; nie zawahałby się nawet przed wypiciem jej moczu. Po raz pierwszy w życiu Ptak odkrył w sobie skłonności masochistyczne. Grzęznąć, w bezdennym

bagnie wstydu, znajdował nawet pewną przyjemność w wyobrażeniu sobie tych drobnych upokorzeń. To właśnie w ten sposób, myślał, człowiek dochodzi do masochizmu. Ale dlaczego miałby się do tego nie przyznać, nie być w tej sprawie szczery? Za kilkanaście lat, jako czterdziestoletni masochista, może uzna ten dzień za rocznicę przejścia na tę wiarę. Ptak snuł dalej swoje rozważania: jego zboczenie tkwi w nim samym, nigdzie indziej, jest egocentryczne.

– Ptak?

– Tak, słucham – powiedział z rezygnacją. Zaczęło się!

– Musisz koniecznie zniszczyć seksualne tabu, które sobie ustanowiłeś. W przeciwnym razie twoje życie erotyczne ulegnie straszniemu wynaturzeniu.

– Wiem. Myślałem właśnie o masochizmie – odparł. Z pewną pogardą czekał, że Himiko złapie się na to i idąc jeszcze dalej, powie w zadumie, że ona ze swej strony często myślała o sadyzmie. Ale brak mu było nawet brawurowej szczerości przyszłego zboczeńca. Jady wstydu musiały go już ostatecznie upodlić.

Kiedy jednak Himiko odezwała się wreszcie po chwili milczenia wywołanej zaskoczeniem, widać było, że jej myśli biegną innym torem.

– Jeśli chcesz zwalczyć swój strach, musisz przede wszystkim zdefiniować dokładnie jego przedmiot.

Niepewny przez chwilę jej intencji, milczał.

– Czy twój strach ogranicza się jedynie do pochwy i macicy? Czy boisz się wszystkiego, co jest związane z kobiecością, całej mojej kobiecej egzystencji na przykład?

Ptak zastanawiał się przez chwilę.

– Myślę, że tylko do pochwy i macicy. Ty osobiście nie masz przecież nic wspólnego z moim nieszczęściem, więc cofam się przed twoją nagością pewnie dlatego, że jesteś zbrojna właśnie w pochwę i macicę!

– Czy wobec tego nie należałoby tych dwóch elementów wykluczyć? – powiedziała Himiko z wystudiowaną obojętnością. – Jeżeli przedmiot twego lęku ogranicza się jedynie do pochwy i macicy, to nieprzyjaciel, którego masz zwalczyć, nie wykracza poza ten teren. Ptak! A co cię tak przeraża w pochwie i macicy?

– No właśnie to, o czym mówiłem. Mam wrażenie, że ty byś to nazwała innym światem. Jest on ciemny, niezgłębiony, nieludzki; groteskowy świat. Boję się, że jak do niego wkroczę, zostanę uwięziony przez system czasowy z zupełnie innego wymiaru i że nie będę mógł stamtąd wrócić. Mój strach przypomina do pewnego stopnia akrofobię astronauty!

Ptak czuł, że logika Himiko prowadzi jedynie do pogłębienia jego wstydu, usiłował się więc ukryć za parawanem słów. Ale dziewczynę niełatwo było zbić z tropu.

– Czy sądzisz, że przestałbyś się bać kobiecego ciała, gdyby wyeliminować z niego pochwę i macicę?

Ptak zawahał się. Po czym, rumieniąc się, powiedział:

– Może to nie jest aż takie strasznie ważne, ale piersi...

– Z tego, co mówisz, wynika, że nie odczuwałbyś lęku, gdybyśmy zrobili to od tyłu, wiesz...

– Ale...

– Ptak! – Himiko miała już dosyć wykrętów. – Zawsze byłeś dla mnie typem mężczyzny idealnie w guście młodych chłopców. Czy nie przespałeś się nigdy z żadnym z tych swoich młodszych braci?

Plan, który uknuła, był aż nadto wystarczający, by przełamać skrupuły moralne Ptaka. Osłupiał. Nie martw się o mnie, Himiko, pomyślał, na chwilę przestając zajmować się sobą. Dla ciebie oznacza to okropny ból, może nawet zostaniesz rozdarta i będziesz krwawiła – może oboje umażemy się w odchodach. I nagle, jak w sploty liny, w uczucie obrzydzenia wkręciła się żądza.

– A czy nie byłoby to dla ciebie upokarzające? – Wyszeptał głosem ochryplym z pożądania. Były to już ostatnie opory.

– Nie czułam się upokorzona nawet wtedy w zimie w składzie drewna, utyłana w krwi, błocie i trocinach.

– Zastanawiam się tylko, czy ty będziesz miała z tego jakąś przyjemność ?

– W tej chwili chodzi mi tylko o ciebie – odparła Himiko. I - dodała z bezgraniczną łagodnością, jak gdyby go chciała przekonać, że nie powinien czuć się skrepowany: – Poza tym, jak już ci mówiłam, potrafię znaleźć coś autentycznego w każdym rodzaju miłości fizycznej.

Ptak milczał. Bez ruchu patrzył, jak Himiko wybiera coś z mnóstwa stojących na toalecie słoczków, idzie do łazienki i wyjmuje z szuflady duży czysty ręcznik. Podniecenie wzrastało powoli, falami, jakby go miało całego pochłonać. Siadł nagle, wziął butelkę, która stoczyła się na brzeg łóżka, i pociągnął z niej whisky. Przypomnił sobie teraz jak stojąc w skwarze południa na przystanku przed szpitalem pragnął miłości występnej, szukał najbardziej upadłej formy stosunku. I teraz okazało się to możliwe. Znów łyknął whisky i opadł na łóżko. Jego penis sterczał twardy, gorący, nabrzmiął. Himiko, z ponurym wyrazem jak gdyby odlanej z ołowiu twarzy, unikała jego oczu. Czyżby i ją chwyciło jakieś niezwykle pożądanie? Ptak czuł, jak usta rozszerzają mu się w uśmiechu. Teraz, kiedy zaatakował najwyższy mur, cóż znaczy dla niego bieg przez płotki wstydu?

– Ptak, nie bądź taki skrepowany, naprawdę nie ma powodu – powiedziała Himiko dostrzegając u niego objawy sprzeczne z jego oceną samego siebie. – A może okaże się, że to nic takiego.

...z początku troszczył się o nią, ale po kilku nieudanych próbach uznał, że drobne zabawne dźwięki i towarzyszący im odór zakrawają na kpinę, i wtedy uraza wyrugowała stopniowo wszystkie uczucia, pozostawiając jedynie wysublimowany egoizm. Wkrótce zapomniał zupełnie o Himiko i w chwili powodzenia osiągnął

szczytowe napięcie. Strzępy myśli – nienawidzę sflaczałych piersi i prymitywnych zwierzęcych genitaliów, pragnę spełnienia tylko dla siebie, unikaj jej wzroku – eksplodowały w umyśle Ptaka z oślepiającym błyskiem szrapnela: było to preludium prawdziwej rozkoszy. Różąc kobietę martwić się o jej orgazm, o to, że możesz jej zrobić dziecko, i o wynikające z tego dla ciebie konsekwencje, to tyle, co walczyć trzęsąc portkami, by w końcu dobrowolnie oddać się w niewolę. Gdzieś w głębi rozpalonej świadomości Ptak wydał okrzyk wojenny: depczę w tej chwili kobietę w sposób najbardziej haniebny! Zdolny jestem do czegoś upadającego i nikczemnego, jestem samym wstydem, a gorący płyn, który wydziela w tej chwili mój penis, jest kwintesencją mnie samego. Ptak szalał: przeżywał orgazm, który mało nie pozbawił go przytomności.

Każdy konwulsyjny skurcz rozkoszy wywoływał jęk cierpienia u Himiko. Ledwie świadom tego, co się dzieje, chłonał te jęki. I nagle, jak gdyby przebrała się miara nienawiści, ugryzł ją w miejsce, gdzie szyja przechodzi w ramię. Dziewczyna krzyknęła. Otworzył oczy i zobaczył cienki strumyczek krwi sączący się za jej bladym uchem w kierunku policzka. Wydał jeszcze jedno westchnienie.

Potworność tego, co zrobił, dotarła do niego, dopiero gdy minął orgazm. Ptak skamieniał. Zastanawiał się, czy po tak nieludzkiej akcji płciowym potrafią powrócić do normalnych stosunków. Leżał na brzuchu, jak głaz, oddychając nierówno, marząc o samounicestwieniu. Ale Himiko była na tyle miła, że głosem łagodnym, bogatym w zwykły, codzienny spokój, szepnęła:

– Chodź do łazienki i nie dotykaj się, ja cię sama umyję.

W osłupieniu przyjął pomoc i wyzwolenie. Himiko traktowała go jak sparaliżowanego inwalidę, a on odwracał od niej płonąca twarz. Powoli zdziwienie zapadło w głąb jego świadomości. Bez wątplenia znalazł się w rękach eksperta seksualnego wysokiej klasy. W jaki sposób ta dziewczyna przebyła długą drogę dzielącą ich od tamtej zimowej nocy? Wynagrodził Himiko jej troskliwość przemywając środkiem dezynfekcyjnym ranki, które jego zęby pozostawiły na jej ramieniu. Spłukał trzy rozrzucone nierówno skaleczenia z

nieudolnością nieśmiałego dziecka. Z ulgą patrzył, jak policzki i powieki Himiko nabierają normalnego koloru. Ptak i jego przyjaciółka leżeli znów obok siebie na świeżo zmienionych prześcieradłach. Oddychali teraz równomiernie. Jej milczenie deprymowało go trochę, ale jednocześnie cichy oddech i pogoda oczu wpatrzonych w mrok działały na niego kojąco. A poza tym sam rozkoszował się poczuciem dogłębnego spokoju, daleki od jakiegokolwiek skłonności do psychologicznych poszukiwań. Delektował się przeżywaną wdzięcznością. Nie tyle dla samej Himiko, ile wdzięcznością w ogóle – za spokój, który odnalazł, a który przecież nie mógł trwać długo wśród kłębiących się wokół niego zdradliwych wirów. Oczywiście, że otaczający go pierścień wstydu zaciskał się nawet w tej chwili, ale symbol jego hańby spoczywał ukryty, w odległym szpitalu, zaś Ptak pławił się teraz w ciepłej kąpieli zapomnienia. Stwierdził, że pokonane raz opory przestały istnieć.

– Spróbujemy znowu, tak zwyczajnie? – zapytał. – Ja już chyba przezwyciężyłem lęk.

– Dziękuję ci. Weź lepiej jakiś środek nasenny i prześpijmy się do wieczora. Jeżeli potem w dalszym ciągu nie będziesz odczuwał strachu...

Ptak przystał na to czując, że nie potrzebuje żadnych proszków nasennych.

– Jesteś mi pociechą, Himiko – powiedział po prostu.

– Taki był mój cel. Założę się, że odkąd się to wszystko zaczęło, nikt ci nie podał ręki. A to niedobrze, Ptak. W takich chwilach trzeba mieć kogoś, kto okaże pomoc, może nawet większą, niż ci się wydaje, przynajmniej raz. Bo będziesz zupełnie bezbronny, kiedy okoliczności zmuszą cię do zmobilizowania maksymalnej odwagi, byś mógł się wyrwać z chaosu.

– Odwagi? – powtórzył Ptak nie zastanawiając się nawet, co Himiko chciała przez to powiedzieć. – Kiedy mi będzie potrzebna odwaga?

– O, nie raz poczynając już od tej chwili – powiedziała Himiko niedbale, a jednak z nutą niewesołej stanowczości w głosie.

Ptak stwierdził, że traktuje ją jak starego, wypróbowanego w bojach codziennego życia żołnierza, znacznie górującego nad nim. doświadczeniem. Była mądra nie tylko w sprawach seksu: jej wiedza rozciągała się na wiele innych dziedzin życia. Musiał przyznać, że znajduje się pod wpływem Himiko. To przecież dzięki niej przezwycięzył jeden ze swoich lęków. Czy kiedykolwiek rozmawiał z kobietą po stosunku w sposób tak nieskrępowany jak teraz? Chyba nie. Nawet z własną żoną odczuwał zwykle w tej sytuacji litość nad sobą i niesmak. Powiedział o tym Himiko nie wspominając żony.

– Litość nad sobą? Niesmak? Ptak, to znaczy, że nie byłeś seksualnie dojrzały. A kobiety, z którymi sypiałeś, musiały odczuwać to samo. Przypuszczam, że nigdy nie doznałeś pełnego zaspokojenia, prawda?

Ptaka ogarnęła zawiść i zazdrość: ten smarkacz i ten mały galant z głową jak gigantyczne jajo, którzy wołali ją wtedy w nocy przez okno, musieli obydwaj, był tego pewny, mieć z nią w pełni zaspokajające stosunki. Leżał rozdrażniony w milczeniu, które wreszcie przerwała Himiko. Na pozór obojętnie, ale w gruncie rzeczy z niezadowoleniem powiedziała:

– Nie ma nic równie chamskiego i obrzydliwego, jak litowanie się nad sobą po stosunku. To już nawet niesmak jest lepszy.

– Masz rację. Ale ci, co się nad sobą po tym litują, nie doznają na ogół pomocy od kogoś tak doświadczonego w tej dziedzinie jak ty i po prostu tracą wiarę w siebie.

Czuł się tak, jakby leżał na kanapce w gabinecie psychiatry, i kiedy wyrzucił już z siebie wszystko, co miał do powiedzenia na swój temat, śmiało i bez żadnych zahamowań, zaczął zapadać w drzemkę; zastanawiał się, jak człowiek mający za żonę taki skarb mógł popełnić samobójstwo. W tępą pustkę, jaką wytworzył w jego głowie wirus snu, wdarła się myśl: a może to, że Himiko toleruje jego i tamtych dwóch, ma być aktem zadośćuczynienia wobec zmarłego męża?

Powiesił się w tym samym pokoju, wyszedłszy z tego łóżka, tak samo nagi jak on w tej chwili. Wezwany tamtego dnia telefonicznie przez Himiko, Ptak uwolnił ciało chłopaka od pętli przerzuconej przez krokwie i pomógł złożyć je na podłodze, jak rzeźnik zdejmujący w chłodni z oszronionego haka ćwierć zaszlachtowanego wołu. W lekkiej drzemce, tuż pod powierzchnią snu, Ptak utożsamiał się ze zmarłym. Przytomną jeszcze częścią swojej świadomości czuł, jak ręce Himiko wycierają go do sucha, gdy tymczasem, już we śnie, te same drżące ręce obmywały zwłoki męża. To ja jestem tym zmarłym młodzieńcem, myślał Ptak, i nadchodzące właśnie lato będzie łatwe do zniesienia, ponieważ ciało chłopca jest lodowate jak drzewo w zimie! Rozdygotany, usiłując wydostać się na powierzchnię snu, wyszeptał jeszcze: ale ja nie popełnię samobójstwa, zanim ogarnął go głęboki mrok.

...Sen, z którego się obudził, był zupełnie inny niż ten, w który zapadał; był szorstki, jakby najeżony rzepami, był udręka. Komin o szerokim, łatwym wlocie, a wąskim wylocie. Nadęte jak balon ciało Ptaka powoli przemierzało nieogarnioną mglistą przestrzeń. Został wezwany przed trybunał i właśnie obmyśla sposoby zrzucenia z siebie odpowiedzialności za śmierć dziecka. W końcu czuje, że nie uda mu się wyprowadzić sędziów w pole, ale chciałby przynajmniej donieść: winni są ci ludzie ze szpitala, to oni to zrobili! Czy rzeczywiście w żaden sposób nie uniknie kary? Unosi się dalej w powietrzu, jak wątył sterowiec, a jego cierpienie staje się coraz bardziej haniebne.

Ptak się obudził. Każdy mięsień w jego ciele był zeszywniały i obolały, jakby spał w legowisku stworzenia o zupełnie odmiennej budowie. Jakby miał na sobie wielowarstwowy gipsowy pancerz. Gdzież ja, do diabła, mogłem być w tak ważnym momencie? – szepnął wysuwając poprzez mgławki obłok jedynie czułki świadomości. W tak ważnym momencie, kiedy walczył ramię w ramię ze swoim małym potworkiem! Przypomniawszy sobie swoją rozmowę z lekarzem na oddziale i poczucie zagrożenia zmieniło się we wstyd. A właściwie otorbiło się tylko wstydem jak cystą. Gdzież ja, do diabła ciężkiego, jestem – w chwili tak ważnej?

Ptak podniósł trochę głos i stwierdził, że jest on zamarynowany w occie strachu. Potrząsnął głową jak gdyby w skurczu i – usiłując zgłębić naturę mrocznej pułapki, w której się znalazł – zadrżał.

Był nagi jak niemowlę, bezbronny, i co gorsza, ktoś równie nagi jak on spał skulony obok niego. Żona? Śpi nago ze swoją żoną i jeszcze jej nie zdradził tajemnicy potworka, którego właśnie urodziła? Ach, to niemożliwe! Nieśmiało wyciągnął rękę i dotknął głowy nagiej kobiety. Kiedy drugą ręką przesunął wzdłuż jej ramienia i dotknął boku (ciało było duże, pełne, zwierzęco miękkie – zupełnie odwrotnie niż ciało jego żony), kobieta powoli, ale dokładnie owinęła się wokół niego. Odzyskał pełną świadomość i poznając swoją kochankę zdał sobie jednocześnie sprawę z pożądania, które tym razem już nie cofało się przed atrybutami kobiecości. Mimo bólu w ramionach objął Himiko jak niedźwiedź mierzący się z napastnikiem. Dziewczyna, pogrążona w głębokim śnie, była duża i ciężka. Powoli coraz mocniej przyciskał ją do piersi i brzucha, aż głowa zwiśla jej bezwładnie do tyłu. Spojrzał w odwróconą twarz; odcinała się białą plamą w ciemności i wydawała się żałośnie młoda. Nagle Himiko otworzyła oczy; uśmiechnęła się, lekko poruszyła głową i dotknęła go suchymi, gorącymi wargami. Nie zmieniając pozycji, zupełnie naturalnie, zaczęli stosunek.

– Ptak, wytrzymasz, aż ja skończę? – Jej głos był jeszcze zaspany. Ale uczyniła już pierwszy nieodwołalny krok ku własnej przyjemności i musiała się zabezpieczyć przed zajściem w ciążę.

– Oczywiście, że wytrzymam – odparł po męsku Ptak, czujny nawigator w obliczu nadchodzącego sztormu. Robił to ostrożnie, bacząc, by jego ruchy nie zdradzały samokontroli. Miał nadzieję zrehabilitować się za tamtą żalosną historię w składzie drewna.

– Ptak! – Himiko wydała smętny okrzyk, doskonale licujący z uniesioną do góry w ciemności dziecinną twarzą. Niby żołnierz stający ramię w ramię z towarzyszem broni w jakiejś bardzo osobistej walce, Ptak ze stoickim opanowaniem czekał, aż Himiko znajdzie w ich stosunku to coś autentycznego, co będzie wyłącznie jej udziałem. Przez dłuższy czas jeszcze po tym, gdy minął

moment spełnienia, drżała na całym ciele. Następnie zrobiła się miękka, bezbronna, w nieskończenie kobiecy sposób, aż wreszcie, wydając stłumione westchnienie obżartego szczeniaka, zapadła w głęboki sen. Ptak przypominał czuwającego nad pisklęciem koguta. Czuł zdrowy zapach potu bijący od przysłoniętej jego piersią głowy Himiko i leżał wsparty na łokciach, idealnie spokojnie, żeby nie zgnieść dziewczyny. Był w dalszym ciągu straszliwie podniecony, ale nie chciał przerywać jej snu. Pozbył się niechęci do wszystkiego, co kobiece, która trawiła go jeszcze kilka godzin temu, i choć Himiko była w tej chwili bardziej kobieca niż kiedykolwiek, akceptował ją bez zastrzeżeń. Jego mądry partner seksualny potrafił to przewidzieć; wkrótce jej oddech stał się regularny i Ptak wiedział, że zasnęła mocno. Ale kiedy ostrożnie usiłował się od niej odsunąć, poczuł na członku uścisk ciepłej, delikatnej dłoni. Himiko we śnie próbowała przedłużyć akt. Ptak doznał łagodnego, ale całkowicie seksualnego zaspokojenia. Uśmiechnął się rozanielony i natychmiast zasnął.

I znów jego sen przypominał komin: z początku szerokie wody, na które wypływał z uśmiechem, a w drodze powrotnej ku brzegom rzeczywistości duszący, klaustrofobiczny koszmar. Ptak uciekał od niego z płaczem. Kiedy otworzył oczy, Himiko, która już nie spała, z niepokojem patrzyła na jego łzy.

VIII

Kiedy szedł po schodach na górę do pokoju, w którym leżała jego żona, z butami w ręce i z torbą grejpfrutów pod pachą, spotkał wpół drogi schodzącego właśnie na dół młodego lekarza ze szklanym okiem. Jednooki doktor zatrzymał się kilka stopni powyżej niego i, jak się Ptakowi wydało, rzucił władczo, a w rzeczywistości powiedział po prostu:

– No, jak tam?

– Żyje – odparł Ptak.

– A co z operacją?

– Obawiają się, że zanim dojdzie do operacji, dziecko umrze z wycieńczenia – rzekł Ptak czując, jak jego uniesiona do góry twarz okrywa się rumieńcem.

– No cóż, tak by chyba było najlepiej.

Rumieniec Ptaka pogłębił się wyraźnie i w kącikach ust pojawiło się drżenie. W odpowiedzi i doktor się zaczerwienił.

– Pańska żona jeszcze nie wie o przepuklinie mózgowej dziecka – powiedział gdzieś w przestrzeń nad głową Ptaka. – Myśli, że dziecko ma wadę jakiegoś organu. Oczywiście mózg jest organem, nie ulega wątpliwości, i w tym sensie jej nie oszukujemy. Kiedy człowiek próbuje się wyłgać z jakiejś trudnej sytuacji, to już potem musi kłamać do końca, nawet jak prawda wyjdzie na jaw. Pan mnie rozumie?

– Tak – odparł Ptak.

– Wobec tego proszę mi szczerze powiedzieć, jak będę mógł w czymś pomóc. – Ptak i lekarz wymienili uroczyste ukłony i minęli się na schodach z odwróconymi twarzami. „Tak by chyba było najlepiej”! – powiedział jednooki doktor. Żeby umarło z wycieńczenia, zanim będą mogli operować. Oznaczałoby to pozbycie się straszliwego ciężaru „roślinnego” dziecka, bez kalania sobie rąk morderstwem. A twoja rola polega jedynie na tym, żeby czekać, aż ono osłabnie i umrze, bardzo higienicznie, na oddziale nowoczesnego szpitala. Ale czy zdoła zapomnieć o nim w czasie tego oczekiwania? – całkiem możliwe, jego w tym głowa. Tak, tak by chyba było najlepiej! Uczucie głębokiego, czarnego wstydu odżyło w nim na nowo i Ptak cały zeszywniał. Jak kobiety w kolorowych nocnych koszulkach ze sztucznego jedwabiu, które mijał na korytarzu szpitalnym – przyszłe matki i te, co dopiero wydały na świat nowe życie, te, co nosiły w sobie wielką rojącą się masę, i te, co jeszcze zachowały wspomnienie i nawyki tego stanu – Ptak stawiał drobne, ostrożne kroczki. On sam był ciężarny – w łonie jego świadomości roila się wielka, bezkształtna

masa wstydu. Bez żadnego właściwie powodu te kobiety patrzyły na niego z wyższością, a on spuszczał głowę pod ich spojrzeniami. To one obserwowały go wtedy, gdy odjeżdżał karetką pogotowia ze swoim małym potworkiem – ten sam zastęp ciężarnych aniołów. Przez moment był pewny, że one doskonale wiedzą, co się od tamtej pory działo z jego synem. Być może nawet mruczą teraz jak brzuchomówcy gdzieś w głębi gardła: Ach, jeżeli masz na myśli tamto dziecko, to zostało ono umieszczone na bardzo sprawnej taśmie przenośnikowej w specjalnej rzeźni dziecięcej, gdzie właśnie dogorywa z wycieńczenia – i tak chyba będzie najlepiej!

Zbiorowy wrzask niemowląt ogarnął go jak wir. Jego rozbiegane oczy zatrzymały się na rzędach łóżeczek wypełniających oddział noworodków. Ptak zmykał korytarzem, jakby go ktoś gonił: wydało mu się, że kilkoro dzieci odpowiedziało na jego spojrzenie.

Przed wejściem do pokoju żony starannie obwąchał swoje ręce, ramiona, a nawet piersi. Trudno powiedzieć, jak bardzo by to skomplikowało i tak niełatwą sytuację, gdyby żona, oczekująca go w połogu i obdarzona szczególnie ostrym powonieniem, poczuła od niego zapach Himiko. Rzucił okiem do tyłu, jakby chciał zabezpieczyć sobie odwrót. Zastygłe wzdłuż korytarza w swoich nocnych koszulach, młode kobiety patrzyły na niego z ciemności. Zastanawiał się, czyby nie spojrzeć ku nim surowo, ale potrzęsnał tylko nieznacznie głową, odwrócił się do nich tyłem i nieśmiało zastukał do drzwi. Grał rolę młodego małżonka, na którego spadło nagłe nieszczęście.

Kiedy wszedł do pokoju, teściowa stała plecami do zdobiącej okno bujnej roślinności, a żona patrzyła ku niemu wyciągając głowę jak łasica zza wzgórka utworzonego przez nakryte kocem rozstawione uda. W urodzajnym, zaprawionym zielenią świetle obie robiły wrażenie wystraszonych. W momentach zaskoczenia i smutku, stwierdził Ptak, więzy krwi między tymi dwiema kobietami ujawniały się nie tylko w rysach twarzy, ale w każdym najmniejszym geście.

– Nie chciałem was przestraszyć, zapukałem, ale lekko...

– Ach, Ptak – westchnęła żona unieruchamiając go spojrzeniem swoich martwych oczu, które nagle napełniły się łzami. Nie umalowana, bardzo śniada, miała zdrowy chłopięcy wygląd - tenisistki, którą była kilka lat temu, kiedy Ptak ją poznał. Poddany działaniu jej wzroku, poczuł się ogromnie słaby, bezbronny. Położył na kocu torbę z grejpfrutami i pochylając się tak nisko, jakby chciał się ukryć, postawił buty pod łóżkiem. Gdybym tylko, myślał ponuro, mógł z nią rozmawiać w tej pozycji, pełzając jak krab... Wykluczone. Wstał zmuszając się do uśmiechu.

– No, jak tam – zaśpiewał siląc się na beztroski ton – już nie boli?

– Miewam jeszcze od czasu do czasu takie bolesne skurcze, jak spazmy. Zresztą nawet kiedy mnie nie boli, nie czuję się najlepiej. No i nie mogę się śmiać.

– To okropne.

– Właśnie. Ptak, co jest z dzieckiem?

– Co jest z dzieckiem? Ten lekarz ze szklanym okiem musiał ci chyba mówić... – Usiłując zachować beztroską nutę w głosie, rzucił szybkie spojrzenie w stronę teściowej, jak niepewny siebie bokser, który zerka przez ramię na trenera. Zza głowy żony, z wąskiej szczeliny między łóżkiem a oknem, teściowa gorączkowo przesyłała mu jakieś tajemnicze sygnały. Ptak nie był w stanie pochwycić niuansów, ale jedno było dla niego jasne: że nie wolno mu nic mówić.

– Gdyby mi tylko powiedzieli, co z nim jest – rzekła żona przegranym głosem. Ptak wiedział, że ciemne demony wątpliwości setki razy kazały jej szeptać te same słowa tym samym bezradnym tonem.

– Dziecko ma jakąś wadę wrodzoną, ale lekarze nie podają szczegółów. Prawdopodobnie robią jeszcze badania. A poza tym te uniwersyteckie kliniki są biurokratyczne jak diabli! – Ptak poczuł smród swego kłamstwa, gdy tylko je wypowiedział.

– Wiem, że to na pewno serce, skoro muszą robić aż tyle badań. Ale dlaczego moje dziecko miałoby mieć wadę serca? – Pod wpływem tej skargi Ptak znów miał ochotę rzucić się na ziemię, i pełzać. Zamiast tego powiedział szorstko, tonem aroganckiego nastolatka:

-- Skoro są specjaliści od tych spraw, dlaczego im nie pozostawimy diagnozy?! Nic nam z tych dociekań nie przyjdzie.

Niepewny, znów spojrział w stronę łóżka z poczuciem winy i zobaczył, że żona mocno zacisnęła oczy. Patrząc na jej twarz zastanawiał się z niepokojem, czy kiedykolwiek odzyskają swoje zwykłe proporcje zwiotczałe teraz powieki, rozdęte nozdrza i rażąco wielkie usta. Leżała bez ruchu, wydawało się, że śpi. Nagle spod zamkniętych powiek trysnęły łzy.

– Jak tylko dziecko się urodziło, słyszałam, że pielęgniarka krzyknęła „Och!”, i od razu podejrzewałam, że coś jest nie w porządku. Ale potem dyrektor wybuchnął takim wesołym śmiechem... albo może tylko mi się tak wydawało, nie odróżniałam wtedy rzeczywistości od snu... a kiedy już odzyskałam przytomność, wywieźli je karetką pogotowia. – Cały czas mówiła nie otwierając oczu.

Ten kudłaty skurwysyn! Złość zacisnęła Ptakowi gardło. Tak głośno ryczał ze śmiechu, że słyszała to pacjentka pod narkozą; jeśli tak reaguje na zaskoczenie, to zaczaję się na tego skurwiela z łomem w ciemności i wtedy niech pęka ze śmiechu! Ale wściekłość Ptaka była dziecinna – trwała zaledwie moment. Wiedział doskonale, że nigdy nie weźmie do ręki żadnego łomu, nigdy nie zaczai się na nikogo w ciemności. Musiał pogodzić się z faktem, że utracił szacunek do siebie, stracił moralne prawo do potępiania innych.

– Przyniosłem ci trochę grejpfrutów – powiedział głosem błagającym o przebaczenie.

– Grejpfruty! Jak to? – rzuciła agresywnie żona.

Ptak natychmiast uświadomił sobie swój błąd.

– Do diabła, zupełnie zapomniałem, że nie znosisz zapachu grejpfrutów! – rzekł zły na siebie. – Ale dlaczego tak zgłupiałem, żeby kupić właśnie grejpfruty!

– Prawdopodobnie dlatego, że tak naprawdę nie myślałeś ani o mnie, ani o dziecku. Ptak, czy ty kiedykolwiek myślisz serio o kimś jeszcze poza sobą? Czy nie pamiętasz nawet, jak się pokłóciliśmy o grejpfruty układając menu na nasze wesele? Naprawdę, jak mogłeś zapomnieć?

Ptak bezsilnie potrząsnął głową. Uciekł wzrokiem przed wzbierającą w jej oczach histerią do teściowej, która w dalszym ciągu nadawała z ciasnego kąta między łóżkiem i ścianą swoje sygnały. Błagał ją spojrzeniem o pomoc.

– Chciałem kupić jakichś owoców i pomyślałem sobie, że grejpfruty miały zawsze dla nas coś specjalnego. Więc kupiłem, nie zastanawiając się nawet co. Co mam z nimi zrobić?

Załatwiał ten sprawunek z Himiko i bez wątpienia to jej obecność zadecydowała o poczuciu owej „specjalności”. Od tej chwili, pomyślał, cień Himiko zaciąży na wszystkich drobnych sprawach mego życia.

– Przecież musiałeś wiedzieć, że nie mogę przebywać w tym samym pomieszczeniu, w którym znajduje się choćby jeden grejpfrut; ten zapach doprowadza mnie do szału – dalej przypierała go do muru żona. Z lękiem zastanawiał się, czy aby już nie wytropiła cienia Himiko.

– Zanieś je z całą torbą do pokoju pielęgniarek. – Tymi słowy teściowa przesłała mu nowy sygnał. Światło sączące się przez soczystą zielen w oknie, za plecami kobiety, otaczało jej głęboko osadzone oczy i owalne nozdrza zielonkawą drgającą aureolą. Ptak w końcu zrozumiał: ta promienista zjawa dawała mu znać, że będzie na niego czekała na korytarzu.

– Zaraz wracam – powiedział. – Czy pokój pielęgniarek jest na dole?

– Obok poczekalni kliniki – odparła teściowa z wymownym spojrzeniem.

Wyszedł na ciemny korytarz z torbą grejpfrutów pod pachą. Owoce zaczęły wydzielać zapach, który jak gdyby osiadał na jego twarzy i piersi. Przyszło mu do głowy, ten zapach mógłby wywołać atak u astmatyka. Pomyślał o swojej leżącej w połogu rozdrażnionej żonie i o tej kobiecie z zielonymi aureolami w zapadniętych oczach, która nadawała sygnały przypominające figury w tańcu Kabuki*. A on zastanawia się nad wpływem grejpfrutów na astmę! Wszystko to kiepski teatr, gra, realne jest tylko dziecko z naroślą na głowie, tylko to dziecko gasnące powoli na wodzie z cukrem podawanej zamiast mleka. Zresztą po co słodzić wodę? Co innego pozbawić mleka, ale jeszcze doprawiać substytut... czy cała ta ohydna historia nie zakrawa na nędzną farsę?

Ptak wręczył grejpfruty siostronom, które zeszły z dyżuru, i zaczął się przedstawiać; nagle, jak gdyby powróciło mu jękanie z chłopięcych czasów, stwierdził, że nie jest w stanie powiedzieć słowa. Zdenerwowany skłonił się nisko i w milczeniu oddalił spiesźnie. Za plecami usłyszał dźwięczny śmiech pielęgniarek. To tylko teatr, pozory, dlaczego wszystko musi być takie nierealne? Ze wzrokiem wbitym w ziemię, ciężko dysząc, wchodził na schody po trzy stopnie. Minał ostrożnie oddział niemowlęcy, tak żeby przypadkiem nie rzucić w tamtą stronę okiem.

Przed drzwiami kuchni przeznaczonej do użytku krewnych i znajomych pacjentek, z czajnikiem w ręku, stała dumnie wyprostowana teściowa. Zbliżywszy się dostrzegł w jej oczach, zamiast aureoli światła przesianego przez zielen liści, pustkę tak straszliwą, że aż zadrżał. Zauważył też, że jej wyprostowana postawa nie miała nic wspólnego z dumą: to wyczerpanie i rozpacz pozbawiły jej ciało naturalnej giętkości.

* Forma dramatu mieszczańskiego. Barwne, widowiskowo przedstawienie złożone z tańca, rytmicznej deklamacji i popisów akrobatycznych.

Rozmawiali szczerze, bez ogródek, zerkając co chwila na drzwi pokoju żony Ptaka, odległe o jakieś piętnaście kroków. Teściowa przyjąwszy do wiadomości, że niemowlę żyje, rzekła z wyrzutem:

– Czy nie możesz czegoś zrobić już zaraz? Przecież to dziecko oszaleje, jak zobaczy tego potworka!

Ptak w milczeniu przyjął groźbę.

– Gdyby w rodzinie był jakiś lekarz... – westchnęła kobieta.

Jesteśmy kłębowskiem padalców, pomyślał, godną pogardy bandą egoistów. Mimo to ściszym głosem, w obawie przed pacjentkami, które jak nieme świerszcze mogły się czaić za drzwiami wzdłuż korytarza, nastawiając płonące z ciekawości uszy, przekazał meldunek:

– Zmniejszono dziecku racje mleka i zamiast tego podają mu wodę z cukrem. Lekarz, który się nim opiekuje, powiedział, że w ciągu paru dni będzie skutek.

Zobaczył, jak rozwiewają się miazmaty unoszące się dotychczas wokół jego teściowej. Czajnik z wodą stał się nagle dla niej za ciężki. Powoli skinęła głową i cienkim, bezsilnym głosem, jak gdyby ogarnęła ją nagła senność, powiedziała:

– Aha, rozumiem. Jak już będzie po wszystkim, nikomu nie powiemy o jego upośledzeniu.

– Dobrze – obiecał Ptak, nie wspominając, że mówił już o tym teściowi.

– W przeciwnym razie moja mała nigdy więcej nie zdecyduje się na dziecko.

Skinął głową, ale jego niemal fizyczna odraza do tej kobiety jeszcze wzrosła. Teściowa weszła teraz do kuchni, a on wrócił do żony. Czyżby naprawdę nie przejrzała tak grubymi nićmi szytej gry? Wszystko to przecież teatr, a każda z występujących w tej sztuce postaci jest załganym obłudnikiem.

Po twarzy, którą żona obróciła ku niemu, gdy wchodził, poznał, że histeria z powodu grejpfrutów minęła. Usiadł na brzegu łóżka.

– Strasznie wyglądasz – powiedziała i wyciągnawszy nagle rękę czułym gestem dotknęła jego policzka.

– Jestem...

– Wyglądasz jak szczur, który chciałby skryć się do dziury. – Zaskoczył go ten cios.

-- Rzeczywiście... – powiedział czując na języku smak goryczy – jak szczur?

– Matka się obawia, że znów zaczniesz pić, tak jak to ty potrafisz, tym bardziej że nie masz teraz żadnych ograniczeń, ani w dzień, ani w nocy...

Ptak przypomniawszy sobie sensacje związane z przedłużającym się okresem picia: zamroczenie, ból brzucha, pieczenie w gardle, ciało ciężkie jak z ołowiu, drętwe palce, rozmiękczone, nasiąknięty trunkiem mózg. Tygodnie, które spędzał jak jaskiniowiec, zamknięty w murach alkoholu.

– Jeżeli znów zacząłeś pić, zapijesz się kompletnie i nie będzie z ciebie żadnej pociechy, kiedy nasze dziecko naprawdę będzie potrzebowało pomocy, zobaczysz, Ptak.

– Ja już nigdy do tego nie wrócę – odparł. To prawda, że drapieżny tygrys kaca zagłębił w nim swoje zęby, ale Ptak wyrwał mu się bez pomocy whisky. Ciekawe, jak by to było, gdyby nie Himiko? Czy znów by zaczął dryfować po tym potwornym czarnym oceanie rozległym na dziesiątki godzin? Nie był tego pewny, a nie mogąc wobec żony wspomnieć Himiko, nie wiedział, jak jej powiedzieć, skąd weźmie siłę, by się oprzeć pokusie picia.

– Naprawdę bardzo bym chciała, żebyś się zachowywał przyzwoicie. Czasem myślę, że jak rzeczywiście przyjdzie krytyczny moment, to albo będziesz pijany, albo opętany jakąś szaloną wizją i pofruniesz do nieba jak prawdziwy ptak.

– Tyle czasu jesteś mężatką i ciągle jeszcze nie masz zaufania do własnego męża? – Ptak mówił żartobliwie, ale żona nie dała się złapać na ten lep; przeciwnie, to, co powiedziała, było jak cios.

– Wiesz przecież, jak często marzysz o tym, żeby wyjechać do Afryki, wykrzykujesz nawet różne rzeczy w języku suahili! Nic nie mówiłam, ale przecież zdaję sobie sprawę, że nie masz zamiaru prowadzić normalnego rodzinnego życia przy żonie i dziecku. Ptak?

Patrzył w milczeniu na pobrudzoną, wycieńczoną dłoń żony spoczywającą na jego kolanie. A potem jak skarcony smarkacz, świadom swojej winy, próbował się słabo bronić:

– Mówisz, że wykrzykuję coś w suahili, ciekawe, o takiego?

– Nie pamiętam, Ptak. Poza tym zdarza się to zwykle, kiedy już sama zasypiam. A zresztą nie znam języka suahili.

– To skąd jesteś taka pewna, że to suahili?

– Słowa, które tak bardzo przypominają wrzaski dzikich zwierząt, nie mogą należeć do języka cywilizowanego.

W milczeniu pomyślał smutno, jak dalece jego żona nie ma pojęcia o naturze języka suahili.

– Kiedy dwa dni temu i wczoraj wieczorem matka powiedziała mi, że jesteś w tamtym szpitalu, podejrzewałam, że się upiłeś albo gdzieś uciekłeś. Naprawdę się tego obawiałam.

– Byłem za bardzo zdenerwowany, żeby myśleć o takich rzeczach.

– To dlaczego tak się czerwienisz?

– Bo jestem wściekły! – rzucił szorstko. – Dlaczego miałbym uciekać?! Dopiero co urodziło się dziecko i w ogóle...

– Ale jak ci powiedziałam, że jestem w ciąży, czy nie oblażył cię mrówki szaleństwa? Czy rzeczywiście chciałeś tego dziecka?

– Z tym wszystkim możemy poczekać, aż ono wyzdrowieje, bo tylko to się teraz liczy – powiedział Ptak przenosząc się na pewniejszy grunt.

– Tylko to się teraz liczy. Ale czy ono wyzdrowieje, czy nie, zależy od szpitala, jaki ty wybierzesz, i od twoich starań. Ja nie mogę się ruszyć z łóżka, mnie nawet nie powiedziano, w którym miejscu w ciele mojego dziecka zagnieździła się choroba. Mogę tylko polegać na tobie, Ptak.

– Więc dobrze, polegaj na mnie.

– Zastanawiając się, czy mogę ci powierzyć opiekę nad dzieckiem, doszłam do wniosku, że ja cię właściwie nie znam aż tak dobrze. Ptak, powiedz mi, czy potrafiłbyś wziąć za nie odpowiedzialność nawet własnym kosztem? – zapytała żona. – Czy jesteś człowiekiem solidnym, odważnym?

Gdyby kiedykolwiek był na wojnie, myślał nieraz Ptak, mógłby z całą pewnością powiedzieć, czy jest odważny, czy nie. Przychodziło mu to do głowy przed każdą bójką, przed egzaminami wstępnymi na uniwersytet, nawet przed zawarciem małżeństwa. I zawsze żałował, że nie zna definitywnej odpowiedzi na to pytanie. Nawet kiedy pragnął spróbować swoich sił wśród afrykańskiej dziczy, w warunkach stanowiących zaprzeczenie codzienności, podniecała go świadomość, że mógłby w ten sposób przeżyć swoją prywatną wojnę. Ale w tej chwili czuł, bez żadnej wojny czy podróży do Afryki, że nie jest człowiekiem, na którym można polegać; jest tchórzem.

Zirytowana jego milczeniem, żona zacisnęła w pięść spoczywającą na jego kolanie rękę. Ptak chciał ją nakryć własną dłonią, ale się zawahał: zdawała się kipieć taką nienawiścią, że bał się sparzyć.

– Wiesz co, myślę, że byłbyś zdolny odwrócić się od kogoś słabszego, w momencie kiedy by cię najbardziej potrzebował... tak jak opuściłeś tego swojego przyjaciela – otworzyła łagodnie oczy szeroko, jakby obserwowała jego reakcję – Kikuhiko.

Kikuhiko... – rozpamiętywał. Przyjaciel z jego chuligańskiej przeszłości w małym prowincjonalnym miasteczku; młodszy o kilka lat, włóczył się za Ptakiem wszędzie. Pewnego dnia w sąsiednim miasteczku przeżyli razem dziwną przygodę: podjęli się schwytania chorego umysłowo, który zbiegł ze szpitala psychiatrycznego. Krażyli w nocy po mieście na rowerach, ale chłopaka wkrótce to znudziło, zaczął się wygłupiać, aż w końcu zgubił pożyczony ze szpitala rower, gdy tymczasem Ptak, coraz bardziej podniecony opowieściami mieszkańców na temat wariata, tak się przejął swoją rolą, że przez całą noc nie ustawał w poszukiwaniach. Szalenciec, przekonany, że prawdziwy świat to piekło, panicznie bał się psów, które brał za przebrane diabły. Rano mieli puścić śladem nieszczęśnika szpitalną sforę owczarków alzackich i wszyscy byli przekonani, że chory umrze ze strachu, kiedy go wreszcie psy wytropią. Ptak prowadził więc poszukiwania aż do świtu, bez chwili wytchnienia. Kiedy Kikuhiko zaczął nalegać, żeby wracali do domu, Ptak ze złości postanowił chłopaka zawstydzić i powiedział mu, że wie o tym, co go łączyło z pewnym homoseksualistą z amerykańskiego wywiadu. Wracając do domu ostatnim pociągiem Kikuhiko widział jeszcze Ptaka w jego fanatycznej pogoni za zbiegiem. Wychylił się przez okno i krzyknął płaczliwym głosem:

– Ptak, ja się bałem!

Ale Ptak zignorował swego biednego przyjaciela. Jego akcja została wprawdzie uwieńczona jedynie znalezieniem zwłok wariata, który się powiesił na wzgórzu w samym centrum miasteczka, ale to doświadczenie stało się punktem zwrotnym w jego karierze. Tego ranka, siedząc obok kierowcy w trzykołowej furgonetce, która wiozła zwłoki, Ptak miał przeczucie, że wkrótce pożegna się z dotychczasowym życiem na marginesie społecznym; wiosną wstąpił na Uniwersytet Tokijski. W Korei trwała wojna i zląkł się pogłosek, że będą brali z prowincji młodych ludzi bez stałego zajęcia, wcielali do oddziałów policyjnych i wysyłali do Korei. Ciekawe, co się stało z Kikuhiko po tym, jak go porzucił tej nocy. Miał wrażenie, że smętny duch starego przyjaciela wyłonił się nagle z mroków przeszłości, by go pozdrowić.

– Co ci przyszło nagle do głowy, żeby wywlekać tę starą historię z Kikuhiko? Zupełnie zapomniałem, że ci w ogóle o tym mówiłem.

– Zawsze myślałam, że jak będziemy mieli syna, nazwiemy go Kikuhiko – odparła żona.

Nazwiemy go! Jeśli ten potworek kiedykolwiek dochrapie się choćby imienia! Ptak skrzywił się.

– Gdybyś opuścił nasze dziecko, chyba bym się z tobą rozwiodła – powiedziała. Z nogami postawionymi przed sobą, wpatrzona w zieleni na oknie, musiała nieraz ćwiczyć tę scenę.

– Rozwiodłabyś się? My byśmy się nie rozwiedli.

– Możliwe, ale ta sprawa byłaby przyczyną ciągłych kłótni między nami. – I na koniec, pomyślał Ptak, kiedy już by się okazało, że jest tchórzem, na którym nie można polegać, zostałby wygnany i skazany na to, by dokonać reszty swego smutnego żywota jako człowiek nie nadający się na męża. Właśnie w tej chwili w potwornie nasłonecznionej sali szpitalnej moje dziecko powoli słabnie i umiera. I ja na to po prostu czekam. A moja żona uzależnia przyszłe losy naszego małżeństwa od tego, czy zrobię wszystko, żeby uratować dziecko – stoję na z góry straconych pozycjach. Zresztą cóż mógł w tej chwili zrobić? Mógł jedynie odegrać swoją rolę.

– Nasze dziecko nie umrze – powiedział z żalem, który wcale nie był jednoznaczny.

Właśnie w tym momencie weszła teściowa z herbatą. Ponieważ nie zamierzała ujawniać ich ponurego spotkania na korytarzu i ponieważ żona Ptaka postanowiła z kolei ukryć przed nią ich wzajemną wrogość, rozmowa przy herbacie po raz pierwszy nabrała charakteru swobodnej pogawędki. Ptak próbował nawet nieśmiało żartować na temat dziecka bez wątroby i jego małego ojca.

Zanim podszedł do czerwonego sportowego samochodu, rzucił okiem na okna szpitalne, żeby się upewnić, że są rzeczywiście przesłonięte bujnym listowiem. Himiko spała mocno, wciśnięta pod

kierownicę, jakby była zapatulona w śpiwór, z głową na siedzeniu. Ptak potrząsając nią miał uczucie, że wyrwał się wreszcie z kręgu obcych ludzi i wrócił do swojej prawdziwej rodziny. Niby winowajca spojrzął raz jeszcze na szumiące korony miłorzębów.

– Sie masz, Ptak! – Himiko powitała go z MG jak amerykańska studentka, po czym wygramoliła się spod kierownicy i otworzyła mu drzwiczki. Wsiadł pospiesznie.

– Nie robi ci różnicy, jeśli najpierw wstąpimy do mnie, a po drodze do drugiego szpitala zatrzymamy się na chwilę w banku?

Himiko ruszyła i natychmiast, z rykiem silnika, dodała gazu. Ptak stracił na chwilę równowagę, ale przyklejony cały czas plecami do oparcia instruował ją, którądy ma jechać.

– Jesteś pewna, że już się obudziłaś? Bo może ci się wydaje, że pędzisz we śnie jakąś autostradą?

– Oczywiście że się obudziłam, Ptak. Śniło mi się, że to robimy.

– Czy ty o niczym innym nie potrafisz myśleć? – zapytał naiwnie.

– Nie, po takim wspaniałym wyczynie jak wczorajszy nie potrafię. To się nieczęsto zdarza. I nawet z tobą ten stopień podniecenia nie zawsze będzie osiągalny. Chciałabym wiedzieć, co zrobić, żebyśmy tak mogli wiecznie! Ale zanim się tego dowiemy, nawet my nie będziemy potrafili stłumić ziewania na widok swojej nagości.

Ale przecież myśmy dopiero zaczęli... – chciał powiedzieć Ptak, lecz MG, prowadzony energiczną ręką Himiko, podnosił już fontanny żwiru na podjeździe jego domu, nurkując maską w zieleń ogrodu.

– Zaraz wracam i postaraj się tym razem nie zasnąć. Przez pięć minut nie zdąży ci się chyba przyśnić, że się kochamy.

Na górze, w sypialni, Ptak spakował kilka najpotrzebniejszych rzeczy, które mogły mu się przydać w czasie pobytu u Himiko. Pakował się stojąc tyłem do dziecięcej kołyski, która teraz

przypominała mu małą białą trumienkę. Wziął jeszcze angielską powieść afrykańskiego pisarza, a na koniec zdjął ze ściany, starannie poskładał i włożył do kieszeni mapy Afryki.

– Czy to mapy drogowe? – zapytała Himiko bystrym wzrokiem obrzucając jego kieszeń. Jechali teraz do banku.

– Naturalnie, mapy, które rzeczywiście przedstawiają jakąś wartość użytkową.

– Dobrze, jak ty będziesz w banku, ja poszukam na nich najkrótszej drogi do szpitala.

– Świetnie, zwłaszcza że to są mapy Afryki – odparł Ptak. – Pierwsze prawdziwe mapy drogowe, jakie kiedykolwiek miałem.

– Oby nastał dzień, w którym ci się przydadzą – rzekła Himiko nie bez lekkiej ironii.

Zostawił dziewczynę skuloną pod kierownicą i znów szykującą się do snu, a sam poszedł do szpitala załatwić formalności. Powstał jednak problem: dziecko nie miało imienia. Odpowiedział panience w rejestracji na niezliczoną ilość pytań, aż wreszcie wybuchnął zniecierpliwiony:

-- Mój syn jest umierający. Niewykluczone, że już nie żyje. Czy mogłaby mi pani łaskawie powiedzieć, po co mam mu nadawać imię? – rzekł zimno.

Skonsternowana panienska ustąpiła. I właśnie wtedy, bez żadnej wyraźnej przyczyny, uznał, że śmierć dziecka jest już sprawą dokonaną. Zapytał nawet o sekcję i kremację zwłok.

Ale doktor, którego zaraz potem spotkał na oddziale, błyskawicznie wyprowadził go z błędu:

– Dlaczego pan tak niecierpliwie czeka, żeby dziecko umarło?! Koszty leczenia nie są przecież takie wysokie. Zresztą na pewno jest pan ubezpieczony. Rzeczywiście pański syn po trochu słabnie, ale jeszcze w dalszym ciągu jest bardzo żywy. Niech pan się uspokoi i zacznie się zachowywać jak normalny ojciec!

Ptak zapisał na kartce wyrwanej z notesu numer telefonu Himiko i poprosił lekarza, żeby do niego zadzwonił, gdyby zaszła potrzeba. Czuł, że wszyscy na oddziale patrzą na niego z obrzydzeniem, więc wrócił prosto do samochodu, nie zatrzymując się nawet przed inkubatorem, żeby spojrzeć na swego syna. Podobnie jak śpiąca w otwartym MG Himiko, po przejściu słoneczno-cienistego dziedzińca był zlany potem. W smudze spalin pomieszanych ze zwierzęcym odorem potu odjechali z rykiem silnika, by leżąc nago oczekiwać w domu wiadomości o śmierci dziecka.

Przez całe upalne popołudnie czuwali przy telefonie. Ptak nie ruszał się na krok nawet po zakupy, w obawie że zadzwonią właśnie wtedy, kiedy go nie będzie. Po obiedzie słuchali popularnego rosyjskiego pianisty; radio było przyciszone, a ich nerwy napięte do ostateczności. W końcu Ptak się zdrzemnął, ale budził go co chwila urojony telefon i wtedy wstawał, by go odebrać. Parę razy podnosił we śnie słuchawkę i słyszał w niej głos doktora informujący go o śmierci dziecka. W środku nocy ocknął się z uczuciem skazańca, którego egzekucja została chwilowo zawieszona. Ale w fakcie, że spędza tę noc nie sam, że jest z nim Himiko, znalazł nieoczekiwanie silne wsparcie moralne. Nigdy od czasu osiągnięcia dojrzałości nie odczuwał tak wielkiej potrzeby towarzystwa drugiego człowieka. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy.

IX

Nazajutrz rano pojechał do szkoły samochodem Himiko. Zaparkowanie na dziedzińcu pełnym studentów czerwonego MG miało lekki posmak skandalu, z czego Ptak nie zdawał sobie sprawy, dopóki nie włożył kluczyków do kieszeni. Czuł, że od kiedy zaczęły się kłopoty z dzieckiem, w zakamarkach jego świadomości powstały luki.

Z chmurną miną przecisnął się przez tłum studentów kręcących się wokół samochodu. W pokoju nauczycielskim kierownik studium języków obcych, niski mężczyzna, w krzykliwej marynarce, którą nosił na modłę nisei*, poinformował go, że dyrektor chce się z nim widzieć. Ale ta wiadomość trafiła akurat na jedno z dotkniętych korozją miejsc jego świadomości i nie wywarła na nim specjalnego wrażenia.

– Ptak, masz w sobie coś takiego... – powiedział kierownik półżartem, nie spuszczać z niego bystrego wzroku. – Nie wiem, jak to nazwać, czy to odwaga, czy tupet, w każdym razie wyglądasz na człowieka zdecydowanego!

Oczywiście Ptak nie mógł zapanować nad skrzywieniem, kiedy wchodził do klasy pełnej studentów. Ale to była inna grupa, większość nie wiedziała o wczorajszym haniebnym incydencie. W każdym razie tak się pocieszał. Podczas lekcji zauważył, że jednak kilku chłopców wie z pewnością, ale byli to wszystko absolwenci szkół średnich, w których panowała atmosfera kosmopolityczna i frywolna; dla nich wypadek Ptaka był po prostu zabawny, a może nawet odrobinę heroiczny. Gdy tylko spojrział w ich stronę, posyłali mu prowokacyjne w swojej serdeczności uśmiechy, które Ptak naturalnie ignorował.

Po wyjściu z klasy na szczycie spiralnych schodów spotkał jednego z uczniów, tego samego, który poprzedniego dnia obronił go przed napastliwą gromadą. Chłopak nie tylko urwał się z własnych zajęć, ale czekał na niego w pełnym słońcu. Na nosie lśniły mu kropelki potu, a dzinsy powalane były błotem, kiedy się podniósł ze stopnia.

– Cześć!

– Cześć! – odpowiedział Ptak.

– Na pewno wzywał pana dyrektor. Ten idiota poszedł na skargę i zaniósł mu nawet fotografię tych wymiotów, którą zrobił

* Amerykanin japońskiego pochodzenia, urodzony w Stanach Zjednoczonych Japończyk.

małym aparatem. – Chłopak uśmiechnął się głupio, pokazując duże, zadbane zęby.

Ptak również się uśmiechnął. Czyżby jego prześladowca nosił zawsze przy sobie mały aparacik w nadziei, że złapie go kiedyś na czymś kompromitującym i wykorzysta to przeciwko niemu?

– Powiedział dyrektorowi, że pan przyszedł do klasy na kacu, ale kilku z nas gotowych jest zaświadczyć, że pan się czymś zatrzał. Pomyśleliśmy, że byłoby dobrze najpierw spotkać się z panem i uzgodnić wersje – powiedział chłopak chytrze, jak rad z siebie konspirator.

– Ja rzeczywiście miałem kaca i to wy się mylicie. Jestem winien dokładnie tego, o co mnie ten purytanin oskarża. – Ptak prześliznął się koło chłopca i zaczął schodzić na dół.

– Ależ, sensei! – Uczeń, schodząc za nim, nie dawał za wygraną. – Przecież pana wyrzucą z pracy, jak pan się do tego przyzna. Nasz dyrektor jest przewodniczącym Ligi Antyalkoholowej w swojej dzielnicy, na miłość boską!

– Żartujesz!

– Ale dlaczego właściwie nie miałyby to uchodzić za zatrucie? Akurat taka pora roku... Przecież może pan powiedzieć, że tu kiepsko płacą i że widocznie zjadł pan coś nieświeżego.

– Nie chciałbym w tej sprawie oszukiwać. I nie życzę sobie, żebyście wy kłamali w mojej obronie.

– Hmm! – bezczelnie skwitował to chłopak. – A dokąd pan pójdzie, sensei, jak pana stąd wyleją?

Ptak postanowił nie zwracać na niego uwagi. Nie miał ochoty angażować się w żadne intrygi. Stwierdził, że traci wiarę w siebie; wynikało to z owych luk w świadomości.

– A zresztą może panu wcale nie zależy na pracy na kursach przygotowawczych. Dyrektorowi będzie głupio zwalniać kogoś, kto jeździ czerwonym MG. Ha!

Ptak w ucieczce przed zachwyconym śmiechem chłopaka wszedł spiesznie do pokoju nauczycielskiego. Kiedy odkładał do szafy stare pudełko kredy i skrypt, zobaczył zaadresowaną do siebie kopertę. Był to krótki liścik od kolegi, który był jednym z założycieli studium języków obcych; zdecydowali bez niego na specjalnym zebraniu, co robić w sprawie pana Delczewa. Rozdarł kopertę i miał właśnie zacząć czytać list, kiedy przypomniał mu się zabawny przesąd z czasów studenckich: kiedy masz jednocześnie do załatwienia jakieś dwie sprawy i właściwie nie wiesz, czego się spodziewać, jedna musi się okazać na zasadzie prawdopodobieństwa przyjemna. Wsadził nie przeczytany list do kieszeni. Gdyby jego spotkanie z szefem wypadło bardzo niepomyślnie, miał prawo liczyć, że znajdzie w nim dobre wiadomości.

Jedno spojrzenie na twarz dyrektora, gdy ją podniósł z nad biurka, powiedziało Ptakowi, że spotkanie okaże się katastrofalne w skutkach. Pogodził się z losem; wobec tego przynajmniej tak pokieruje rozmową, żeby mieć z niej maksimum satysfakcji.

– Znaleźliśmy się w dość kłopotliwej sytuacji, Ptak. Jeśli mam być szczery, i dla mnie nie jest ona najzręczniejsza. – Dyrektor mówił tonem apodyktycznym, a jednocześnie surowym, jak potentat na filmie z życia sfer przemysłowych. Człowiek ten, w wieku około trzydziestu pięciu lat, zamienił zwykle usługi korepetytorskie w zorganizowane na szeroką skalę kursy przygotowawcze z bogatym i starannie opracowanym programem, a teraz właśnie zamierzał zapoczątkować skrócone studia wyższe. Miał gładko wygoloną wielką głowę i nosił robione na zamówienie okulary i owalne szkła przymocowane do grubej, prostej ramki, która podkreślała tylko nieregularność jego rysów. W pełnych poczucia winy oczach ukrytych za groźnymi okularami, było coś, co zawsze budziło w Ptaku sympatię do tego człowieka.

– Wiem, co pan ma na myśli. To była moja wina.

– Uczeń, który przyszedł na skargę, pisuje stale do szkolnej gazetki, to nieprzyjemny chłopak. Gdyby narobił szumu wokół tej sprawy, moglibyśmy mieć przykrości...

– Oczywiście. Najlepiej będzie, jak sam od razu złożę rezygnację – powiedział szybko Ptak przejmując inicjatywę, żeby ułatwić szefowi zadanie. Dyrektor parsknął z nadmierną siłą i przybrał wyraz ponurego oburzenia.

– Profesor się zmartwi... – powiedział takim tonem, jakby prosił, żeby Ptak sam wyjaśnił teściowi sprawę.

Ptak skinął głową. Czuł, że jeśli w tej chwili nie wyjdzie z gabinetu szefa, może się zirytować.

– Jeszcze jedno, Ptak: podobno niektórzy chłopcy twierdzą, że to było zatrucie, i grożą, że rozpuszczą taką wersję. On utrzymuje, że robią to za twoim poduszczeniem. To chyba nie może być prawda?

Ptak przestał się uśmiechać i potrząsnął głową.

– Nie będę zabierał panu więcej czasu – powiedział.

– Bardzo mi przykro, Ptak – odrzekł dyrektor głosem wzmocnionym szczerością. Oczy za owalnymi szklami wezbrały współczuciem. – Zawsze cię lubiłem za to, że masz charakter! Czyżby to rzeczywiście był kac?

– Tak, kac – rzucił Ptak i wyszedł. Zamiast wrócić do pokoju nauczycielskiego, zdecydował się wyjść przez portiernię i szkolny dziedziniec do samochodu. Zrodził się w nim ponury bunt, jakby go niesłusznie upokorzono.

– Sensei, czy pan nas opuszcza? To straszna szkoda – wyrwał się woźny. Aha, to znaczy, że wieść się już rozeszła. Ptak był lubiany przez woźnych.

– Jeszcze do końca roku będzie pan musiał znosić moją obecność. – Pomyślał, że nie zasłużył na wyraz współczucia malujący się na pooranej zmarszczkami twarzy starego człowieka.

Niezmordowany sojusznik Ptaka siedział skrzywiony na drzwiach MG w upale i słońcu z miną człowieka dorosłego.

Niespodziewane wyjście Ptaka przez portiernię zaskoczyło go i chłopak zląkł na ziemię. Ptak wsiadł do samochodu.

– Jak poszło? Powiedział mu pan, że to było zatrucie, bronił się pan jakoś?

– Już ci mówiłem, że miałem kaca!

– Wspaniale! Po prostu wspaniale! – szydził chłopak jak gdyby z niesmakiem. – Pan wie, że pana wyrzuca!

Ptawk włożył kluczyk w stacyjkę i zapuścił silnik. W jednej chwili miał nogi mokre od potu, jakby wszedł do łaźni parowej. Nawet kierownica tak była rozgrzana, że aż strzepnęła gwałtownie palcami.

– O kurwa! – zaklął.

Chłopak roześmiał się zachwycony.

– Co pan zrobi, jak pana wyrzuca, sensei?

Co zrobię, jak mnie wyrzuca? I jeszcze do tego dwa szpitale do opłacenia! – pomyślał. Ale jego smażąca się w słońcu głowa nie była w stanie zrodzić żadnej sensownej myśli; wydzielala tylko strugi potu. Czując się jakoś nieswojo Ptak nie po raz pierwszy stwierdził, że traci wiarę w siebie.

– A może by pan został przewodnikiem? Nie musiałby pan pracować za te parę nędznych jenów w szkole dla niedoszłych studentów. Wycisnęłoby pan znacznie więcej dolarów z zagranicznych turystów!

– A wiesz, gdzie jest ośrodek obsługi turystycznej? – zainteresował się Ptak.

– Dowiem się. Gdzie pana szukać?

– Moglibyśmy się spotkać po lekcji w przyszłym tygodniu.

– Może pan na mnie polegać! – wykrzyknął uczeń z zapalem.

Ptak ostrożnie wyprowadził samochód na ulicę. Chciał się wreszcie pozbyć chłopaka, żeby móc przeczytać list. Ale dodając gazu poczuł dla niego wdzięczność. Gdyby młody człowiek nie wprowadził go w żartobliwy nastrój, w momencie kiedy zabłoconym samochodem odjeżdżał z miejsca pracy, którą właśnie stracił – w jakim byłby okropnym humorze! Jasne, że jest skazany na to, żeby z różnych trudnych sytuacji ratowała go młodsza brać. Ptak przypomniał sobie, że musi wziąć benzynę, i podjechał do stacji. Po chwili namysłu poprosił o najwyższą oktanową, po czym wyjął z kieszeni list, który zgodnie ze studenckim przesądem powinien zawierać wyłącznie wspaniałe wiadomości.

Pan Delczew, głuchy na prośby konsulatu, w dalszym ciągu mieszkał w Sindziuku z podejrzaną dziewczyną. Bynajmniej nie rozczarował się w sensie politycznym do swojej ojczyzny, nie zamierzał też prowadzić żadnej działalności szpiegowskiej ani uciekać. Po prostu nie był w stanie rozstać się z tą właśnie japońską dziewczyną. Oczywiście konsulatu obawiał się, że ten incydent może zostać wykorzystany do celów politycznych. Gdyby pewne rządy zachodnie użyły swoich wpływów, żeby rozpętać kampanię propagandową, sprawa pana Delczewa z pewnością odbiłaby się szerokim echem. W tej sytuacji jego władze były zainteresowane w tym, żeby go jak najprędzej odesłać do domu, ale skorzystanie z pomocy policji japońskiej nadałoby tylko całej historii rozgłosu. Jeśli zaś konsulatu zdecydowałoby się użyć przemocy, to pan Delczew, zasłużony w czasie wojny w ruchu oporu, z całą pewnością postawiłby się ostro, co w rezultacie i tak doprowadziłoby do interwencji policji. Nie mogąc sobie poradzić, konsulatu zwrócił się do pracowników studium języków obcych, by możliwie jak najdelikatniej starali się wyperswadować panu Delczewowi jego szaleństwo. W sobotę po południu miało się odbyć w restauracji naprzeciwko uniwersytetu, który ukończył Ptak i jego koledzy, następne zebranie w tej sprawie. Ponieważ Ptak najlepiej zna pana Delczewa, jak pisał kolega, wszystkim bardzo zależy na jego obecności na zebraniu.

Sobota, pojutrze: tak, pójdzie! Chłopak ze stacji benzynowej, jak pszczoła otoczona mgiełką miodnego zapachu, spowity był w

obłok benzynowych wyziewów. Ptak zapłacił mu i odjechał ze stacji z rykiem silnika. Jeśli dziecko nie umrze ani dziś, ani jutro, ani nawet pojutrze, konieczność załatwienia takiej sprawy, która przynajmniej częściowo wypełni denerwujące godziny zawieszenia wyroku, była niewątpliwie okolicznością pomyślną. W tym sensie list okazał się jednak szczęśliwy.

Po drodze do Himiko zatrzymał się przed sklepem spożywczym i kupił piwo i puszkę łososia. Zostawił samochód przed domem, ale frontowe drzwi okazały się zamknięte. Czyżby Himiko wyszła? Ptaka ogarnęła nieusprawiedliwiona wściekłość; słyszał niemal dzwoniący godzinami w pustym mieszkaniu telefon. Ale kiedy obszedł dokoła dom i zawołał pod oknem sypialni, spomiędzy zasłon mrugnęło do niego uspokajająco oko. Ptak westchnął i zlany potem wrócił przed frontowe drzwi.

– Były jakieś wiadomości ze szpitala? – zapytał z twarzą w dalszym ciągu napiętą.

– Nie, cisza.

Czuł się, jakby całą energię strwonił na objeżdżanie Tokio czerwonym sportowym samochodem w ten upalny dzień. Chwyciła go w swoje kleszcze potworna langusta zmęczenia, jak gdyby dopiero wiadomość o śmierci dziecka miała nadać jego działaniu właściwy sens i proporcje. Ptak burknął:

– Dlaczego trzymasz drzwi frontowe zamknięte nawet w dzień?

– Dlatego, że się boję. Mam takie wrażenie, jakby na zewnątrz czyhał na mnie ohydny szatan nieszczęścia.

– Szatan na ciebie? – W głosie Ptaka brzmiało niedowierzanie. – A jakież to nieszczęście może ci w tej chwili zagrażać?

– Ostatecznie mój mąż nie tak dawno popełnił samobójstwo. Ptak, czy ty przypadkiem w swojej zdumiewającej bezczelności nie uważasz, że tylko tobie jednemu może grozić nieszczęście?

Był to cios straszny, który nie znokautował Ptaka jedynie dlatego, że Himiko odwróciła się do niego tyłem i pospiesznie weszła do sypialni oszczędzając mu następnego ciosu.

Ze wzrokiem utkwionym w jej tłusto połyskujące, nagie plecy przebrnął przez duszną atmosferę mrocznego saloniku i właśnie miał wejść do sypialni, kiedy zatrzymał się speszony. Rozwalona na łóżku, spowita w papierosowy dym, który jak chmura gazowa unosił się nad całym pokojem, leżała duża dziewczyna mniej więcej w wieku Himiko, już niemłoda, z gołymi ramionami.

– Cholernie długo cię nie widziałam – powitała go ochryple, przeciągając słowa.

– Jak się masz – odpowiedział Ptak, który nie zdołał jeszcze opanować zmieszania.

– Nie chciałam sama wyczekiwać na telefon, więc ją zaprosiłam.

– A ty nie masz dzisiaj dyżuru? – zapytał Ptak. Była to również jego koleżanka z wydziału anglistyki. Przez dwa lata po skończeniu uniwersytetu nie robiła dosłownie nic, tylko się zabawiała. Jak większość dziewcząt, które studiowały razem z Ptakiem, odrzucała wszystkie po kolei propozycje pracy uważając, że są poniżej jej możliwości. W końcu, po dwóch latach obijania się, została reżyserem w trzeciorzędnej rozgłośni radiowej o lokalnym zasięgu.

– Nie wiesz, że moje programy idą po północy? Musiałeś słyszeć zmysłowe szepty naszych dziewczyn, które brzmią tak, jakbyśmy głosem pierdoliły radiosłuchaczy – powiedziała reżyserka przesłodzonym tonem. Ptak przypomniał sobie wszystkie smakowite skandale, w jakie wrobiła rozgłośnię, która była na tyle uprzejma, że ją zatrudniła. Pamiętał też doskonale, jaką odrazą go napawała jeszcze w czasach studenckich, kiedy była nie tylko duża, ale gruba, i miała w oczach i w nosie coś, czego nie potrafiłby dokładnie określić, ale co mu przypominało borsuka.

– Czy nie można czegoś zrobić z tym dymem? – zapytał sztywno, stawiając piwo i puszkę łososa na telewizorze.

Himiko wyszła do kuchni uruchomić wentylator. A jej przyjaciółka niewiele sobie robiąc z tego, że dym go szczypie w oczy, brzydkimi paluchami o perłowo pomalowanych paznokciach zapaliła następnego papierosa. W świetle pomarańczowego płomienia srebrnej zapalniczki Dunhilla, pomimo opadających jej na twarz włosów, zobaczył głębokie bruzdy na czole dziewczyny i delikatne skurcze marszczące ciemno żyłkowane powieki. Coś ją musiało gnębić; Ptak zrobił się czujny.

– Czy nie dokucza wam, dziewczęta, ten upał?

– Owszem, mnie bardzo, mało nie zemdleję – odparła ponuro koleżanka Himiko. – Ale przeciąg przeszkadza w intymnych zwierzeniach przyjaciółek.

Podczas gdy Himiko krzątała się po kuchni, upychając piwo między pojemnikami z lodem, odkurzając puszki i sprawdzając etykiety, dziewczyna patrzyła na to z łóżka krytycznym wzrokiem. Ta suka prawdopodobnie z lubością rozpaple pikantną plotkę o nas – pomyślał Ptak. Nie zdziwiłbym się, gdyby to puściła późno w nocy na antenę.

Himiko przyczepiła pluskiewkami mapę Ptaka na ścianie w sypialni. Nawet powieść afrykańskiego autora, którą ukrył w swojej torbie, leżała otwarta na podłodze jak zdechły szczur. Musiała ją właśnie czytać w łóżku, kiedy przyszedł gość. Wobec tego rzuciła książkę, żeby otworzyć drzwi, i tak już ją zostawiła. Zirykowało to Ptaka. Jego afrykańskie skarby traktuje się z takim lekceważeniem; to zły znak. Myślę, że nigdy w życiu nie zobaczę afrykańskiego nieba. I nie ma co mówić o jakimkolwiek oszczędzaniu pieniędzy na podróż; straciłem pracę, która pozwalała mi zaledwie wiązać koniec z końcem.

– Wyrzucili mnie dziś z pracy – powiedział do Himiko. – I z kursu letniego też, ze wszystkiego.

– Niemożliwe! Co się stało, Ptak?

Był zmuszony opowiedzieć o kacu, o torsjach, o tym, jak został zaatakowany przez zawziętego purytanina, i stopniowo historia stała

się niesmaczna. Pełen obrzydzenia, starał się zakończyć ją jak najszybciej.

– No i pomyśleć, że mogłeś się bronić wobec dyrektora! Jeśli kilku uczniów chciało zaświadczyć, że to było zatrucie, to co by się stało, gdybyś przyjął ich pomoc? Jak mogłeś zgodzić się tak łatwo, żeby cię wyrzucili z pracy?

Właśnie, na tym cała rzecz polega: dlaczego tak łatwo się zgodziłem, żeby mnie wyrzucili? Po raz pierwszy poczuł przywiązanie do pracy nauczyciela, którą właśnie stracił. To nie jest praca, z której można tak lekko zrezygnować. I co teraz powie teściowi? Czy zdobędzie się na to, żeby wyznać, że w dniu, kiedy przyszło na świat jego nienormalne dziecko, spił się do nieprzytomności i nazajutrz rano zachował się tak karygodnie, że go usunęli z pracy? I to wszystko przez Johnny Walkera, którego dostał w prezencie od profesora...

– Czuję się tak, jakbym absolutnie do niczego nie miał prawa. Poza tym tak bardzo zależało mi na jak najszybszym zakończeniu tej rozmowy z dyrektorem, że gotów byłem zgodzić się na wszystko; była to oczywiście idiotyczna lekkomyślność z mojej strony.

– Czy chcesz powiedzieć – wtrąciła się przyjaciółka Himiko – że czujesz się tak, jakbyś stracił wszelkie ludzkie prawa dlatego, że po prostu siedzisz i czekasz na śmierć swojego dziecka?

Ach, więc Himiko opowiedziała jej całą tę koszmarną historię!

– Coś w tym rodzaju – odparł Ptak rozdrażniony zarówno niedyskrecją Himiko, jak i bezceremonialnością dziewczyny. Już teraz mógł sobie łatwo wyobrazić siebie jako bohatera głośnego skandalu.

– To właśnie tacy ludzie, którym się wydaje, że stracili prawo do wszystkiego, popełniają samobójstwa. Ptak, błagam cię, tylko nie odbieraj sobie życia – powiedziała Himiko.

– Skąd całe to gadanie o samobójstwie? – zachnął się Ptak, zagrożony w głębi duszy.

– Bo właśnie mój mąż tak się czuł, zanim odebrał sobie życie. Gdybyś się powiesił w tej samej sypialni, musiałabym uznać, że jestem czarownicą.

– Nigdy nawet nie myślałem o samobójstwie – oświadczył Ptak.

– Ale twój ojciec odebrał sobie życie, prawda?

– Skąd wiesz?

– Powiedziałeś mi o tym tej nocy, kiedy mój mąż się powiesił, usiłowałeś mnie pocieszyć. Chciałeś, żebym uwierzyła, że samobójstwo to rzecz normalna, która zdarza się dosłownie co dzień.

– Musiałem być bardzo zdenerwowany – odrzekł Ptak bez przekonania.

– Opowiedziałeś mi nawet, jak ojciec cię kiedyś uderzył.

– Co to takiego było? – zapytała dziewczyna, której ciekawość została pobudzona.

Ale ponieważ Ptak milczał ponuro, Himiko opowiedziała historię tak, jak ją zapamiętała.

Pewnego dnia sześciolatek wówczas Ptak zadał ojcu takie pytanie: „Tatusiu, gdzie ja byłem sto lat przed moim urodzeniem? Gdzie będę sto lat po śmierci? Tatusiu, co się ze mną stanie, jak umrę?” Bez słowa młody ojciec uderzył go w twarz tak silnie, że wybił mu dwa zęby. Chłopak zalał się krwią, ale od tej chwili zapomniał o swoim strachu przed śmiercią. W trzy miesiące później ojciec Ptaka palnął sobie w łeb z niemieckiego pistoletu wojskowego, z czasów pierwszej wojny światowej.

– Jeżeli moje dziecko umrze z wycieńczenia – rzekł wspominając ojca – będę miał przynajmniej jeden kłopot z głowy. Bo nie wiedziałbym, co zrobić, gdyby mój sześciolatek syn zadał mi takie pytanie. A nie potrafiłbym go uderzyć w twarz na tyle mocno, żeby zapomniał o lęku przed śmiercią. Nawet na jakiś czas.

– Ale nie odbieraj sobie życia, dobrze?

– Nie obawiaj się o to – odparł Ptak odwracając od napuchniętych, zaczerwienionych oczu Himiko oczy, z którymi też zaczęło się dziać coś niedobrego.

Dziewczyna zaatakowała go, jakby tylko czekała, aż Himiko zamilknie.

– Ptak, czy to wyczekiwanie, aż dziecko osłabnie na wodzie z cukrem gdzieś w dalekim szpitalu, nie jest dla ciebie najgorsze? To przecież oszukiwanie siebie, stan ciągłej niepewności, niepokoju. Jestem przekonana, że to cię właśnie wykańcza. I nie tylko ciebie, bo nawet Himiko schudła.

– Dobrze, ale przecież nie mogę go po prostu wykraść i zabić – zaprotestował Ptak.

– Ale w ten sposób przynajmniej byś się nie oszukiwał; musiałbyś się przyznać, że kalasz własne ręce. Jest już za późno, żebyś uciekł od tkwiącego wewnątrz ciebie łotra, sam musiałeś stać się łotrem, ponieważ chciałeś obronić swoją cichą domową przystań przed nienormalnym dzieckiem, i jest w tym nawet jakaś egoistyczna logika. Ale ty zostawiasz całą brudną robotę jakiemuś tam lekarzowi w szpitalu, a sam obnosisz się ze swoim cierpieniem udając ofiarę nieszczęścia, które nagle na ciebie spadło, jakbyś był bardzo uczciwym człowiekiem, i to jest właśnie zgubne z punktu widzenia twojego zdrowia psychicznego! Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że się oszukujesz!

– Oszukuję się? Oczywiście, gdybym czekając niecierpliwie, aż dziecko umrze, gdy mnie przy nim nie ma, usiłował siebie przekonać, że mam czyste ręce, to by z pewnością było nieuczciwe – bronił się Ptak. – Ale ja sobie doskonale zdaję sprawę, że będę odpowiedzialny za jego śmierć.

– Nie sądzę – powiedziała dziewczyna bez przekonania. – Obawiam się, że z chwilą kiedy ono umrze, zwali się na ciebie lawina kłopotów, kara za to, że się oszukujesz. I właśnie wtedy Himiko musi najbardziej pilnować Ptaka, który najprawdopodobniej będzie już u boku swojej cierpiącej żony, żeby nie popełnił samobójstwa.

– Żona powiedziała, że by się ze mną rozwiodła, gdybym czegoś zaniedbał i dziecko w wyniku tego umarło.

– Jak już człowiek raz zacznie się oszukiwać, nie jest w stanie tak łatwo podejmować decyzji dotyczących własnej osoby – rzekła Himiko pointując koszmarną przepowiednię swojej przyjaciółki. – Ty nie dostaniesz rozwodu, Ptak. Będziesz się wił rozpaczliwie i szukał dla siebie usprawiedliwienia, żeby tylko ratować swoje małżeństwo. Decyzja rozwodu grubo przekracza twoje obecne możliwości, trucizna samooszukiwania zrobiła już swoje. I wiesz, jak się skończy ta cała historia? Nawet twoja własna żona przestanie ci ufać, aż pewnego dnia stwierdzisz, że całe twoje życie osobiste jest pełne fałszu, i wtedy ze sobą skończysz. Ptak, pierwsze objawy samounicestwienia już u ciebie wystąpiły!

– Jednym słowem ślepy zaułek! Już ty potrafisz odmalować przyszłość w tak ponurych barwach, jak tylko można sobie wyobrazić. – Ptak próbował tonu lekko żartobliwego, ale jego duża, zwalista koleżanka ze szkolnej ławy była na tyle przewrotna, że odparowała:

– Teraz to już nie ma najmniejszych wątpliwości, że zabmałeś w ślepy zaułek.

– Ale przecież fakt, że moja żona urodziła nienormalne dziecko, jest czystym przypadkiem i żadne z nas nie może być za to odpowiedzialne. A ja nie jestem ani takim absolutnym łotrem, żeby własnoręcznie skrócić mu kark, ani takim absolutnym aniołem, żeby za wszelką cenę walczyć o utrzymanie go przy życiu, niezależnie od tego, jak beznadziejnie sprawa wygląda. W tej sytuacji jedyne, co mogę zrobić, to zostawić dziecko w klinice uniwersyteckiej i liczyć na to, że po trochu osłabnie i umrze śmiercią naturalną. Jeżeli po tym wszystkim będę się czuł jak szczur, który najadłszy się trucizny w panicznej ucieczce zabrnął w ślepy zaułek, to trudno, nic na to nie poradzę.

– I tu się właśnie mylisz, Ptak. Trzeba być albo absolutnym łotrem, albo absolutnym aniołem: jednym albo drugim.

Ptak poczuł w słodko-zakisłym powietrzu lekki alkoholowy powiew. Spojrzał na dużą twarz dziewczyny i nawet w mroku dostrzegł, że jest zaczerwieniona i drga w nerwowym tiku.

– Jesteś pijana, prawda? Od razu poznałem...

– Ale to wcale nie znaczy, że wszystko, co mówiłam, po tobie spłynie – wygłosiła z tryumfem i bezwstydnie zionąc whisky dodała: – Żebyś nie wiem jak mnie zapewniał, to nie zdajesz sobie teraz sprawy, jaki osad zostawi w tobie po śmierci dziecka to oszukiwanie samego siebie. Nie zaprzeczysz chyba, że twoim największym zmartwieniem w tej chwili jest obawa, że to nienormalne dziecko będzie rosło jak chwast i wcale nie umrze?

Ptakowi ścisnęło się serce i znów oblał się potem. Przez dłuższy czas siedział w milczeniu, jak zbity pies. Po czym wstał bez słowa i poszedł do lodówki wziąć sobie piwa. Na widok butelki zamrożonej tylko w miejscu, gdzie przytykała do lodu, a poza tym prawie całkowicie ciepłej, stracił chęć na piwo. Mimo to wziął ze sobą do sypialni butelkę i trzy szklanki. Przyjaciółka Himiko była w sąsiednim pokoju, gdzie przy zapalonym świetle poprawiała włosy i makijaż i wkładała sukienkę. Ptak odwrócił się do niej tyłem i nalał sobie i Himiko piwa, które zmętniało i zrobiło się brudnobrazowe.

– Pijemy piwo! – zawołała Himiko.

– Ja dziękuję, muszę iść do radia.

– Ale przecież jeszcze wcześniej – powiedziała kokieteryjnie Himiko.

– Myślę, że nie jestem ci już potrzebna, jak masz Ptaka – odparła dziewczyna, jakby chciała go uwikłać w sieć aluzji. Po czym już zwracając się bezpośrednio do niego: – Jestem bóstwem opiekuńczym tych wszystkich dziewczyn, które skończyły razem ze mną studia. Potrzebne im jest bóstwo opiekuńcze, ja im jestem potrzebna, bo one jeszcze same nie wiedzą, czego chcą. Ile razy któraś znajdzie się w tarapatach, zawsze się zjawiam i ją podtrzymuję. Ptak, proszę cię, nie angażuj Himiko zbyt mocno w swoje

problemy rodzinne. Nie powiem, żebym ci osobiście nie współczuła, ale...

Kiedy Himiko wyszła odprowadzić przyjaciółkę do taksówki, Ptak wylał do zlewu resztę letniego piwa i wziął zimny prysznic. Przypomniało mu się, jak jeszcze w szkole podstawowej w czasie wycieczki został w tyle i zablądził i jak go wtedy wysiekł lodowaty deszcz. Przytłaczająca samotność i uczucie potwornej bezradności. W tej chwili był jak krab, który właśnie zrzucił skorupę; poddawał się nawet najnędrniejszemu wrogowi. Jeszcze nigdy nie był w takim okropnym stanie, pomyślał. Fakt, że wtedy potrafił stawić czoło młodzieżowej bandzie, wydał mu się czymś tak niezwykłym, że znów ogarnął go strach.

Odczuwając po zimnym prysznicu coś w rodzaju podniecenia, położył się nagi na łóżku. Zapach gościa już się ulotnił i znów w mieszkaniu zapanował ów szczególny odór starości. Nora Himiko. Musiała we wszystkie kąty wetrzeć zapach swego ciała, potwierdzając w ten sposób swoje prawa do tego terytorium, inaczej byłaby niespokojna jak małe, bojaźliwe zwierzątko. Tak już przywykł do zapachu tego domu, że brał go czasem za własny. Co Himiko tam robi tak długo? Zmył z siebie stary pot i zaczynał się właśnie pokrywać świeżym. Powlókł się znów do kuchni i otworzył następną butelkę lekko już przechłodzonego piwa.

Kiedy Himiko wróciła po godzinie, zastała go niezadowolonego.

– Ona była zazdrosna – powiedziała na usprawiedliwienie przyjaciółki.

– Zazdrosna?

– Nie wiem, czy uwierzysz, ale to najbardziej godna pożałowania postać z naszej małej grupki. Od czasu do czasu któraś z nas idzie z nią do łóżka, żeby jej poprawić samopoczucie. A ona wmówiła sobie, że jest naszym bóstwem opiekuńczym.

Kręgosłup moralny Ptaka został przetracony, w chwili kiedy wyrzekł się swego dziecka; związek Himiko z dziewczyną z radia nie wywarł na nim szczególnego wrażenia.

– Może ona i mówiła pod wpływem zazdrości, ale to nie znaczy, że wszystko, co powiedziała, po mnie spłynęło.

X

Oglądali w telewizji nocne wiadomości; Ptak leżał na łóżku, na brzuchu, czasem tylko unosząc głowę jak nowo narodzony krokodyl. Himiko siedziała na podłodze obejmując rękami kolana. Upał ustąpił i jak para nagich jaskiniowców rozkoszowali się otaczającym ich chłodem. Ze względu na telefon wyciszyli dźwięk i słyhać było tylko głos spikera niby słabiutkie bzykanie skrzydeł pszczoły. Ale to, co słyszał Ptak, nie było ludzkim głosem wyposażonym w treść czy nastrój; tak samo zresztą jak w migoczących cieniach nie rozróżniał konkretnych kształtów. Nie dopuszczał z zewnątrz niczego, co by mogło rzucać jakikolwiek obraz na ekran jego świadomości. Po prostu czekał, jak uszkodzone radio, z systemem odbiorczym jedynie, na sygnał z oddali, który – nawet nie miał pewności, czy zostanie nadany. Jak dotąd sygnał nie nadszedł i odbiornik, Ptak, był chwilowo wyłączony. Himiko położyła nagle na kolanach książkę *Moje życie w lesie upiorów* afrykańskiego autora Amosa Tutuoli i pochylając się całym ciałem do przodu nastawiła głoś w telewizji. Ale nawet wtedy Ptak nie zdawał sobie w pełni sprawy z obrazu, który śledziły jego oczy, ani z dźwięku, którego słuchały jego uszy. Po prostu dalej czekał patrząc tępo w ekran. Po chwili Himiko wyciągnęła rękę i, podparłszy się kolanami i drugą ręką, zgasła telewizor. Srebrny punkcik rozbłysnął, skurczył się i zgasł – czysta abstrakcja śmierci. Ptak drgnął; moje dziecko mogło właśnie w tej chwili umrzeć! – takie było jego odczucie. Od rana do tej późnej nocnej godziny wyczekiwał telefonu. Poza tym, że na drugie śniadanie zjadł parę kanapek z szynką i popił je piwem, i systematycznie ponawiał stosunek z Himiko, nie robił absolutnie nic – nawet nie patrzył na swoje mapy ani nie czytał swojej afrykańskiej

powieści (Himiko, jak gdyby zaraziła się jego afrykańską gorączką, była oczarowana jednym i drugim); nie potrafił myśleć o niczym poza śmiercią dziecka. Wyraźnie przeżywał załamanie.

Himiko obróciła się i odezwała do niego z błyskiem ożywienia w oku.

– Co? – zmarszczył czoło, nic nie rozumiejąc.

– Mówię, że to może być początek wojny atomowej, która będzie oznaczała koniec świata!

– Dlaczego tak mówisz?! – zapytał zdziwiony. – Czasem coś powiesz ni przypiął, ni przyłatał.

– Ni przypiął, ni przyłatał? – Tym razem Himiko się zdziwiła. – A dla ciebie ta wiadomość nie była szokująca?

– Jaka niby wiadomość? Nie zwróciłem uwagi, co innego mnie niepokoi.

Himiko spojrzała na Ptaka z wyrzutem, ale natychmiast się zorientowała, że ani się z nią nie droczy, ani nie jest wstrząśnięty tym, co usłyszał. Błysk zniecierpliwienia w jej oczach zgasł.

– Ptak, weź się w garść!

– Ale o jaką wiadomość ci chodzi?

– Wznowiono próby nuklearne; wygląda na to, że dokonano eksplozji bomby, przy której dotychczasowe bomby wodorowe są jak fajerwerki.

– Tak?

– Nie zrobiło to na tobie specjalnego wrażenia.

– Rzeczywiście...

– To dziwne!

To naprawdę było dziwne; po raz pierwszy dotarło do Ptaka, że podjęcie na nowo prób nuklearnych nie zrobiło na nim

najmniejszego wrażenia. Ale nawet eksplozja nuklearna oznaczająca wybuch trzeciej wojny światowej nie byłaby w stanie go zdziwić...

– Nie wiem, ale naprawdę zupełnie mnie to nie obeszło – powiedział.

– Czy polityka kompletnie cię przestała interesować?

Musiał się przez chwilę w ciszy zastanowić.

– Nie jestem już tak wrażliwy na sytuację międzynarodową jak za czasów studenckich; pamiętasz, jak chodziliśmy z tobą i twoim mężem na wszystkie wiece protestacyjne? Ale broń atomowa to sprawa, która zawsze leżała mi na sercu. Jediną akcją polityczną, jaką podejmowała nasza grupa studencka, były demonstracje przeciwko użyciu broni jądrowej. Powinna mnie przerazić ta wiadomość, ale mimo że patrzyłem cały czas, nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia.

– Ptak... – Himilko zawahała się.

– Wygląda na to, że mój system nerwowy reaguje jedynie na to, co jest związane z dzieckiem, a na wszystko inne pozostaje obojętny.
– Jakiś nieokreślony niepokój zmusił go do tego wyjaśnienia.

– Właśnie. Przez cały dzień, przez okrągłe piętnaście godzin, nie mówiłeś o niczym innym, tylko o tym, czy dziecko już umarło, czy nie.

– Rzeczywiście, że jego widmo całkowicie mną oładnęło, jakbym się zanurzył w sadzawce, którą jest jego obraz.

– To nienormalne. Jeżeli dziecko będzie długo umierało i taka sytuacja potrwa, powiedzmy, że sto dni, ty przecież zwariujesz. Zobaczysz, Ptak!

Ptak spojrzał na Himiko spode łba. Jak gdyby echo jej słów mogło użyczyć dziecku słabnącemu na wodzie z cukrem i rozcieńczonym mleku takiej energii, jaką Wyłupiasty czerpał z puszek szpinaku. Sto dni! Dwa tysiące czterysta godzin!

– Ptak, jeśli pozwolisz, żeby widmo dziecka opętało cię do tego stopnia, to przecież nie wyzwolisz się od niego nawet po jego śmierci.
– I Himiko zacytowała po angielsku z *Makbeta*: – „Nie trzeba sobie takich rzeczy w takim świetle wystawiać”, Ptak, „inaczej by przyszło oszaleć”^{*}.

– Ale ja nie mogę przestać myśleć o dziecku, zresztą niewykluczone, że i potem nie będę mógł. I nic na to nie poradzę. Masz pewnie rację, że najgorsze zaczniesz się dopiero po jego śmierci.

– Jeszcze nie jest za późno; można zadzwonić do szpitala i powiedzieć, żeby mu zaczęli dawać normalne mleko...

– To by nie miało sensu – przerwał jej Ptak głosem tak płaczącym i podnieconym jak krzyk. – Wiedziałybyś, że to nie ma sensu, gdybyś zobaczyła tę narośl!

Himiko przyjrzała się Ptakowi i potrzęsnęła głową ponuro. Unikali swojego wzroku. Zgasiła światło i dała nurka pod koc. Było już teraz na tyle chłodno, że mogli się pomieścić we dwoje na wąskim łóżku nie przeszkadzając sobie nawzajem. Przez jakiś czas leżeli spokojnie, w milczeniu. Po chwili Himiko oplotła Ptaka swoim ciałem poruszając się w sposób zadziwiająco niezręczny jak na osobę tak zwykle biegłą w tej sztuce. Poczuli na udzie szorstką kępkę jej włosów łonowych. Nagłe ukłucie odrazy szybko minęło. Wolałby, żeby przestała się ruszać i zapadła w swój kobiecy sen. Jednocześnie żywił przewrotną nadzieję, że będzie czuwała, dopóki on nie zaśnie. Mijały minuty. Każde z nich wiedziało, że to drugie nie śpi, ale usiłowało tego nie okazać. Na koniec Himiko powiedziała z gwałtownością borsuka, który nie potrafi już dłużej udawać zdechłego:

– Tej nocy śniło ci się dziecko, prawda? – Jej głos zabrzmiał dziwnie ostro.

– Tak. A dlaczego pytasz?

– Jak ci się śniło?

^{*} Akt II, sc. 2; przekład Józefa Paszkowskiego.

– Baza raketowa na księżycu i kołyska dziecka samotna na tych fantastycznie nagich skałach. To wszystko. Bardzo prosty sen.

– Leżałeś zwinięty jak niemowlę, z zaciśniętymi pięściami, i zacząłeś we śnie płakać „Łaa! Łaa!” Nie było ci widać twarzy, tylko rozdziawione usta.

– To koszmar, to nienormalne! – powiedział Ptak jakby z wściekłością, zanurzając się w gorącym źródle własnego wstydu.

– Złękłam się. Bałam się, że już taki zostaniesz, że ci to nie przejdzie.

Ptak milczał, policzki mu płonęły w ciemności. Himiko leżała spokojna jak głaz.

– Ptak, gdyby ten problem nie ograniczał się wyłącznie do ciebie, nie był sprawą tak bardzo osobistą, gdyby w jakimś stopniu dotyczył i mnie, tak żebym mogła go z tobą dzielić, na pewno potrafiłabym cię jakoś lepiej podtrzymać na duchu... – Ton Himiko był skruszony, jakby żałowała, że mu powiedziała o tym płaczu przez sen.

– Masz rację, że ta sprawa ogranicza się tylko do mnie, jest ściśle osobista. Ale są doświadczenia osobiste, które choć wtrącają człowieka do jaskini samotności, to przecież w końcu zawsze ukazują mu jakiś boczny tunel wiodący do prawdy o wartości ogólnoludzkiej. I właśnie odkrycie tej prawdy stanowi nagrodę za cierpienie. Tak było z Tomkiem Sawyerem! Musiał cierpieć w ciemnej jaskini, ale jednocześnie ze znalezieniem wyjścia znalazł worek złota! Moje obecne doświadczenie przypomina wiercenie pionowego szybu w całkowitym odosobnieniu; ten szyb prowadzi w beznadziejne głębie i nigdzie, w żadnym miejscu, nie łączy się ze światem innego człowieka. Dlatego mogę się pocić i cierpieć w swojej ciemnej jaskini, ale moje osobiste doświadczenie nikomu się na nic nie przyda. To, co ja teraz robię, jest drażeniem dziury, bezowocnym, haniebnym drażeniem; mój Tomek Sawyer znajduje się na dnie rozpaczliwie głębokiego szybu i wcale bym się nie zdziwił, gdyby oszalał!

– Pośród moich doświadczeń nie ma nic takiego jak absolutnie bezowocne cierpienie. Zaraz po śmierci mojego męża oddałam się, i to bez żadnego zabezpieczenia, mężczyźnie, który mógł być chory wenerycznie; nabawiłam się wtedy obsesyjnego lęku przed syfilisem. Ten strach dręczył mnie potwornie długo, ale cierpiąc zdałam sobie sprawę, że nie ma nerwicy tak jałowej i bezproduktywnej jak moja. Kiedy się jej w końcu pozbyłam, została mi jedna cenna rzecz: od tamtej pory mogę to robić w każdej sytuacji, nawet najgroźniejszej, i nigdy moja troska o to, że się zarazę syfilisem, nie trwa długo!

Himiko opowiedziała swoją historię, jakby to było żartobliwe wyznanie, które zakończyła nawet chichotem. Co z tego, że jej wesołość była sztuczna; Ptak czuł, że dziewczyna za wszelką cenę stara się go pocieszyć. Mimo to pozwolił sobie na cyniczną uwagę:

– Innymi słowy, jak następnym razem moja żona urodzi nienormalne dziecko, nie będę cierpieć długo.

– Wcale nie to miałam na myśli – odparła zbита z tropu. – Gdybyś tylko mógł pójść na ustępstwo i swoje doświadczenie sklasyfikować nie jako pionowy szyb, ale jako jaskinię z bocznym tunelem...

– To chyba niemożliwe.

Na tym rozmowa się skończyła.

– Napiję się piwa i wezmę jakieś proszki nasenne – powiedziała w końcu Himiko. – Tobie też pewnie by się przydały.

Oczywiście, że i jemu by się przydały, ale nie chciał przespać telefonu.

– Nie, ja dziękuję – powiedział tonem ostrym z powodu wielkiego pragnienia. – Nienawidzę budzić się rano ze smakiem proszków nasennych w ustach. – „Nie, ja dziękuję” by w zupełności wystarczyło. Ale tamte dodatkowe słowa były niezbędne dla ugaszenia pragnienia piwa i tabletek nasennych, które go paliło w gardle żywym ogniem.

– Naprawdę? – powiedziała brutalnie, popijając tabletki połową szklanki piwa. – Rzeczywiście, uświadomiłeś mi, że to przypomina smak złamanego zęba.

Długo jeszcze po tym, jak Himiko zasnęła, Ptak leżał przytomny u jej boku, sztywny od ramion do pasa, jakby był chory na słońiowatość. Leżenie w łóżku z drugą osobą wydawało się tak wielką ofiarą z jego strony, że aż ją odczuł jako niesprawiedliwość. Usiłował sobie przypomnieć, jak to było, kiedy w pierwszym roku po ślubie sypiali razem z żoną, ale pamięć go zawiodła. W końcu zdecydował się spać na podłodze; kiedy jednak próbował usiąść, Himiko jęknęła we śnie i z zaciekleścią zgrzytając zębami oplotła go swoim ciałem. Znów poczuł kępkę sztywnych włosów ocierających się o jego udo. Z ciemności, z półotwartych ust dziewczyny buchał rdzawo-metaliczny odór.

Nie mogąc się nawet poruszyć, coraz bardziej obolały, leżał beznadziejnie trzeźwy. Nagle ogarnęło go potworne podejrzenie. A może doktor i pielęgniarki podają dziecku dziesięć litrów pełnego mleka na godzinę? Niemal widział, jak dwiema czerwonymi buziami otwartymi w dwóch czerwonych głowach łyka zachłannie skondensowane mleko. Cała skóra Ptaka obsiana była ziarnem gorączki. Wstyd zelżał nieco, za to druga szala – przewyciężone już poczucie zagrożenia przez małego potworka – poszła na dół: równowaga psychiczna stanu odroczenia została zachwiana. Ptak pocił się, dręczony egoistycznym niepokojem. Przestał cokolwiek widzieć – nawet rysujące się w mroku sylwetki mebli – i cokolwiek słyszeć – nawet łomot przejeżdżających ciężarówek; był teraz formą życia świadomą jedynie piekającej gorączki na skórze i potu, który wydobywał się z głębi ciała. Leżąc bez ruchu nie przestawał wydzielać zielono-śmierdzącej cieczy, jak gąsienica spryskana środkiem owadobójczym.

Wiem, że lekarz i pielęgniarki dają dziecku po dziesięć litrów pełnego mleka na godzinę...

Zbliżał się ranek, ale nawet rano Ptak nie byłby w stanie przyznać się przed Himiko do swojej haniebnej paranoi; tej paranoi,

którą przepowiedziała jej przyjaciółka starając się go poniżyć. Może nic Himiko nie mówić, ale prawdopodobnie kiedy męka oczekiwania na telefon przerośnie jego siły, pójdzie do szpitala i sprawdzi, co się dzieje. Niebo pobladło, a telefon nie zadzwonił. A potem świt minął i przez szparę między zasłonami wdarło się światło poranka, a on w dalszym ciągu siedział po szyję w kadzi smoły, którą był ten jego niepokój, nie śpiąc, pocąc się, z uszami wypełnionymi dzwonieniem urojonego telefonu.

Skwaszeni, w milczeniu, ocierając się o siebie ramionami, lekarz i Ptak patrzyli przez szklane przepierzenie, jakby się przyglądali ośmiornicy w wielkim akwarium. Dziecko Ptaka zostało wyjęte z inkubatora i leżało swobodnie w normalnym łóżeczku. Mogło równie dobrze wrócić właśnie z oddziału chirurgicznego po operacji zajęczej wargi; nic tajemniczego nie wskazywało na to, że podjęto w stosunku do niego jakieś specjalne środki. Jaskrawoczerwone jak ugotowana krewetka, nie wyglądało Ptakowi na istotę bliską śmierci z wycieńczenia. Było nawet jakby trochę większe. I ta narośl też chyba urosła. Głowę miało znacznie odchyloną do tyłu, prawdopodobnie dla zrównoważenia ciężaru guza, i opuszkami dużych palców rozpaczliwie pocierało za uszami, być może usiłując podrapać się w narośl, ale pomarszczone rączki tam nie sięgały. Oczy miało tak mocno zaciśnięte, że pół twarzyczki było pofałdowane.

– Czy pan sądzi, że ten guz swędzi?

– Co takiego? – A następnie, kiedy dotarł do niego sens pytania, lekarz odparł: – Wie pan, że nie mam pojęcia. Ale skóra pod spodem jest tak zaczerwieniona i napięta, że mało nie trzaśnie; może swędzić. Wstrzyknęliśmy tam raz antybiotyk, ale teraz, jak odstawiliśmy wszystko, może w każdej chwili pęknąć, a wtedy wystąpiłyby zapewne kłopoty z oddychaniem.

Ptak popatrzył na lekarza i zaczął otwierać usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował i w milczeniu przełknął ślinę. Chciał się

upewnić, czy doktor nie zapomniał, że on, ojciec, pragnie śmierci dziecka. Jeśli tego nie zrobi, kopyta podejrzeń stratuja go jak ostatniej nocy. Ale zdobył się jedynie na przełknięcie śliny.

– Kryzys powinien nastąpić dziś albo jutro – powiedział doktor.

Ptak patrzył, jak dziecko trze głowę dużymi czerwonymi dłońmi uniesionymi za uszy. A uszy miało identyczne jak Ptak – zwinięte w rulonik.

– Doceniam pańskie dobre chęci – rzekł szeptem, jakby się bał, że dziecko usłyszy. Po czym szybko skłonił się lekarzowi i purpurowy na twarzy opuścił oddział.

W momencie kiedy zamknął za sobą drzwi, pożałował, że raz jeszcze nie wyraził wobec doktora swoich życzeń. Idąc korytarzem sięgnął rękami za uszy i mięsistymi opuszkami dużych palców zaczął pocierać miejsca tuż poniżej linii włosów. Stopniowo wygiął się do tyłu, jakby miał przytwierdzony do głowy jakiś ciężar. W sekundę później, zorientowawszy się, że naśladuje ruchy dziecka, zamarł i rozejrzał się nerwowo dokoła. Na zakręcie korytarza przed małą fontanną z pitną wodą stały dwie pacjentki z oddziału położniczego i tępo patrzyły w jego kierunku. Czując, jak się wszystko w nim wywraca, puścił się biegiem ku głównemu skrzydłu.

Ptak nadjeżdżał powoli, rozglądając się za miejscem do parkowania, kiedy dostrzegł go z restauracji kolega i wyszedł mu naprzeciw. Ptak zaparkował w końcu, spojrzął na zegarek. Spóźnił się pół godziny. Twarz kolegi, kiedy się zbliżył, była zapleśniała od zniecierpliwienia.

– To samochód przyjaciela – powiedział Ptak speszony, tonem wyjaśnienia. – Przepraszam, że się spóźniłem. Wszyscy są?

– Tylko ty i ja. Reszta poszła na ten wiec protestacyjny do parku Hibija.

– Aha. – Przypomniał sobie, jak to przy śniadaniu Himiko przeczytała w gazecie o tej bombie i jak on nie odczuwał

najmniejszego zainteresowania tym problemem. Akurat teraz moim największym zmartwieniem jest moja sprawa osobista, dziecko-potworek, odwróciłem się tyłem do całej otaczającej mnie rzeczywistości. Inni mogą sobie uczestniczyć w losach świata przez swój udział w wiecach protestacyjnych; do nich nie przysłało się jak pijawka dziecko z naroślą na głowie.

– Inni nie chcą być zamieszani w sprawę pana Delczewa i dlatego poszli na wiec do parku. – Kolega spojrzął na Ptaka zirytowany, jak gdyby go drażniło, że tak po prostu przyjął fakt nieobecności tamtych. – Nikt spośród kilku tysięcy osób protestujących na deptaku w parku Hibija nie narazi się osobiście!

Ptak pomyślał kolejno o wszystkich członkach swojej grupy. Nie da się ukryć, że zaangażowanie się w sprawę Delczewa mogło oznaczać poważne kłopoty dla każdego z nich. Kilku pracowało w największych firmach eksportowych, część w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, pozostali wykładali na uniwersytetach. Gdyby wokół Delczewa wybuchł skandal i sprawa trafiła do gazet, z pewnością znaleźliby się w tarapatach. Żaden z nich nie był w tak dogodnej sytuacji jak Ptak: nauczyciel na kursach przygotowawczych na wyższe uczelnie, tuż przed wylaniem z pracy.

– Co zrobimy? – zagadnął Ptak.

– Nic nie możemy zrobić. Wydaje mi się, że nie pozostaje nam nic innego, jak odmówić konsulatu pomocy.

– Ty też zdecydowanie nie chcesz mieszać się w tę sprawę? – zapytał Ptak z czystego zainteresowania, bez żadnych ukrytych celów, a mimo to oczy tamtego poczerwieniały i spojrzął na niego spode łba, jakby poczuł się obrażony. Ptak ze zdumieniem stwierdził, że oczekiwano po nim natychmiastowej zgody na odrzucenie prośby konsulatu.

– Ale spójrz na to z punktu widzenia Delczewa – zaproponował delikatnie. Kolega pogrzył się w gniewnym milczeniu. – Wyperswadowanie mu tego przez nas może być jego ostatnią szansą. Przecież powiedzieli, że jak nam się nie powiedzie, zwrócą się o

pomoc do policji. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy z czystym sumieniem mogli im odmówić!

– Owszem, jeżeli pan Delczew da sobie wyperswadować, to pięknie! Ale jeżeli nie i jeżeli wybuchnie skandal, zostaniemy zamieszani w aferę międzynarodową! – Unikając jego wzroku kolega mówił z oczyma utkwionymi w wypatroszoną owcę stanowiącą pokrycie siedzenia MG. – W tej sytuacji mieszanie się w sprawę pana Delczewa wydaje mi się po prostu nierozsądne.

Ptak czuł, jak kolega błaga go, żeby się zgodził bez dalszej dyskusji, i to błaganie było aż smutne w swojej oczywistości. Ale groźne słowa, jak skandal i afery międzynarodowa, nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Nawet teraz absorbował go całkowicie jedynie skandal nienormalnego dziecka, a aferę rodzinną, którą to wywołało, przeżywał znacznie silniej niż jakąkolwiek aferę międzynarodową. Niestraszne mu były pułapki, od których, jak sądził, musiało się roić wokół osoby pana Delczewa. Po raz pierwszy, odkąd zaczęły się kłopoty z dzieckiem, zauważył, że odcinek życia zawarty między jednym a drugim dniem pozostawiał mu znacznie większy niż zwykle margines działania. Ubawiła go nawet ironia tej refleksji.

– Jeżeli zdecydujesz się odmówić konsulatowi w imieniu grupy, spotkam się z Delczewem na własną rękę. Byłem z nim dość blisko i nawet jeśli sprawa nabierze rozgłosu i zostanie zamieszany w skandal, to mi to specjalnie nie zaszkodzi.

Ptak szukał czegoś, co by mu wypełniło dwa najbliższe dni – nowy okres zawieszenia, który mu zapewnił lekarz. A poza tym, mówiąc szczerze, ciekaw był życia pana Delczewa w odosobnieniu.

W momencie gdy tylko zadeklarował swoją pomoc, kolega zrobił się słodki jak miód; zmiana nastroju była tak 'błyskawiczna, że aż wprowadziła Ptaka w zakłopotanie.

– Jeżeli uważasz, że tak powinieneś postąpić, to twoja sprawa! Ja nie widzę innej możliwości – powiedział kolega z namiętnym przekonaniem. – Mówiąc prawdę, miałem nadzieję, że się tego

podejmiesz. Inni zaczęli trząść portkami, jak tylko usłyszeli o Delczewie, a ty przyjąłeś wiadomość z nadzwyczajnym spokojem i opanowaniem. Podziwiałem cię!

Ptak uśmiechnął się ironicznie, nie chcąc obrazić tak nagle wymownego kolegi. Obecnie, tam gdzie nie wchodziło w grę dziecko, jego spokój i opanowanie nie miały granic. Ale to jeszcze nie powód, pomyślał z goryczą, żeby miliony mieszkańców Tokio, bez zaciśniętej na szyi pętli w postaci takiego potworka, mu zazdrościły.

– Wiesz, co ci powiem – zaproponował skwapliwie kolega – zapraszam cię na obiad. Ale najpierw napijmy się piwa.

Ptak skinął głową i wrócili do restauracji. Kiedy już siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku i zamówili piwo, ożywiony kolega zapytał:

– Ptak, czy jak studiowaliśmy razem, to też miałeś ten zwyczaj pocierania się za uszami opuszkami dużych palców?

Wcisnąwszy się w wąziutką, podobną do szczeliny uliczkę pomiędzy koreańską restauracją a barem, Ptak zastanawiał się, czy ten labirynt nie ma jakiegoś ukrytego wyjścia. Według planu, który mu narysował kolega, dostał się w ślepej uliczce jedyną możliwą drogą. Zaulek miał kształt żołądka, ale żołądka z obstrukcją dwunastnicy. Jak człowiek wiodący życie zbiega nie bał się zagrzebać w miejscu tak zamkniętym? Czyżby czuł się tak zaszczuty, że żadna inna kryjówka nie wydawała mu się dostatecznie pewna? A może już go tu nie ma? – pocieszał się tą myślą Ptak, kiedy nagle znalazł się przed kamienicą czynszową na końcu uliczki. Zatrzymał się u wejścia do czegoś, co mogło być ukrytą ścieżką wiodącą do górskiej fortecy, i otarł twarz z potu. Sama uliczka wydawała się dość cienista, ale kiedy spojrzął w niebo, stwierdził, że wściekły południowy upał wisi nad nią jak siatka z rozgrzanej do białości platyny. Z twarzą w dalszym oiągu uniesioną ku rozmigotanemu niebu, zamknął oczy i potarł kciukami swędzącą głowę. Nagle

opuścił ręce jak porażony i gwałtownym ruchem poderwał głowę; gdzieś w oddali wrzasnęła jak opętana jakaś dziewczyna.

Trzymając buty w ręce wspiał się na kilka zapiaszczonych schodków i wszedł do domu. Po lewej stronie korytarza widniały gęsto, jedne obok drugich, drzwi – jak w więzieniu. Po prawej pusta, obdrapana ściana. Ptak zapuścił się w głąb korytarza sprawdzając numery mieszkań. Za każdymi drzwiami wyczuwał obecność ludzi, ale wszystkie były pozamykane. Jak wobec tego lokatorzy chronią się przed upałem? Czyżby Himiko była prekursorem nowej rasy, która gwałtownie pienią się w mieście – ludzi siedzących w zamknięciu nawet w samo południe? Dotarł do końca korytarza, gdzie odkrył kilka stromych, wąskich schodków, ukrytych jak wewnętrzna kieszeń. Kiedy się odwrócił, stwierdził, że w wejściu stoi i przygląda mu się duża, zwalista kobieta. Była w cieniu; zresztą i tak w korytarzu panował mrok, ponieważ zasłoniła sobą całe wpadające z ulicy światło.

– Czego pan tam szuka? – zawołała i zrobiła taki ruch, jakby chciała wypłoszyć psa.

– Przyszedłem odwiedzić przyjaciela, cudzoziemca – wyjaśnił Ptak drżącym głosem.

– Amerykanin?

– On tutaj miesza z młodą japońską dziewczyną.

– Trzeba było mówić od razu! Pierwsze drzwi na drugim piętrze.
– Z tymi słowy kobieta oddaliła się rączo. Zakładając, że „Amerykaninem” był Delczew, nie należało się dziwić, że znalazł u olbrzymki względy. Ptak, wspinając się na nie wykończone drewniane schody, w dalszym ciągu żywił wątpliwości. Ale kiedy wydostał się na maleńki podest, natknął się na Delczewa, który stał ze zdumieniem w oczach i wyciągniętymi w powitalnym geście rękami. Ptak poczuł przypływ radości: Delczew był jedynym lokatorem w całym domu, który miał dość zdrowego rozsądku, by w obronie przed upałem otwierać drzwi.

Oparł pantofle o ścianę w korytarzu i uściskał rękę gospodarza, który się do niego uśmiechał. Jak maratończyk, Delczew miał na sobie tylko niebieskie szorty i podkoszulek; rude włosy ostrzygł krótko, ale zapuścił krzaczaste, niezaskakująco rudawe wąsy. Nic nie wskazywało na to, że jest zbiegiem – poza zdumiewająco intensywnym zapachem, jaki od niego bił; zapachem godnym potężnej bestii, mimo że Delczew był drobnej budowy. Prawdopodobnie od momentu kiedy się tu zaszyl, nie miał okazji się wykapać.

Kiedy wymienili pozdrowienia, obaj w kiepskiej angielszczyźnie, gospodarz wyjaśnił, że jego przyjaciółka poszła się uczesać, a następnie zaprosił Ptaka do środka, ale gość wskazując na wyłożoną matami podłogę wymówił się brudnymi nogami. Wolał powiedzieć to, co miał do powiedzenia, na schodach; bał się, że utknie u Delczewa.

Widać było, że w mieszkaniu nie ma żadnych mebli. W głębi Ptak dostrzegł otwarte okno, zabezpieczone groźnym drewnianym płotkiem, w odległości dwudziestu centymetrów od szyby. Zapewne po drugiej stronie płotka działy się różne osobiste sprawy innych ludzi, nie przeznaczone dla oka pana Delczewa.

– Pański konsulat życzy sobie, żeby pan wracał natychmiast – powiedział Ptak przystępując od razu do rzeczy.

– Nie wrócę, bo moja dziewczyna chce, żebym z nią został – uśmiechnął się Delczew. Ubóstwo i prymitywizm ich angielszczyzny upodobniły ten dialog do gry towarzyskiej, dopuszczając zarazem dość bezceremonialną szczerłość.

– Ja jestem ostatnim wysłannikiem. Po mnie przyjdzie już ktoś z samego konsulatu albo nawet japońska policja.

– Myślę, że policja nic tu nie wskóra. Proszę pamiętać, że jestem dyplomatą.

– Być może. Ale jeżeli przyjdą z konsulatu i pana zabiorą, to odeślą pana do kraju.

– Owszem, jestem na to przygotowany. Ponieważ sprawiłem kłopot, wyznaczą mi inne, mniej ważne stanowisko albo w ogóle wyrzucą z dyplomacji.

– Wobec tego, zanim wybuchnie skandal, lepiej wrócić do konsulatu.

– Nie, nie wrócę. Moja przyjaciółka chce, żebym z nią został – odparł Delczew z rozbrajającym uśmiechem.

– To znaczy, że pan się tu ukrywa nie z powodów politycznych, tylko uczuciowych? Ze względu na swoją przyjaciółkę?

– Oczywiście.

– Pan jest dziwnym człowiekiem.

– Dziwnym? Dlaczego?

– Przecież pańska przyjaciółka nie mówi po angielsku, prawda?

– Rozumiemy się doskonale bez słów.

W Ptaku zaczynały pęcznić cebulki nieznośnego smutku.

– W takim razie powtórzę to, ale zaraz zjawią się ludzie z konsulatu i pana zabiorą.

– Skoro zostanę zabrany wbrew mojej woli, nic na to nie poradzę. Myślę, że moja przyjaciółka to zrozumie.

Ptak słabo potrząsnął głową, przyznając się do porażki. Na miedzianych włoskach wokół wąsów Delczewa lśnił pot. Po chwili Ptak spostrzegł, że migotliwe paciorki potu drżą na włoskach porastających całe jego ciało.

– Powiem im, co pan czuje – powiedział i schylił się po buty.

– Ptak, czy pańskie dziecko już się urodziło?

-- Tak, ale jest nienormalne i czekam właśnie, aż umrze. – Ptak nie potrafiłby wytłumaczyć, co go skłoniło do tego wyznania. – Dziecko ma przepuklinę mózgową, i to w tak strasznym stopniu, że wygląda, jakby miało dwie głowy.

– To dlaczego pan czeka, żeby umarło, skoro potrzebna mu jest operacja? – Uśmiech znikł z twarzy Delczewa i wyraz męskiej odwagi zaostrzył jego rysy.

– Nie ma nawet jednej szansy na sto, że po operacji będzie się rozwijało normalnie – powiedział Ptak speszony.

– Wie pan, Kafka napisał w liście do swojego ojca, że jedyną rzeczą, którą rodzice mogą zrobić dla dziecka, to powitać je, kiedy przychodzi na świat. A pan go nie chce przyjąć? Czy fakt, że się jest ojcem, usprawiedliwia aż taki egoizm, żeby odmówić drugiemu życiu prawa do istnienia?

Ptak milczał, oczy i policzki pały mu od nagłego uderzenia krwi, co ostatnio często mu się zdarzało. Pan Delczew przestał być ekscentrycznym cudzoziemcem z rudym wąsem, który mimo bardzo trudnego położenia nie stracił panowania nad sobą i humoru. Ptak poczuł się tak jakby niespodziewanie dosięgła go kula potępienia z ręki snajpera. Chciał się zebrać w sobie i zaprotestować ze wszelką cenę, ale tylko zwiesił głowę, świadomy, że nie ma temu człowiekowi nic do powiedzenia.

– Biedactwo! – rzekł Delczew szeptem. Ptak wzdrygnął się, ale spojrzawszy na niego stwierdził, że cudzoziemiec nie mówi o dziecku, tylko o nim. W milczeniu czekał, aż gospodarz pozwoli mu odejść.

Kiedy wreszcie mógł się pożegnać, Delczew dał mu w prezencie mały angielski słownik swojego języka. Ptak poprosił go o autograf. Delczew napisał jedno słowo w ojczystym bałkańskim języku, złożył pod nim podpis i wyjaśnił:

– W moim kraju to słowo znaczy „nadzieja”.

W najwęższym miejscu uliczki Ptak natknął się na małą japońską dziewczynę. Czując zapach świeżo uczesanych u fryzjera włosów i widząc niezdrową białość szyi, gdy dziewczyna przeciskała się obok niego ze spuszczoną głową zrezygnował z rozmowy z nią. Znalazłszy się w oślepiającym blasku słońca, zlany strugami potu,

puścił się pędem jakby go ktoś gonił, do samochodu. W tej najgorętszej godzinie dnia chyba on jeden w całym mieście biegł.

XI

Obudziwszy się w niedzielę rano, całkiem nieoczekiwanie stwierdził, że sypialnia tonie w powodzi światła i świeżego powietrza. Szeroko otwarte okno wpuszczało powiew wiatru, który omiatając pokój wpadał do przedsionka. Z saloniku dochodziło buczenie odkurzacza. Przyzwyczajony do panującego tu zwykle mroku, poczuł się zażenowany swoją nagością przykrytą jedynie prześcieradłem. Spiesznie, zanim Himiko zdąży wpaść i go zaczepić, włożył spodnie i koszulę i poszedł do saloniku.

– Jak się masz – powitała go ochoczo. Z głową owiazaną ręcznikiem, dzierżyła rurę odkurzacza, jakby to był kij, którym zamierzała zathuc umykającą mysz. Zarumieniona twarz, którą ku niemu zwróciła, odzyskała swój młodzieńczy wygląd.

– Odwiedził mnie mój teść, ale poszedł się przejść, dopóki nie skończę sprzątanania.

– To ja lepiej pójdę.

– Dlaczego miałbyś uciekać, Ptak? – rzekła urażonym tonem.

– Czuję się ostatnio jak wygnaniec; po prostu dziwnie spotykać obcych ludzi, jak się żyje w ukryciu.

– Mój teść wie, że u mnie często zostają na noc mężczyźni, i nigdy mi tego nie bierze za złe. Ale byłoby mu chyba przykro, gdyby się przekonał, że któryś z moich przyjaciół ucieka chyłkiem z jego powodu. – Twarz Himiko była w dalszym ciągu surowa.

– W porządku. Wobec tego się ogolę. – Wrócił do sypialni. Wstrząsnęła nim demonstracja urazy ze strony przyjaciółki.

Stwierdził, że odkąd sprowadził się do jej domu, tak wyłącznie zajmował się sobą, że ją traktował jako jedną z komórek w organizmie swojej świadomości. Na jakiej podstawie był tak pewny swoich absolutnych praw? Stał się poczwarką zamkniętą w kokonie swojej osobistej tragedii, nie widzącą nic poza jego wewnętrznymi ściankami, ani przez moment nie wątpiąca we własne prerogatywy...

Skończył się golić i spojrzał w zaparowane lustro na bladą, poważną twarz poczwarki. Stwierdził, że robi wrażenie zasuszonej, ale nie tylko dlatego, że schudł.

– Odkąd zwałem ci się z tym wszystkim na kark, zachowuję się jak skończony egoista – rzucił. – Uwierzyłem nawet, że to jedyny możliwy sposób postępowania.

– Usprawiedliwiasz się? – spytała prowokacyjnie Himiko. Jej twarz znów była samą łagodnością.

– Śpię w twoim łóżku, jem to, co mi ugotujesz, i jeszcze do tego każę ci nosić moje jarzmo. Nie mam prawa do żadnej z tych rzeczy, a mimo to czuję się tu jak u siebie w domu.

– Ptak, czy masz zamiar odejść? – spytała niepewnie.

Spojrzał na dziewczyną i uderzyło go coś w rodzaju przeczucia: już nigdy w życiu nie spotka osoby, która by mu odpowiadała w takim stopniu jak Himiko. Poczul ostry smak żalu na języku.

– Nawet jeśli w końcu odejdziesz, to jeszcze jakiś czas zostań, dobrze?

Poszedł do sypialni, położył się na wznak, z rękami pod głową, i zamknął oczy. Chciał spędzić chwilę sam na sam ze swoją wdzięcznością.

Później siedzieli we trójkę przy stole w sprzątniętym saloniku i rozmawiali o przywódcach nowych afrykańskich państw i o gramatyce języka suahili. Himiko zdjęła ze ściany mapę Afryki i rozłożyła ją, żeby pokazać teściowi.

– A dlaczego nie wyberzecie się z Himi do Afryki? – zapytał obcesowo starszy pan. – Gdybyście sprzedali ten dom i plac, mielibyście dość pieniędzy.

– Niezły pomysł. – Himiko spojrzała na Ptaka, jak gdyby ciekawa jego reakcji. – Zapomniałbyś przynajmniej o swoim nieszczęściu. A ja bym zapomniała o samobójstwie męża.

– Właśnie, a to jest takie ważne! – oświadczył teść. – Dlaczego nie mielibyście się po prostu spakować i wyjechać do Afryki?

Brutalność tej propozycji tak wstrząsnęła Ptakiem, że z miejsca popadł w panikę.

– Nie mógłbym tego zrobić... po prostu bym nie mógł... – powiedział z bezradnym westchnieniem.

– Dlaczego niby nie? – zaatakowała go Himiko.

– To by było zbyt wygodne: tak sobie podróżując po Afryce zwyczajnie zapomnieć, że z twego dziecka uszło życie. Ja... – zająknął się Ptak, czerwony po uszy – ja bym tak nie mógł!

– Ptak to niesłychanie uczciwy młody człowiek – powiedziała Himiko ironicznie.

Jego rumieniec pociemniał i Ptak nadał swojej twarzy wyraz wyrzutu. W gruncie rzeczy pomyślał, że gdyby teść Himilko zrobił tę propozycję pod moralnym pretekstem uwolnienia dziewczyny od widma jej zmarłego z pewnością stopniałby jak kostka bulionu zalana wrzątkiem i ochoczo ruszył w tę podróż rozkosznego samozałgania. Bał się, że starszy pan coś takiego powie, a jednocześnie pragnął to usłyszeć; i w tym haniebnym pragnieniu rad by się zapaść pod ziemię. W chwilę później dostrzegł w oczach Himiko biały błysk przebudzenia.

– Za jakiś tydzień Ptak wraca do żony.

– Ach, ja nie wiedziałem... – rzekł mężczyzna. – Za-proponowałem tę podróż, bo po oraz pierwszy od śmierci mojego

syna widzę Himi taką ożywioną. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe.

Ptak popatrzył na niego w osłupieniu. Teść Himiko miał niewielką głowę, całkowicie łysą, i nie bardzo było wiadomo, w którym miejscu się ona kończy, ponieważ opalona skóra z tyłu czaszki przechodziła od razu w szyję, a z szyi w ramiona. Głowa ta z parą lekko zamglonych, spokojnych oczu przywodziła na myśl lwa morskiego. Ptak usiłował rozszyfrować tego człowieka, ale mu się nie udało. Wobec tego zachowując ostrożne milczenie uśmiechał się tylko blado, by ukryć niegodne rozczarowanie, które stopniowo przesunęło się od piersi ku górze, aż stanęło mu kołkiem w gardle.

Późno w nocy, leniwie zmieniając pozycje, tak by ograniczyć do minimum ucisk jednego ciała na drugie, Ptak i Himiko kochali się w wilgotnej ciemności przez nieprzerwaną godzinę. Robili to w milczeniu, jak kopulujące zwierzęta. Co jakiś czas dziewczyna osiągała orgazm – początkowo bardzo często, a potem po coraz dłuższych przerwach ociężałego omdlenia. Za każdym razem Ptakowi przypominało się, jak to w dzieciństwie puszczał wieczorami na boisku szkolnym modele samolotów. Zataczając dokoła osi jego ciała coraz szersze kręgi Himiko szybowała w przestworzach swoich orgazmów, drżąc i pojękując jak przeciążony zbyt potężnym silnikiem model samolotu. A potem schodziła do lądowania, gdzie czekał na nią Ptak, i wszystko powtarzało się od początku, w milczącym zapamiętaniu. Odnaleźli w tym stosunku poczucie codziennego spokoju i porządku; Ptakowi wydawało się, że różnie tę dziewczynę od stuleci. Jej organy płciowe były teraz nieskomplikowane i bezpieczne, nie czaiły się w nich nawet zalążki najbardziej nieokreślonych lęków. Nie było w nich nic tajemniczego; pochwa Himiko stała się czymś bezgranicznie banalnym, kieszonką z syntetycznego kauczuku, gdzie nie czyhała na niego żadna potworna wiedźma. Czuł dogłębny spokój, ponieważ Himiko wyraźnie i bez żadnych zastrzeżeń potrafiła ograniczyć sprawy seksu między nimi do czystej przyjemności. Pamiętał, jak to było z żoną:

ich skrepowanie i bezustanną świadomość niebezpieczeństwa. Nawet teraz, po latach, przy każdym stosunku grzęzli na tych samych ponurych psychologicznych mieliznach co dawniej. Nogi i ręce Ptaka, długie, niezdarne, potraçały ciało żony, obumarłe i sztywne w zmaganiu z obrzydzeniem; za każdym razem niezmiennie odnosiła wrażenie, że chciał ją uderzyć, i rozdrażniona usiłowała mu nieraz oddać. Kończyło się dla niego zawsze tą samą alternatywą: mógł albo dać się wciągnąć w bezsensowną kłótnię i wycofać, długo jeszcze w nocy walcząc z nie zaspokojoną, rozbudzoną żądzą, albo uwieńczyć akt płciowy pospiesznym finałem, któremu z reguły towarzyszyło koszmarne uczucie, że żona robi to z litości. Całą nadzieję na zasadnicze zmiany w tej sprawie wiązał z urodzeniem dziecka i tym, co będzie później...

Przemierzając swoje prywatne przestworza, Himiko rytmicznie, ruchem przypominającym dojenie, ścisnęła w dłoni jego członka i Ptak mógł wybrać najzarliwszy z jej orgazmów jako moment własnego spełnienia. Ale lęk przed długą nocą, jaka nastąpi po zakończonym stosunku, stale go hamował. Marzył idiotycznie o najbardziej cukierkowym ze wszystkich snów – który by go zmorzył w połowie łagodnego stoku wiodącego na szczyt orgazmu.

Himiko jednak nie kończyła swego lotu, co jakiś czas łagodnie schodząc w dół, by znów wystrzelić w niebo jak poderwany nagłym podmuchem wiatru. I właśnie podczas jednego z tych pozornych lądowań powstrzymujący się starannie Ptak usłyszał telefon. Usiłował się podnieść, lecz Himiko objęła go mokrymi od potu ramionami.

– Idź – powiedziała po chwili zwalniając uścisk.

Skoczył do telefonu, który w dalszym ciągu dzwonił w saloniku. Młody męski głos zapytał o ojca dziecka leżącego na specjalnym oddziale dziecięcym w klinice uniwersyteckiej. Ptak zeszywniał i odpowiedział głosem piskliwym jak brzęczenie komara. Rozmawiał z nim internista na polecenie lekarza prowadzącego.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale mieliśmy tu pełne ręce roboty – słyhać było z oddali. – Polecono mi poprosić, żeby pan się zgłosił jutro o jedenastej rano na oddziale neurochirurgii w gabinecie zastępcy dyrektora. Doktor sam miał do pana zadzwonić, ale był wykończony. Mieliśmy do późna urwanie głowy!

Ptak nabrał tchu i pomyślał: „Dziecko umarło i zastępca dyrektora chce robić sekcję.”

– Rozumiem. Będę o jedenastej. Dziękuję.

Dziecko umarło z wycieńczenia! – powiedział sobie jeszcze raz, odkładając słuchawkę. Ale cóż to musiała być za śmierć, skoro lekarz jest wykończony? Czuł, jak gorycz żółci podjeżdża mu do gardła. Coś ogromnego i potwornego zaglądało mu w twarz z ciemności. Jak entomolog uwięziony w jaskini pełnej skorpionów, Ptak ostrożnie, drżąc ma całym ciele, wycofał się do sypialni. Łóżko – bezpieczny matecznik; stojąc w milczeniu, nie przestawał dygotać. A potem, jak gdyby pragnął głębiej zaszyć się w czeluści owego matecznika, spróbował wejść w Himiko. Rozpaczliwie ponawiając nieudane próby, w niepełnej erekcji, zdołał w końcu z jej pomocą włożyć członka. Wkrótce jego podniecenie wywołało u Himiko oddźwięk: namiętne ruchy ciała, które wieńczy zwykle moment wspólnego spełnienia. I wtedy właśnie Ptak wycofał się niezręcznie, kończąc w samotności gwałtownym wytryskiem onanisty. Świadom bolesnego łomotania w klatce piersiowej, opadł bezwładnie u boku dziewczyny i bez żadnego wyraźnego powodu pomyślał, że umrze kiedyś na atak serca.

– Wiesz co, Ptak, ty naprawdę potrafisz być potworem – powiedziała Himiko, nie tyle tonem wyrzutu, co ubolewania, i popatrzyła na niego w ciemności pytająco.

– Przepraszam cię bardzo.

– Dziecko?

– Tak, ale zdaje się, że przedtem dało im się dobrze we znaki – odparł Ptak, którego znów ogarnęło przerażenie.

– A co mówiłeś o zastępcy dyrektora?

– Chca, żebym się do niego rano zgłosił.

– Powinieneś wziąć proszki nasenne i popić whisky, skoro już nie musisz czekać na telefon. – Głos Himiko był bezgranicznie łagodny.

Kiedy zapaliła nocną lampkę i wyszła do kuchni, zamknął oczy i przysłonił je obydwoma rękami – kładąc jedną na drugiej. Usiłował rozgryźć problem, który jak pojedyncza ostra pestka wypełniał jego pusty mózg: dlaczego umierające dziecko trzymało lekarza do późnej nocy na nogach? Ale natychmiast przyszyła mu do głowy myśl, która od nowa wzbudziła w nim strach, więc cofnął się z szybkością strzały. Ostrożnie uchylając powieki, wziął z ręki Himiko szklanekę w jednej trzeciej napełnioną whisky i porcję tabletek nasennych znacznie większą, niż wynosiła zalecona dawka, połknął to wszystko naraz i z powrotem zamknął oczy.

– To było dla nas obojga – powiedziała Himiko.

– Ach, przepraszam – powtórzył Ptak głupio.

– Ptak? – Himiko położyła się koło niego zachowując pewien oficjalny dystans.

– Słucham.

– Dopóki whisky i proszki nie zaczną działać, opowiem ci pewną historię, będzie to fragment, tej afrykańskiej książki. Czytałeś ten rozdział o demonach-piratach?

W ciemności potrząsnął głową.

– Kiedy u kobiety następuje poczęcie, demony-piraci wybierają jednego spośród siebie, żeby się wśliznął do jej domu. W nocy ów przedstawiciel demonów wypędza prawdziwy płód i sam zajmuje jego miejsce w łonie matki. Kiedy przychodzi dzień rozwiązania, rodzi się demon w postaci niewinnego dziecka...

Ptak słuchał w milczeniu. Takie niemowlę wkrótce zapadało nieodwołalnie na jakąś chorobę. Kiedy matka składała ofiary, by

wyprosić dla niego zdrowie, demony ukrywały po cichu te ofiary w tajemnym schowku. Nie słyszano, żeby takie dziecko kiedykolwiek wydobrzało. Po śmierci maleństwa, w dniu pogrzebu, demon przybierał swoją właściwą postać i wracał z cmentarza do swojej siedziby unosząc ze sobą wszystkie ofiary zabrane uprzednio z tajnego schowka...

– ... z zaczarowanego embriona rodzi się z reguły bardzo piękne dziecko, tak że zakochana matka nie waha się złożyć w ofierze wszystko, co ma. Afrykanie nazywają je „zrodzone dla śmierci”, ale czy to nie cudowne – wyobrazić sobie, jak śliczne muszą być takie dzieci, nawet Pigmejów!

Powinien opowiedzieć tę historię żonie. Bo skoro nasze dziecko zostało zrodzone dla śmierci, o ile to się w ogóle zdarza, wyobraziłaby je sobie jako niezwykle urodziwe; może nawet ja mógłbym skorygować jego obraz we własnej pamięci. Byłoby to moje największe w życiu oszustwo. Mój mały potworek umarł bez żadnej operacji swojej ohydnej podwójnej głowy i pozostanie dwugłowym potworkiem nawet po śmierci, na całą wieczność. A jeśli istnieje jakaś potężna istota, która tą wiecznością rządzi, to musi przecież widzieć dwugłowe dziecko i jego ojca. Czując, jak wszystko mu się bełta w żołądku, zapadł nagle w sen niby walący się z nieba samolot – w sen hermetycznie zamknięty, jak puszka, przed jakimkolwiek światłem sennych majaczeń. Ale w ostatnim przebłysku świadomości usłyszał jeszcze szept swego bóstwa opiekuńczego:

– Ptak, ty naprawdę potrafisz być potworem.

Wygiął się do tyłu, jakby mu coś ciążyło u głowy, i unosząc ręce, by opuszkami kciuków pogmerać za uszami, wpakował Himiko łokieć do ust. Oczyma pełnymi łez bólu patrzyła w ciemności na nienaturalnie wykręcone ciało swojego śpiącego przyjaciela. Zastanawiała się, czy Ptak nie zrozumiał opacznie telefonu ze szpitala. Dziecko prawdopodobnie wcale nie umarło; może po prostu chcieli go zawiadomić, że przywrócili normalną dietę i że jest na drodze do wyzdrowienia? I czy przypadkiem nie wzywają go do szpitala, żeby z nim omówić sprawę operacji? Śpiący u jej boku

Ptak, niewygodnie wygięty, jak orangutan w klatce, z oddechem śmierdzącym whisky, wydał się Himiko jednocześnie śmieszny i pożałowania godny. Ale ten sen będzie mu krótkim wytchnieniem przed jutrzejszym piekłem. Wstała z łóżka i pociągnęła go za ręce i nogi; pod magicznym działaniem snu stał się ciężki jak olbrzym, ale ciało nie stawiało oporu. Kiedy leżał już prosto, wygodnie, Himiko owinęła się w prześcieradło na wzór greckich mędrców i wyszła do saloniku. Miała zamiar aż do świtu studiować mapy Afryki.

Zdając sobie nagle sprawę ze swojej pomyłki, Ptak zaczerwienił się ze złości, jakby z niego okrutnie zakpiono. Wszedł właśnie do gabinetu zastępcy dyrektora i zastał tam kilku młodych lekarzy, włącznie z prowadzącym jego dziecko pediatrą, i starszego profesora, z wyrazem dobrotliwej wyższości na twarzy – Ptak stwierdziwszy swój błąd stanął jak wryty tuż przy drzwiach. Po chwili usiadł na krześle wykładanym żółtą skórą, w samym środku półkola lekarzy. Czuł się jak skazaniec [przyłapany na źle zaplanowanej ucieczce z niewoli małego potworka i przy wleczony z powrotem przed strażników więziennych. A ci strażnicy! Czyż dwuznaczny nocny telefon nie był specjalnie przez nich zastawioną pułapką, by mogli z wysokości swojej wieży obserwacyjnej cieszyć wzrok jego ucieczką i klęską?

Gdy milczenie Ptaka się przedłużało, pediatra przedstawił go:

– Ten pan jest ojcem dziecka – po czym uśmiechnął się z zażenowaniem i wycofał na pozycje obserwatora. Profesor neurochirurg musiał w czasie obchodu zrobić jakąś uwagę na temat niedożywienia dziecka i młody lekarz pewnie Ptaka zdradził. Niech go diabli wezmą! – pomyślał Ptak patrząc spode łba na pediatrę.

– Badałem pańskie dziecko wczoraj i dzisiaj; myślę, że będziemy mogli je operować, jak się tylko trochę wzmocni – rzekł neurochirurg.

Nie poddawaj się! – nakazał sobie Ptak, nim zdażyła go ogarnąć panika. – Nie wolno ci ustępować tym skurwysynom, broń się przed

potworem. Od momentu kiedy stwierdził swą optymistyczną pomyłkę, bez przerwy uciekał; teraz mógł myśleć tylko o tym, żeby się od czasu do czasu odwrócić i bronić. Nie mogę się zgodzić na operację, w przeciwnym razie dziecko wkroczy w moje życie jak armia okupacyjna.

– Czy istnieje jakaś szansa, że ono po operacji będzie się normalnie rozwijało? – zapytał machinalnie.

– Nie jestem w stanie nic panu obiecać.

Ptak z wściekłością zmrużył oczy, jakby chciał powiedzieć, że nie pozwoli robić z siebie idioty. W polu jego świadomości ukazało się ogniste koło wstydu. Jak tresowany tygrys w cyrku, sprężył się do skoku, by je przesadzić.

– Co jest bardziej prawdopodobne: czy to, że dziecko będzie normalne, czy nie?

– Na to też nie mogę dać panu definitywnej odpowiedzi, dopóki go nie zoperujemy.

Nie czerwieniąc się nawet Ptak sforsował ognisty pierścień wstydu.

– To wobec tego wolę, żeby państwo nie operowali.

Lekarze patrzyli na Ptaka, jakby ich nagle zatkało. A on poczuł się zdolny do wypowiedzania pełnym głosem najbardziej bezwstydnym deklaratorem. Szczęśliwie jednak, zanim zdążył skorzystać ze swojej bezczelnej swobody, neurochirurg poprosił go o jaśniejsze sprecyzowanie stanowiska.

– Czy wobec tego zabiera pan dziecko ze szpitala? – zapytał szybko, z wyraźną złością.

– Owszem, zabieram. – Ptak też mówił szybko.

– W takim razie nie chcielibyśmy pana zatrzymywać. – Najbardziej ludzki lekarz, jakiego spotkał w tym szpitalu, nie ukrywał swojego niesmaku.

Ptak podniósł się, a zaraz po nim wstali lekarze. Gwizdek na koniec meczu – pomyślał. – Odparłem potwora.

– Czy pan rzeczywiście zamierza zabrać dziecko ze szpitala? – zapytał z wahaniem młody pediatra, kiedy wyszli na korytarz.

– Przyjdę po nie dziś po południu.

– Niech pan nie zapomni przynieść jakichś ubranek. – Wzrok lekarza ześliznął się z twarzy Ptaka i doktor oddalił się korytarzem.

Ptak pospieszył na plac przed szpitalem. Prawdopodobnie z powodu zachmurzenia zarówno Himiko w swoich przeciwsłonecznych okularach, jak i samochód miały brzydki spłowiały wygląd.

– To była pomyłka, wygłupiłem się – rzekł z szyderczym grymasem na twarzy.

– Bałam się tego.

– Dlaczego? – Jego głos zabrzmiał dziko.

– Bez żadnych szczególnych powodów... – wyjąkała potulnie.

– Postanowiłem zabrać dziecko ze szpitala.

– Dokąd? Do innego szpitala? Do siebie do mieszkania?

Ptak natychmiast popadł w konsternację. Nie zastanowił się nawet, co zrobi dalej, po prostu był to rozpaczliwy akt obrony przed lekarzami, którzy chcieli sobie eksperymentować na jego dziecku i do końca życia obarczyć go ciężarem potworka z pustą czeluścią zamiast mózgu. Tamten szpital w żadnym wypadku nie przyjmie „rzeczy”, której już raz zdołał się pozbyć, a jeśli Ptak zabierze dziecko do siebie do mieszkania, będzie się musiał narazić na życzliwą ciekawość gospodyni. Powiedzmy, że trzymając je we własnej sypialni będzie kontynuował głodową dietę, którą jeszcze do wczoraj stosował szpital – ale przecież dwugłowe monstrum wykrzyczy swój głód na całe sąsiedztwo i może jeszcze miejscowe psy wesprą je swoim wyciem. A jeśli po kilku dniach tego kwilenia umrze – który lekarz wystawi akt zgonu? Ptak wyobraził sobie, jak go aresztują

pod zarzutem dzieciobójstwa, i widział już makabryczne notatki w prasie.

– Masz rację; nie mam dokąd go zabrać. – Ptak oklapł gwałtownie, wydzielając z oddechem kwaśny odór.

– Jeśli nie masz żadnego planu, Ptak...

– To co?

– Zastanawiałam się, czy nie powierzyć tej sprawy pewnemu lekarzowi. Jestem przekonana, że on nie odmówi pomocy komuś, kto chce się pozbyć dziecka; robił mi kiedyś skrobankę.

Ptaka znów ogarnęła panika żołnierza, który myśli tylko o ratowaniu własnej skóry, kiedy jego oddział został zdziesiątkowany przez atak dziecka-potworka. Zbladł i przesadził następny ognisty pierścień.

– Dobrze, jeśli lekarz się zgodzi.

– Oczywiście... prosząc go o tego rodzaju pomoc... – w głosie Himiko zabrzmiało nienaturalnie zmęczenie – skalamy sobie ręce zbrodnią...

– Nie skalamy. To ja sobie skalam ręce morderstwem dziecka. – Chociaż jedno kłamstwo mniej, pomyślał. Nie przyniosło mu to zresztą żadnej ulgi, przypominało raczej schodzenie do lochu – po prostu jeden krok w dół.

– Skalamy oboje, zobaczysz. Możesz teraz poprowadzić?

Ptak stwierdził, że szczególny ton głosu Himiko był wynikiem skrajnego napięcia. Obszedł samochód z przodu i zajął miejsce kierowcy. W lusterku zobaczył, że jej twarz jest zielona, w plamy, jakby ktoś dokoła ust upudrował ją białym proszkiem. Jego twarz musiała wyglądać tak samo okropnie. Usiłował splunąć, ale miał tak sucho w ustach, że wyszło mu tylko coś w rodzaju cichego mlaśnięcia językiem. Wyjechał na ulicę z brutalnym impetem, którego się nauczył od Himiko.

– Ptak, lekarz, o którym mówiłam, to jest ten facet w średnim wieku z jajowatą głową, który mnie wołał pod oknem tamtej pierwszej nocy, kiedy u mnie zostałeś. Pamiętasz go?

– Pamiętam – powiedział myśląc jednocześnie: był przecież czas, kiedy wydawało się zupełnie możliwe, że nigdy w życiu nie będę miał kontaktów z człowiekiem tego pokroju.

– Jak już do niego zadzwonimy, zastanowimy się, co nam będzie potrzebne do odebrania dziecka.

– Lekarz przypomniał mi o ubrankach.

– Podjedziemy do ciebie. Wiesz chyba, gdzie jest wyprawka.

– Wolałbym nie! – Z przytłaczającą ostrością Ptak przypomniał sobie codzienne gorączkowe przygotowania na przyjście dziecka. Teraz poczuł się odepchnięty przez wszystkie dziecięce akcesoria: białą kołyskę, kremową szafeczkę z rączkami w kształcie jabłek, wszystko.

– Ja nie mogę brać stamtąd rzeczy dla dziecka...

– Nie, rzeczywiście, żona by ci nigdy nie wybaczyła, gdyby się dowiedziała, do jakich celów ich użyłeś.

Właśnie – pomyślał. Ale nie potrzebował brać niczego z mieszkania; wystarczyłoby, gdyby się dowiedziała, że dziecko zmarło wkrótce po przeniesieniu do innego szpitala. Teraz, kiedy decyzja została już podjęta, przedłużanie ich pożycia małżeńskiego przez omotywanie żony mgłą różnorodnych wątpliwości nie będzie dalej możliwe. Teraz nie miał już na to żadnego wpływu, niezależnie od tego, jaką męczeńską walkę wyda wewnętrznemu świerzbieniu samooszukiwania. Wgryzł się już w inną rzeczywistość w cukierkowej otoczce kłamstwa.

Kiedy podjechali do dużego skrzyżowania – z jedną z wielkich autostrad okrążających ogromne miasto – zatrzymały ich światła. Ptak spojrzał niecierpliwie w stronę, w którą chciał skręcić. Ciężkie od chmur niebo wisiało tuż nad ziemią. Dmuchał w górę wiatr, brzemienisty w deszcz, i zasyczał wysoko w gałęziach zakurzonych

drzew rosnących wzdłuż ulicy. Zielone, po zmianie, światło odcinało się ostro na tle chmurnego nieba. Ptak miał uczucie, że przyciąga go fizycznie. Fakt, że chroni go ten sam znak co ludzi, którzy nigdy w życiu nie myśleli nawet o zbrodni, naruszał jego poczucie sprawiedliwości.

– Skąd chcesz dzwonić? – zapytał. Czuł się jak uciekający przed prawem kryminalista.

– Z najbliższego sklepu spożywczego. Potem możemy sobie kupić parówek i zrobić coś do jedzenia.

– Dobrze – powiedział potulnie, mimo że czuł gdzieś w żołądku rodzący się bunt. – Czy myślisz, że ten twój znajomy zgodzi się pomóc?

– On tylko przez tę jajowatą głowę ma taki dobrotliwy wygląd, ale to jest facet, który robił naprawdę okropne rzeczy. Na przykład...
– Himiko dziwnie zamilkła i oblizała usta ruchliwym czubkiem języka. Aha, więc jajogłowy wyprawiał tak potworne rzeczy, że nie miała odwagi nawet o tym mówić. Ptakowi zrobiło się niedobrze, nie ma mowy o żadnych parówkach. Wykluczone.

– Po tym telefonie – powiedział – zamiast się martwić o parówki, powinniśmy kupić jakieś ubranka dla dziecka. I kołyskę. Myślę, że najszybciej załatwimy to w domu towarowym. Nie powiem, żeby te sprawunki były dla mnie specjalnie przyjemne.

– Ja kupię, co trzeba. Ty możesz zaczekać w samochodzie.

– Jak tylko moja żona zaszła w ciążę, chodziliśmy razem do sklepów i te zakupy w tłumie przyszłych matek i skrzeczących dzieciaków wspominam jak koszmar, było coś zwierzęcego w tej atmosferze.

Ptak spojrział na Himiko i zobaczył, że i ona zbieła na twarzy, jej też musiało się zrobić niedobrze. Jechali we dwójkę, bladzi, milczący. Kiedy wreszcie Ptak przemówił, widać było, że odczuwa potrzebę zadawania sobie bólu.

– Kiedy już dziecko umrze i moja żona wyzdrowieje, z pewnością weźmiemy rozwód. I wtedy będę naprawdę wolnym człowiekiem, zwłaszcza że wyrzucili mnie z pracy. Właśnie o czymś takim marzyłem przecież od lat. Ciekawe, że nie sprawia mi to teraz szczególnej radości.

Wiatr przybrał na sile i wiał w kierunku Himiko, więc musiała podnieść głos, żeby ją Ptak usłyszał. Zabrzmiało to niemal jak krzyk:

– Ptak, a jak już będziesz wolnym człowiekiem, to czy nie moglibyśmy sprzedać domu, tak jak radził mój teść, i wyjechać razem do Afryki?

W takiej sytuacji myśleć o Afryce! Jedyna Afryka, jaką mógł sobie teraz wyobrazić, była opustoszała, bezbarwna. Po raz pierwszy od czasu kiedy jeszcze jako chłopiec zapłonał do niej namiętnością, Afryka straciła dla niego cały swój blask. Wolny człowiek samotny pośród szarej Sahary. Zamordował dziecko na wyspie, która jak ważka zawisała na sto czterdziestym wschodnim południku. A potem uciekł tutaj; przewędrował całą Afrykę, ale nie zdołał schwytać nawet jednej ryjówki, nie mówiąc już o groźnym guźcu! I teraz stał bezsensownie pośród piasków Sahary.

– Do Afryki? – powtórzył drętwo.

– Cofasz się jak ślimak do skorupy, Ptak, ale gdy tylko postawisz nogę na afrykańskiej ziemi, zobaczysz, odżyje w tobie cała namiętność.

Ptak milczał.

– Wiesz, te twoje mapy mnie zafascynowały. Chciałabym, żebyś się rozwiódł i żebyśmy pojechali razem do Afryki, gdzie by nam posłużyły jako prawdziwe mapy drogowe. W nocy, jak już zasnęłaś, studiowałam je godzinami i chyba też połknęłam bakcyła. W związku z tym sprawa twojej wolności nabrała dla mnie zasadniczego znaczenia. Potrzebny mi jesteś jako człowiek wolny. Zaprzeczyłaś, kiedy powiedziałam, że skalamy oboje ręce zbrodnią, ale nie miałaś racji. Bo to my oboje skalamy sobie ręce. Ptak, powiedz, że pojedziemy razem do Afryki!

Jak gdyby z najwyższym trudem spluwał flegmą, rzekł:

– Jeśli sobie tego życzysz.

– Z początku nasz związek miał charakter wyłącznie seksualny, stanowiłam dla ciebie seksualną ucieczkę od niepokoju i wstydu. Ale dzisiejszej nocy przekonałam się, że i we mnie obudziła się tęsknota za Afryką. A to oznacza nową więź między nami. Teraz mapy Afryki są czymś w rodzaju łączącego nas ogniwa. Z nizin czysto seksualnych wznieśliśmy się na wyżyny; cały czas zresztą miałam nadzieję, że tak się stanie, a teraz czuję to naprawdę, tę samą pasję! I dlatego skontaktuję cię z tym moim znajomym lekarzem i razem z tobą ubrudzę sobie ręce!

Niska przednia szyba pokryła się jak gdyby pajęczą siecią pęknięć, gdy rozprysł się na niej biały, drobny jak mgła deszcz. W tej samej chwili Ptak i Himiko poczuli deszcz na czołach i oczach. Całe niebo pociemniało, jakby nagle zapadł zmrok, i zerwał się kaśliwy wichur.

– Czy masz budę w tym samochodzie? – zapytał Ptak idiotycznie żalobnym tonem. – Bo przecież dziecko zmoknie.

XII

Zanim skończył podnosić czarną budę kabrioletu, wiatr miotający się po uliczce jak spłoszone kurczę śmierdział już parówkami i smażonym czosnkiem. Należy obsmażyć na maśle cienko pokrojony czosnek, wrzucić do tego parówki i dolać odrobinę wody – był to przepis pana Delczewa. Ptak ciekaw był, co się z nim stało. Do tej pory już go na pewno zabrali od tej małej, bladej japońskiej dziewczyny i sprowadzili do konsulatu. Czy próbował czynnego oporu w ich wspólnej norze na końcu ślepej uliczki? Czy jego przyjaciółka protestowała po japońsku, w języku równie

niezrozumiałym dla niego, jak dla ludzi, którzy po niego przyszli? W końcu przecież musieli się jednak poddać.

Ptak patrzył na sportowy samochód. Z czarną budą nad czerwoną karoserią przywodził na myśl rozdartą krwawą ranę, okoloną strupami. Wzbudziło to w nim niesmak. Niebo było ciemne, atmosfera wilgotna, parna i naładowana; wiatr zawodził. Deszcz zawiśnie w powietrzu jak mgła, a potem wiatr go porwie gwałtownie i równie gwałtownie przyniesie z powrotem. Spojrzał do góry na drzewa falujące ponad dachami w obfitości listowia i stwierdził, że ulewa wymyśla je do ciemnej, ale naprawdę żywej zieleni. To właśnie zieleń go tak urzekała, jak zielone światło wtedy na skrzyżowaniu. Być może, zastanawiał się, ujrzy taką właśnie pulsującą zieleń, kiedy będzie leżał na łożu śmierci. Poczul się, jakby to jego, a nie dziecko, czekała śmierć z rąk podejrzanego specjalisty od skrobanek.

Pleciona kołyska i ubranka czekały na stopniach przed domem. Ptak wcisnął je za siedzenie kierowcy. Koszulka i skarpetki, wełniany kaftanik i śpioszki, nawet maleńka czapeczka. Wybranie tego wszystkiego zajęło Himiko tyle czasu! Czekał całą godzinę; zaczął już nawet podejrzewać, że go dziewczyna opuściła. Nie mógł pojąć, dlaczego włożyła tyle troski w kupowanie rzeczy dla dziecka, które miało wkrótce umrzeć; w pewnych sprawach trudno zrozumieć kobiety.

– Ptak, chodź już jeść – zawołała przez okno sypialni.

Zastał ją w kuchni, jak na stojąco jadła parówki. Spojrzał na patelnię i cofnął się z obrzydzeniem czując smród czosnku. Obrócił się ku Himiko, która obserwowała go z zainteresowaniem, i słabo potrząsnął głową.

– Jak nie masz apetytu, to weź prysznic. – Jej propozycja też zalatywała czosnkiem.

– Chyba tak zrobię – powiedział z ulgą; pot i kurz utworzyły skorupę na jego skórze.

Biorąc prysznic ostrożnie napiął mięśnie ramion. Zwykle gorący prysznic go podniecał, ale teraz czuł jedynie gwałtowne, bolesne bicie serca. W strugach gorącej wody zacisnął mocno oczy, odchylił głowę do tyłu, tym razem świadomie, i opuszkami kciuków zaczął pocierać miejsca za uszami. W chwilę później zjawiała się pod prysznicem Himiko w winylowym czepku w rzucik przypominający arbuzy. Stojąc obok niego mydliła całe ciało, więc Ptak szybko zaprzestał swojej zabawy i wyszedł z łazienki. Kiedy się wycierał, usłyszał na zewnątrz łomot, jakby coś dużego i ciężkiego upadło na ziemię. Podeszedł do okna w sypialni i zobaczył, jak czerwony sportowy samochód przechyla się gwałtownie niby tonący statek. Brakowało przedniej prawej opony! Ubrał się szybko nie zadając sobie trudu, żeby wytrzeć plecy, i poszedł obejrzeć samochód. Słyszał odgłos oddalających się uliczką kroków, ale zamiast puścić się w pogoń, oceniał straty. Opona znikła i prawe światło było strzaskane. Ktoś podlewarował MG, zdjął oponę, a następnie wskoczył na zderzak i tak gwałtownie spuścił samochód na ziemię, że od wstrząsu poszedł reflektor. Podnośnik leżał pod samochodem jak złamana ręka.

– Ktoś ukradł oponę! – zawołał Ptak do Himiko, która w dalszym ciągu stała pod prysznicem. – I stłukł przednie światło. Masz zapasowe koło?

– W komórce.

– Ale kto mógł ukraść jedną oponę?

– Pamiętasz tego chłopaka wtedy w nocy pod oknem, właściwie jeszcze dzieciaka... To jego sprawka. On się tu gdzieś w pobliżu ukrył z tą oponą i założy się, że nas obserwuje – krzyknęła w odpowiedzi Himiko, jak gdyby nic się nie stało. – Jeśli udamy, że nas to w ogóle nie obeszło, i demonstracyjnie stąd odjedziemy, to się na pewno popłacze w swojej kryjówce z upokorzenia. Spróbujmy tak zrobić.

– Pod warunkiem, że uda nam się uruchomić samochód. Zaraz spróbuję założyć zapasowe koło.

Zmienił koło, błocąc sobie przy tym i brudząc smarem całe ręce. Był jeszcze bardziej spocony niż przed wzięciem prysznicu. Kiedy skończył, ostrożnie zapalił silnik; wyglądało na to, że jest w porządku. Może wszystko się trochę opóźni, ale na pewno zdoła przed zmrokiem i światła nie będą im potrzebne. Chętnie wziąłby znów prysznic, ale Himiko czekała gotowa do wyjścia, poza tym był tak zdenerwowany, że sam nie zniósłby najmniejszej zwłoki. Wyszli, tak jak stali. Kiedy wyjeżdżali z uliczki, ktoś rzucał za nimi kamyczkami.

– Ale ty też chodź! – domagał się Ptak widząc, że Himiko nie wysiada z samochodu. Pospieszyli razem na oddział specjalny; Ptak niósł kołyskę, Himiko ubranka. Wyczuwał jakieś szczególne napięcie i rezerwę w spojrzeniach spotykanych po drodze pacjentów. Był to z pewnością wpływ deszczu, to siekącego w gwałtownych porywach wiatru, to znów umykającego nagle, jakby go ktoś gonił, i odległego, głuchego grzmotu. Idąc korytarzem i ściskając w ramionach kołyskę, szukał odpowiednich słów, by jakoś bezpiecznie zakomunikować pielęgniarce, że zabiera dziecko ze szpitala. Był coraz bardziej speszony, ale kiedy zjawił się na oddziale, wszyscy już o tym wiedzieli. Odczuł ulgę, mimo to jednak zachował kamienną twarz i patrzył w ziemię odpowiadając możliwie najkrócej i tylko na niezbędne pytania. Bał się stworzyć młodemu, ciekawym pielęgniarce okazję spytania, dlaczego zabiera dziecko bez operacji albo po prostu dokąd je zabiera.

– Pan będzie łaskaw wziąć tę kartę do rejestracji i uregulować rachunek – powiedziała pielęgniarka – a ja tymczasem poproszę lekarza dyżurnego.

Ptak wziął dużą kartę; była lubieżnie różowa.

– Przyniosłem ubranka dla dziecka.

– To dobrze, będą nam potrzebne, może je nawet zaraz wezmę.
– Kiedy mówiła, jej oczy wyrażały ostrą dezaprobatę. Ptak wręczył jej wszystko naraz. Pielęgniarka przejrzała ubranka jedno po drugim i zwróciła mu tylko czapkę. Zwinął ją w zakłopotaniu i wsadził do

kieszeni. Po czym zirytowany naskoczył na Hiimiko, która tego nie zauważyła.

– Co?

– Nic. Muszę iść na chwilę do rejestracji.

– Pójdę z tobą – powiedziała spieszenie, jakby w obawie, że ją tu zostawi. Przez cały czas rozmowy z pielęgniarkami oboje stali tak wykręceni, żeby niemowlęta po drugiej stronie szklanego przepierzenia ani na chwilę nie znalazły się w ich polu widzenia.

Dziewczyna w okienku wzięła od Ptaka różową kartę, poprosiła go o pieczętkę i powiedziała:

– O, widzę, że pan nas opuszcza, gratulacje!

Ptak ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając, skinął głową.

– Jak pan dał dziecku na imię? – ciągnęła.

– Jeszcze... jeszcześmy się nie zdecydowali.

– W tej chwili jest u nas zarejestrowane jako pański syn pierworodny, ale bardzo by nam ułatwiło, gdybyśmy mieli jego imię w aktach.

Imię! – zastanowił się Ptak. Ta myśl podobnie jak wtedy, w pokoju szpitalnym żony, wydała mu się głęboko niepokojąca. Daj potworowi imię, a od tej chwili stanie się bardziej ludzki, zacznie sobie rościć pretensje do człowieczeństwa. Różnica między śmiercią bezimiennego potworka i jego śmiercią po nadaniu mu imienia oznaczała dla Ptaka różnicę dotyczącą samej natury jego egzystencji.

– Wystarczyłoby nawet jakieś tymczasowe imię, jeśli pan nie jest zdecydowany – powiedziała uprzejmie dziewczyna, chociaż w jej głosie wyczuwało się naleganie.

– Co ci szkodzi dać mu imię? – wtrąciła się zniecierpliwiona Himiko.

– Nazwę go Kikuhiko – powiedział Ptak przypominając sobie słowa żony, a następnie pokazał dziewczynie, jakimi znakami ma to imię zapisać.

Po uregulowaniu rachunku dostał z powrotem prawie całą sumę, którą wpłacił tytułem kaucji. Dziecko karmione było jedynie rozrzedzonym mlekiem i słodzoną wodą i ponieważ wstrzymano nawet antybiotyki, jego pobyt w szpitalu skalkulował się niezwykle tanio.

Ptak i Himiko wrócili korytarzem na oddział specjalny.

– To są pieniądze pochodzące przede wszystkim z moich oszczędności na podróż do Afryki. W momencie kiedy zdecydowałem się zamordować dziecko i z tobą wyjechać, mam je z powrotem w kieszeni. – Ptak w zamęcie uczuć nie bardzo nawet wiedział, co chce przez to powiedzieć.

– Więc powinniśmy ich użyć właśnie do tych celów – powiedziała beztrąsko Himiko. A po chwili: – Ptak, to imię, Kikuhiko... wiesz co, znam taki wesoły lokalik dla panów. Nazywa się „Kikuhiko”, pisane tymi samymi znakami. Mama w tym lokalu ma na imię Kikuhiko.

– Ile ten facet może mieć lat?

– Z takimi to nigdy nie wiadomo; cztery, może pięć lat młodszy od ciebie.

– Założę się, że to ten sam Kikuhiko, którego kiedyś znałem. W czasie okupacji miał romans z oficerem amerykańskiego wywiadu i potem uciekł do Tokio.

– Co za zbieg okoliczności! A może byśmy tam potem poszli.

Potem, pomyślał Ptak, potem, jak już podrzucimy dziecko temu typowi spod ciemnej gwiazdy!

Przypomniawszy sobie, jak pewnej nocy w małym miasteczku opuścił swojego młodego przyjaciela Kikuhiko. A teraz dziecko, które miał opuścić, też nazwał Kikuhiko. Nawet sam akt nadania imienia

obwarowany był zdradliwymi pułapkami. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić i nie zmienić imienia, ale ten pomysł został natychmiast strawiony w kwasie rezygnacji. Pozostała mu jedynie chęć zadawania sobie bólu.

– Zgoda, przepijmy całą noc w wesołym lokaliku „Kikuhiko” – powiedział. – To będzie nasza stypa.

Syn Ptaka – Kikuhiko – został przeniesiony na drugą stronę szklanego przepierzenia i leżał w koszykowej kołysce w wełnianych dziecięcych ubrankach, które wybrała dla niego Himiko. Obok stał zakłopotany prowadzący pediatra. Ptak i Himiko patrzyli mu w oczy ponad kołyską. Himiko spuściła wzrok i Ptak czuł, jaki wstrząs stanowił dla niej widok dziecka. Było teraz dużo większe, miało otwarte oczy, które przypominały głębokie fałdy w purpurowej skórze, i spoglądało na nich z ukosa. Nawet narośl na głowie jak gdyby wydatnie urosła. Była czerwieńsza niż sama twarz, błyszcząca, nabrzmiała. Teraz, z otwartymi oczyma, dziecko przypominało sędziwych pustelników z obrazów nanga*, ale w dalszym ciągu nie miało w sobie nic ludzkiego. Być może dlatego, że czołowa część głowy, która powinna równoważyć narośl, była w dalszym ciągu okrutnie pomarszczona. Dziecko poruszało mocno zaciśniętymi piąstkami, jak gdyby chciało uciec z kołyski.

– Nie jest do ciebie podobne, Ptak – szepnęła Himiko chrapliwym, nieprzyjemnym głosem.

– Nie jest podobne do nikogo, w ogóle nie jest podobne do człowieka!

– Nie powiedziałbym tego – z lekkim wyrzutem zaprotestował lekarz.

Ptak rzucił okiem ku niemowlętom po drugiej stronie szklanej ścianki. W tej chwili wszystkie wiły się w swoich łóžeczkach w przyplwywie zbiorowego ożywienia. Ptak podejrzewał, że plotkują na temat swoich towarzyszy, którzy ich opuszczają. Ciekawe, co się

* Chiński styl malarstwa.

stało z „kieszonkowym” maleństwem z inkubatora o takim starczym, myślącym spojrzeniu? A co z ojcem tego dziecka bez wątroby? Czy przychodził tu jeszcze wyklócać się w swoich brązowych lumpach i szerokim skórzanym pasku?

– Czy wszystkie formalności zostały załatwione? – spytała pielęgniarka.

– Wszystkie.

– To już jest pan wolny.

– Czy pan z całą pewnością nic zmieni zdania? – Głos lekarza był zatroskany.

– Z całą pewnością – odparł Ptak nieugięcie. – Dziękuję za wszystko.

– Niech pan mi nie dziękuję, ja nic nie zrobiłem.

– Wobec tego do widzenia.

Doktor powiódł wzrokiem dokoła i jakby pożałował, że właśnie w tej chwili podniósł głos, powiedział tak cicho jak Ptak:

– Do widzenia, niech pan na siebie uważa.

Kiedy wychodzili, spacerujący po korytarzu pacjenci jak gdyby na dany sygnał zbliżyli się do dziecka. Ptak, patrząc ponuro spode łba, z nastawionymi łokciami, obronnym gestem, pochylony nad koszykiem, spieszył prosto przed siebie. Za nim podążała Himiko. Pacjenci, wystraszeni malującą się na jego twarzy wściekłością, pierzchali pod ściany mrocznego korytarza. W dalszym ciągu podejrzliwi, uśmiechali się jednak – prawdopodobnie pod adresem dziecka.

– Ptak – powiedziała Himiko oglądając się za siebie – ten lekarz czy któraś z pielęgniarek może zawiadomić policję.

– Tak, już zawiadamiają! – odparł z furją. – Pamiętaj, że sami maczali w tym morderstwie palce, dawali przecież dziecku rozcieńczone mleko i słodzoną wodę!

Zbliżali się właśnie do głównego wyjścia, u którego kłębił się tłum pacjentów leczących się ambulatoryjnie. Obronienie dziecka przed molochem ich ciekawości za pomocą jedynie własnych łokci wydało się tym razem Ptakowi niemożliwe. Czuł się jak samotny gracz w rugby biegnący z piłką do bramki obstawionej przez całą nieprzyjacielską drużynę. Zawahał się, przypomniawszy sobie nagle.

– W kieszeni spodni mam jego czapkę. Wyjmij ją i nakryj mu głowę.

Widział, jak ręka Himiko wykonująca jego polecenie drży. Rzucili się razem na gromadę obcych, którzy z bezczelnymi uśmiechami ustępowali im z drogi.

– Co za słodkie maleństwo! Jak aniołek! – szczebiotała jakaś starsza kobieta i chociaż Ptak odczuł to jak ukłucie okrutnego szyderstwa, nie zawahał się ani na chwilę i nawet nie unosząc głowy parł naprzód, dopóki nie wy dostał się z tłumem.

Na dworze znów padało, kolejna ulewa. Himiko z szybkością ślizgacza podjechała tyłem do miejsca, gdzie w gęstym deszczu czekał Ptak. Podał jej kołyskę, wsiadł do samochodu i z powrotem wziął kołyskę. Żeby mu nie spadła z kolan, musiał siedzieć sztywno, wyprostowany jak posąg faraona egipskiego.

– Wszystko w porządku?

– Aha.

Samochód wyrywał do przodu, jakby startował w wyścigach. Ptak uderzył się w ucho o metalowe żebrowanie dachu i syknął z bólu.

– Która godzina, Ptak?

Podtrzymując kołyskę jedynie prawą ręką, spojrzął na zegarek. Wskazówki zatrzymały się na bezsensownej godzinie; zegarek stał. Nosił go z przyzwyczajenia, ale od paru dni ani nie sprawdzał godziny, ani tym bardziej nie nastawiał go i nie nakręcał. Czuł się tak, jakby żył poza strefą czasu wyznaczającego spokojny rytm życia ludzi nie dotkniętych nieszczęściem posiadania dziecka-potworka.

– Mój zegarek stoi – powiedział.

Himiko wcisnęła klawisz radia. Dziennik: spiker komentował reperkusje wznowienia prób nuklearnych. Japońska Liga Antynuklearna nie wystąpiła z protestem. W łonie Ligi były jednak tarcia, co groziło bardzo poważnie tym, że następna światowa konferencja poświęcona sprawie zakazu używania broni jądrowej ugrzęźnie w beznadziejnym bagnie niezgody. Puszczono taśmę z nagrany protestem ofiar Hiroszimy przeciwko stanowisku Ligi. Czy istnieje bezpieczna broń atomowa? Cóż z tego, że przeprowadza się próby na ogromnych bezludnych obszarach – czy może istnieć jakakolwiek bomba wodorowa niegroźna dla człowieka czy zwierzęcia?

Himiko zmieniła stację. Muzyka rozrywkowa, tango – Ptak zresztą nie potrafiłby odróżnić jednego tanga od drugiego. Ta melodia wlokła się bez końca: Himiko wreszcie zgasła radio. Nie udało im się złapać sygnału czasu.

– Wygląda na to, Ptak, że Liga Antynuklearna zbłądziła się – powiedziała bez szczególnego zainteresowania.

– Rzeczywiście tak wygląda – odparł.

W świecie należącym do wszystkich innych ludzi płynął jedyny, wspólny całej ludzkości czas i czekające ją przeznaczenie, jedno jedyne i wspólne dla wszystkich, nabierało nieprzyjemnych kształtów. Ale Ptaka obchodziło wyłącznie dziecko w koszyku na kolanach, potwór, który miał we władaniu jego osobiste przeznaczenie.

– Ptak, czy myślisz, że są na świecie ludzie, którzy chcą wojny atomowej nie dlatego, że na produkcji broni nuklearnej zrobią karierę finansową czy, powiedzmy, polityczną, ale którzy po prostu tego chcą? To znaczy, tak jak większość bez żadnej wyraźnej przyczyny wierzy i ma nadzieję, że ta planeta nigdy nie zginie, na tej samej zasadzie są pewnie ludzie nikczemni, którzy bez żadnej wyraźnej, przynajmniej dla nich, przyczyny wierzą, że ludzkość musi ulec zagładzie. W północnej Europie żyją takie małe, podobne do

szczurów zwierzęta, lemingi, które od czasu do czasu popełniają zbiorowe samobójstwa. Zastanawiam się czasem, czy gdzieś na świecie nie ma takich ludzi-lemingów.

– Nikczemni ludzie-lemingi? ONZ powinna się natychmiast zająć opracowaniem programu ich ścigania.

Ptak, mimo że się zgadzał z Himiko, nie miał chęci brać udziału w krucjacie przeciwko nikczemnym ludziom-lemingom. Zwłaszcza że czuł w sobie obecność takiego nikczemnego leminga.

– Ale gorąco – powiedziała Himiko, jakby przez tę nagłą zmianę tematu chciała dać do zrozumienia, że ich dotychczasowa rozmowa nie interesowała jej specjalnie.

– Owszem, bardzo.

Ciepło silnika przenikające przez cienką blachę podłogi szło do góry, a ponieważ brezentowa buda zamknięta była szczelnie, poczuli się wkrótce jak uwięzieni w cieplarni. Ale gdyby spróbowali uchylić róg brezentu, z pewnością wiatr nawiałby deszczu do środka. Ptak ze smutkiem posprawdzał zamknięcia; była to bardzo staromodna buda.

– Nic się nie da zrobić. – Himiko dostrzegła jego rozpaczliwe usiłowania. – Po prostu musimy się od czasu do czasu zatrzymywać i otwierać drzwi.

Ptak zobaczył leżącego przed nimi na jezdni martwego wróbla, z piórkami zmoczonymi przez deszcz. Dziewczyna też go widziała. Samochód wyminął zdechłego ptaka i wkrótce po tym, jak stracili go z oczu, gwałtownie się przechylił wpadając jednym kołem w dziurę wypełnioną żółtą błotnistą wodą. Ptak wyrzwał obydwoma rękami w tablicę rozdzielczą, ale ani na chwilę nie puścił koszyka. Pomyślał smętnie: jak wreszcie dojedziemy do tego faceta, będę cały w siniakach.

– Przepraszam cię bardzo – powiedziała Himiko. Sama musiała się też uderzyć, słyhać to było w jej głosie. Oboje celowo unikali jakiegokolwiek wzmianki na temat zdechłego wróbla.

– Nic się nie stało. – Poprawiając sobie kołyskę na kolanach, Ptak po raz pierwszy, od chwili kiedy wsiadł do samochodu, spojrzął na dziecko. Jego twarzyczka pałała coraz bardziej, ale nie było dokładnie wiadomo, czy oddycha, czy nie. Dusi się! Zdjęty paniką potrząsnął koszykiem. Nagle, otwierając szeroko buzię, jakby chciało zatopić zęby w palcach Ptaka, dziecko zaczęło niewiarygodnie głośno płakać.

Łaaaa... łaaaa... łaaaa – zanosilo się, a z jego mocno zaciśniętych oczu, przypominających centymetrowej długości tkawki nici, spływały jedna po drugiej duże, przezroczyste łzy. Opanowując paniczny lęk Ptak zamierzał właśnie zatkać dłonią różowe usteczka dziecka, ale powstrzymał się, w momencie kiedy wezbrała w nim nowa fala strachu. Łaaaaaaaa... łaaaa... łaaaa – nie przestawało ryczeć dziecko. – Jaaaa... jaaaa... – wprawiając w drżenie czapeczkę w małe koziki, okrywającą narośl na jego główce.

– Tobie się zawsze wydaje, że ten jego płacz coś znaczy – powiedziała Himiko przekrzykując dziecko. – Z tego, co wiemy, może on zawierać znaczenie wszystkich istniejących ludzkich słów.

Dziecko zawodziło w dalszym ciągu: łaaaa... łaaaa... łaaaa...
ła...aaaaaa... jaaaaa.

– Całe szczęście, że nie potrafimy go zrozumieć – rzekł Ptak niepewnie.

Samochód mknął naprzód w rytm tego płaczu. Jakby wioził ładunek pięciu tysięcy grających świerszczy albo jakby Ptak i Himiko weszli w ciało jednego świerszcza i ćwierkali razem z nim. Wkrótce upał wzmógł się jeszcze i płacz dziecka zrobił się nie do zniesienia. Himiko zahamowała i otworzyli obie pary drzwi. Wilgotne, przegrzane powietrze uszło z samochodu gwałtownie, jakby człowiekowi choremu, z wysoką gorączką, odbiło się nagle. Do środka wtargnęło zimne powietrze, a wraz z nim deszcz. Skąpani w pocie Ptak i Himiko dygotali teraz z zimna. Odrobina deszczu zakradła się nawet do kołyski stojącej na kolanach Ptaka i małe, znacznie mniejsze od łez, kropelki wody osiadły na rozpalonych

policzkach dziecka, które zanosilo się teraz spazmatycznym płaczem – Łaaaa... aaaa.. laaauuu – od czasu do czasu przerywanym atakami kaszlu. Ten kaszel był jakiś dziwny: Ptak zastanawiał się, czy dziecko nie dostało jakiejś choroby dróg oddechowych. Przechylając kołyskę w przeciwną stronę niż drzwi, zdołał w końcu osłonić ją przed deszczem.

.– Ptak, to niebezpieczne wystawiać na zimno takie dziecko, które było dotychczas w inkubatorze. Może dostać zapalenia płuc!

– Wiem – powiedział ostatecznie, dogłębnie, zmęczony.

– Co robić?

– Nie mam pojęcia, co się robi, żeby dziecko przestało płakać! – Nigdy dotychczas nie czuł się tak niedoświadczony.

– Widziałem nieraz, jak w takiej sytuacji dają niemowlęciu pierś do ssania – powiedziała Himiko i jak gdyby zdjęta grozą, dodała spieszenie: – Trzeba było wziąć ze sobą trochę mleka.

– Rozcieńczanego wodą? Albo po prostu wody z cukrem? – To zmęczenie wyzwoliło z niego ten cynizm.

– Poczekaj, skoczę do drogerii. Może będą mieli jakieś takie urządzenie... nie wiem, jak to się nazywa... no, takie w kształcie sutki...

I Himiko dała nura w deszcz. Ptak niepewnie kołysząc koszykiem patrzył, jak jego kochanka biegnie w swoich płaskich pantoflach. Żadna japońska kobieta w jej wieku nie była lepiej wykształcona od Himiko, ale jej wykształcenie niszczało bezużytecznie, odłożone do lamusa; w praktycznej, życiowej wiedzy nie dorównywała nawet najprymitywniejszym kobietom. Prawdopodobnie nigdy nie będzie miała własnych dzieci. Stała mu przed oczyma Himiko z pierwszego roku studiów, najżywsza ze wszystkich dziewcząt w grupie, i poczuł litość dla tej Himiko, która skakała teraz przez błotniste kałuże jak niezdarny pies. Któż mógł przewidzieć taką przyszłość dla studentki tak pełnej młodzieńczej werwy i wiary i tak pedantycznej? Minęło ich z hukiem, jak stado

nosorożców, kilka dalekobieżnych wozów meblowych wprawiając w drżenie cały samochód, a wraz z nim Ptaka i dziecko. Ptakowi wydawało się, że w ryku przejeżdżających ciężarówek słyszy wołanie, natarczywe, ale niezrozumiałe. Musiało to być oczywiście złudzenie, ale przez chwilę nasłuchiwał pilnie.

Himiko brnąc z powrotem poddawała się zacinającym deszczem porywom wiatru; jej twarz, tak otwarcie niezadowolona, świadczyła o tym, że sama, po ciemku, mogła być wściekła. Już nie biegła: w każdym szczególe jej pełnej figury dostrzegał zmęczenie równe jego zmęczeniu. Ale kiedy dotarła do samochodu, powiedziała pogodnie, przekrzykując płaczące w dalszym ciągu dziecko:

– Oni nazywają te przyrządy do ssania smoczkami... zupełnie mi to wyleciało z głowy... kupiłam dwa rodzaje. Fakt, że udało jej się odgrzebać z niepamięci słowo „smoczek”, jak gdyby przywrócił jej poczucie pewności siebie. Ale gumowe żółte przedmioty, które leżały na dłoni Himiko jak wielkie, uskrzydłone nasiona klonu, nie robiły wrażenia czegoś, z czym mógłby sobie poradzić noworodek.

– Ten z tym niebieskim w środku jest dla ząbkujących, trochę starszych dzieci, ale ten drugi, miękki, powinien być taki, jak trzeba.
– Mówiąc to wetknęła smoczek w różową buzię płaczącego dziecka.

Po co kupowałaś smoczek dla ząbkujących dzieci? – chciał zapytać Ptak, ale zobaczył, że mały nie reaguje nawet na ten drugi, przeznaczony dla noworodków. Jedyne lekki ruch całej twarzyczki, jakby chciał wypchnąć smoczek językiem, świadczył o tym, że poczuł coś w buzi.

– Nie pomaga; dziecko jest chyba jeszcze za małe – powiedziała zawiedziona Himiko po kilku nieudanych próbach. Znow straciła pewność siebie.

Ptak powstrzymał się od krytycznych uwag.

– Ale ja nie znam żadnego innego sposobu.

– Wobec tego musimy jechać, ruszajmy – powiedział zamykając drzwi po swojej stronie.

– Na zegarze w drogerii była czwarta. Myślę, że około piątej będziemy w klinice. – Himiko zapaliła silnik z ponurą miną. Ona także zmierzała ku północnemu biegunowi niezadowolenia.

– Przecież nie może krzyczeć przez całą godzinę – powiedział Ptak.

Piąta trzydzieści: dziecko zasnęło zmęczone płaczem, a oni jeszcze nie dotarli do celu. Od pięćdziesięciu minut krążyli wokół tej samej niecki. Wjeżdżali na różne pagórki i zjeżdżali z nich, niezliczoną ilość razy przecinali krętą, mulistą rzekę, błądzili wśród ślepych uliczek po to, by za każdym razem wyjechać z niewłaściwej strony jednego ze stromych wzgórz wyrastających z doliny ku północy i południu. Himiko przypomniawszy sobie, jak trafiła prosto do drzwi wejściowych kliniki, i kiedy samochód wspiał się na szczyt wzgórza, potrafiła nawet z grubszą określić jej położenie. A potem znów zjechali w ruchliwą dolinę z labiryntem wąskich uliczek, niezdolni wskazać nawet właściwego kierunku. Kiedy wreszcie skręcili w ulicę, co do której Himiko była pewna, że ją pamięta, natknęli się na małą ciężarówkę, która w żaden sposób nie chciała ich przepuścić. Musieli się wycofać ze sto metrów i kiedy już przepuścili wóz i mieli wrócić, przekonali się, że skręcili nie w tym miejscu; następna ulica okazała się jednokierunkowa; powrót był niemożliwy.

Przez cały czas Ptak nie odezwał się słowem, Himiko też milczała. Oboje byli tak rozdrażnieni, że bali się cokolwiek powiedzieć, by się nawzajem nie dotknąć. Nawet uwaga tak niewinna, jak „wydaje mi się, że już dwukrotnie mijaliśmy tę przecnicę”, mogła otworzyć między nimi niebezpieczną, poszarpaną przepaść. I do tego jeszcze ciągle przejeżdżali koło tej samej budki policyjnej. Byli pewni, że zaraz za drzwiami prymitywnej drewnianej budki siedzi policjant, i za każdym razem, kiedy przejeżdżali obok z wizgiem opon, ogarniał ich coraz większy strach, że zwróci jego uwagę. Zapytanie policjanta o drogę do kliniki nie wchodziło w grę; bali się zaczepić choćby jednego z miejscowych chłopców na posyłki.

Sportowy samochód, a w nim ludzie wiozący dziecko z guzem na głowie i pytający o drogę do kliniki o wątpliwej reputacji – gdyby się taka plotka rozeszła, z pewnością narobiłaby im kłopotu. Nawet sam doktor posunął się do tego, że uprzedzał Himiko przez telefon, żeby nie zatrzymywali się nigdzie w pobliżu, nawet po papierosy. Krażyli więc dalej, bez końca, w tym samym miejscu. Stopniowo Ptak zaczął tracić poczucie rzeczywistości: a może będą tak jeździli przez całą noc i nigdy nie znajdą kliniki? Może klinika zajmująca się mordowaniem dzieci nigdy nie istniała? Ale ta obsesja nie była jedynym problemem Ptaka; ogarnęła go obezwładniająca senność. A jeśli zaśnie i kołyska zsunie mu się z kolan? To przecież błona okrywająca narośl na głowie dziecka – jeśli jest rzeczywiście oponą twardą kryjącą mózg – natychmiast pęknie. Dziecko zachłyśnie się błotnistą wodą przedostającą się do samochodu szczelinami między skrzynią biegów i hamulcem i odda ducha – ale to byłaby śmierć zbyt potworna. Ptak walczył z sennością. Mimo to jednak pograżył się na moment w cieniach nieświadomości, z których przywołał go dopiero pełen napięcia głos Himiko:

– Ptak, nie śpij, na miłość boską!

Koszyk zsuwał mu się już właśnie z kolan i Ptak, wzdrygnawszy się, chwycił go obydwoma rękami.

– Ptak, ja też jestem śpiąca, mam cały czas straszne uczucie, że mogę się na coś władować,

W dolinę zstąpił wieczorny zmierzch. Wiatr ucichł, ale deszcz padał tu w dalszym ciągu, zmieniając się w pewnym momencie w mgłę, która niebezpiecznie ograniczyła widoczność. Himiko zapaliła reflektory, ale świecił tylko jeden: skutki mściwości jej dziecinnej kochanki dały o sobie znać. Kiedy samochód znów zbliżył się do dwóch miłorzębów rosnących przed budką policyjną, funkcjonariusz, który wyglądał na młodego wieśniaka, wyszedł na ulicę i dał im znak, żeby się zatrzymali.

Zajrzał do samochodu i jego oczom ukazał się Ptak i Himiko, bladzi, przemoczeni, zaszargani – w stanie wysoce podejrzanym.

– Prawo jazdy, proszę! – Glina powiedział to takim tonem, jak najbardziej doświadczony policjant świata. W rzeczywistości był mniej więcej w wieku słuchaczy Ptaka z kursów przygotowawczych, ale wiedział doskonale, że jest panem sytuacji, co sprawiało mu ogromną przyjemność. – Już za pierwszym razem, jak tędy przejeżdżaliście, widziałem, że macie jedno światło nie w porządku. Specjalnie się wtedy odwróciłem, ale sami się prosicie, żeby was zatrzymać. Krążycie tu bez przerwy z tym jednym światłem i krążycie – to wam nie ujdzie na sucho. Narażacie nasz autorytet.

– Oczywiście – odparła bezbarwnie Himiko.

– A to dziecko czy co? – Jej zachowanie najwyraźniej uraziło policjanta. – Proszę zostawić tu samochód i iść dalej na piechotę.

Buzia dziecka była teraz groteskowo czerwona; oddychało nierówno, chrapliwie przez otwarte usta i nos. Na moment Ptak zapomniał o policjancie; zastanawiał się, czy dziecko nie dostało przypadkiem zapalenia płuc. Przestraszony, dotknął ręką jego czoła. Doznał szoku: było zbyt gorące jak na temperaturę ludzkiego ciała. Ptak mimo woli krzyknął.

– Co się stało?! – zapytał zaskoczony policjant, tym razem tonem stosownym do swego wieku.

– Dziecko jest chore – wyjaśniła Himiko. – Dlatego zdecydowaliśmy się wziąć samochód mimo uszkodzenia światła. – Ptak nie wiedział, co dziewczyna knuje, w każdym razie jedno było jasne: że zamierza wykorzystać konsternację policjanta. – Ale zabłądziliśmy i nie wiemy, co robić.

– A gdzie chcecie jechać? Jak się nazywa lekarz?

Z wahaniem Himiko podała nazwę kliniki. Chłopak poinformował ją, że klinika znajduje się na końcu małej uliczki na lewo od miejsca, w którym stali. Po czym dodał dla podkreślenia, że nie jest byle gliną i nie pozwoli sobie jeździć po głowie:

– Skoro to jest tak blisko, nic wam się nie stanie, jak dojdziecie na miejsce piechotą.

Himiko histerycznym ruchem wyciągnęła swoją długą rękę i zerwała dziecku z głowy wełnianą czapeczkę, zadając młodemu funkcjonariuszowi ostateczny cios.

– Trzeba mu w maksymalnym stopniu oszczędzać wstrząsów.

Himiko wygrała tę batalię. Ponuro, jak gdyby żałował, że ją w ogóle poprosił o prawo jazdy, policjant zwrócił jej dokument.

– Proszę dopilnować, żeby to światło jak najprędzej zostało naprawione – powiedział głupio, nie spuszczać oczu z głowy dziecka. – Ale... to naprawdę straszne! Czy to jest zapalenie opon mózgowych?

Skręcili we wskazaną ulicę. Kiedy parkowali przed kliniką, Himiko była już na tyle opanowana, że zauważyła:

– Nie zapisał sobie nawet numeru prawa jazdy ani mojego nazwiska, nic -- co za dureń!

Klinika robiła z zewnątrz wrażenie otynkowanego drewnianego budynku. Wnieśli dziecko do poczekalni. Nie było śladu ani pielęgniarek, ani pacjentów, ale na wołanie Himiko zjawił się natychmiast jajogłowy doktor. Tym razem nie miał na sobie lnianego smokinga, tylko koszmaryny wyplamiony fartuch.

Ignorując kompletnie Ptaka, beształ Himiko łagodnie i przez cały czas zaglądał do koszyka, jakby kupował makrelę od handlarza ryb:

– Spóźniłaś się, Himi. Już sobie pomyślałem, że ze mnie zażartowałaś.

Widok poczekalni wywołał w Ptaku przytłaczające wrażenie ruiny; poczuł się w najwyższym stopniu zagrożony.

– Mieliśmy kłopot z dostaniem się tutaj – powiedziała chłodno Himiko.

– Bałem się, że po drodze popełniliście coś okropnego. Są ludzie gotowi na wszystko, jak już się raz zdecydują. Wtedy nie ma dla nich różnicy: czy pozwolić dziecku umrzeć z wycieńczenia, czy

udusić na przykład... O Boże! – wykrzyknął podnosząc kołyskę – ten biedak ma jeszcze w dodatku zapalenie płuc!. – Jak i poprzednio, głos doktora był łagodny.

XIII

Zostawili samochód w warsztacie i taksówką pojechali do lokalu, który poleciła Himiko. Byli wyczerpani, udęczeni, niewyspani, ale czuli w ustach dziwną suchość tajemnego podniecenia, które nie pozwalało im wrócić samym do tego ponurego domu.

Zatrzymali taksówkę przed nędznym naśladownictwem lampy gazowej, ze słowem KIKUHIKO wypisanym niebieską farbą na szklanej kuli. Ptak pchnął drzwi, sklecone z kilku desek różnej długości, i wszedł do pomieszczenia tak prymitywnego i wąskiego jak komórka dla bydła; był w nim jedynie krótki kontuar i, pod przeciwległą ścianą, dwa komplety krzeseł w zagranicznym stylu, o wysokich oparciach. W lokalu nie było nikogo poza niedużym człowiekiem, który ze swego miejsca w kącie za kontuarem spojrzął na wchodzących. Był dziwnie pulchny, o dziewczęcych ustach i powłóczystym spojrzeniu zamglonych oczu, które badały ich ostrożnie, ale bynajmniej nie krytycznie. Ptak stojąc tuż przy drzwiach również mu się przyglądał. Stopniowo poprzez woal niewyraźnego uśmiechu mężczyzny przeniknęła twarz młodszego kolegi Ptaka, Kikuhiko.

– Proszę, kto by powiedział, że to Himi, i to w jakiej świetnej formie! – Mężczyzna mówił sznurując usta i jednocześnie nie spuszczał wzroku z Ptaka. – A tego faceta to ja znam... chociaż to już tyle lat... zaraz, czy nie nazywali go Ptak?

– Może byśmy usiedli – powiedziała Himiko. Dla niej scena spotkania była jedynie momentem odprężenia. Nie to, żeby widok

Kikuhiko wywarł na Ptaku jakieś szczególne wrażenie. Był zbyt wykończony, był śpiący: wiedział z całą pewnością, że nic nie jest w stanie go tak naprawdę zainteresować. Stwierdził, że siedzi w pewnym oddaleniu od Himiko.

– Jak teraz nazywają tego faceta, Himi?

– Ptak.

– Żartujesz. W dalszym ciągu? Przecież to już siedem lat. – Kikuhiko podszedł do Ptaka. – Co pijesz?

– Whisky, bez wody.

– A Himi?

– Też.

– Oboje wyglądacie na strasznie zmęczonych, a przecież jest jeszcze wczesnie...

– To nie ma nic wspólnego z łóżkiem, pół dnia spędziliśmy jeżdżąc w kółko samochodem.

Ptak sięgnął po napełnioną szklanekę whisky, ale czując, jak go coś ściska w piersi, zawahał się. Kikuhiko – nie może mieć w tej chwili więcej jak dwadzieścia dwa lata, a jednak wygląda bardziej dojrzałe niż ja; z drugiej strony zachował wiele z tego, czym był jako piętnastolatek. Kikuhiko – stworzenie ziemnowodne, zadomowione w dwóch różnych erach.

Kikuhiko też pił czystą whisky. Nalał sobie ponownie i napełnił szklaneczkę Himiko, która opróżniła ją jednym haustem. Ptak zdał sobie sprawę, że cały czas obserwuje właściciela lokalu i że Kikuhiko, którego każdy nerw napięty jest jak grzbiet zagrożonego kota, też na niego co chwilę spogląda. Wreszcie zwrócił się do Ptaka bez ogródek:

– Czy ty mnie pamiętasz, Ptak?

– Oczywiście. – Dziwne, ale bardziej był świadom tego, że rozmawia z właścicielem wesołego lokaliku dla panów (zdarzyło mu

się to po raz pierwszy) niż z dawnym kolegą, którego nie widział od lat.

– Wieki się nie widzieliśmy, Ptak... Od tego dnia, kiedy pojechaliśmy razem do tamtego miasta i zobaczyliśmy przez okno pociągu żołnierza amerykańskiego z dolną częścią twarzy zupełnie odstrzeloną.

– Co to było z tym żołnierzem amerykańskim? – zainteresowała się Himiko.

Kikuhiko wyjaśnił jej, cały czas bezczelnie obmacując Ptaka wzrokiem.

– To było w okresie wojny koreańskiej i tych wspaniałych chłopców, którzy oberwali na froncie, odsyłano z powrotem do baz w Japonii. Jechały całe transporty i właśnie pewnego dnia zobaczyliśmy taki pociąg. Czy myślisz, że oni tak przez cały czas przejeżdżali przez nasz okręg?

– Nie, przez cały czas nie.

– Pamiętasz, opowiadali różne historie o handlarzach niewolników: że łapią chłopców ze szkół średnich i sprzedają na front, mówili nawet, że rząd ma nas wysyłać do Korei, miałem wtedy straszego pietra.

Owszem! Kikuhiko był nie na żarty przerażony. Tego wieczoru, kiedy się pokłócili i rozstali, krzyknął przecież: „Ptak, ja się bałem!” Ptak pomyślał o swoim dziecku i uznał, że ono nie wie jeszcze, co to strach. Odczuł ulgę, podejrzaną i nietrwałą.

– Te pogłoski były oczywiście bez sensu – powiedział usiłując odwrócić swoją uwagę od dziecka.

– Tak mówisz, ale ja właśnie z ich powodu robiłem różne okropne rzeczy. Aha, właśnie, Ptak, czy znalazłeś w końcu tego wariata?

– Znalazłem, ale już nie żył; powiesił się na Wzgórzu Zamkowym, niepotrzebnie się tak zabijałem. – Ptak znów poczuł na

czubku języka cierpki smak żalu. – Znalazłem go o świcie, ja i psy. Zresztą nie ma o czym mówić!

– Ja bym tego nie powiedział. Ty wytrwale prowadziłeś poszukiwania aż do rana, a ja opuściłem ręce i uciekłem w środku nocy i od tamtej pory nasze losy potoczyły się zupełnie innymi torami. Ty przestałeś się zadawać ze mną i z takimi jak ja i wstąpiłeś na uniwersytet w Tokio, prawda? A ja staczałem się coraz niżej i teraz, popatrz, gdzie wylądowałem – w tym nędznym lokaliku... Ptak... gdybyś ty wtedy nie poszedł sam, może dziś byłoby ze mną zupełnie inaczej...

– To znaczy, że gdyby Ptak cię wtedy nie opuścił, nie zostałbyś homoseksualistą? – zapytała bezczelnie Himiko.

Ptak speszony odwrócił się.

– Homoseksualista to ktoś, kto wybrał miłość do przedstawiciela tej samej płci, a tę decyzję podjąłem sam. I sam za to odpowiadam. – Głos Kikuhiko był spokojny.

– Widzę, że czytywałeś egzystencjalistów – rzekła Himiko.

– Jak się prowadzi lokal tego rodzaju, trzeba wiedzieć, co jest grane! – wyśpiewał Kikuhiko z profesjonalną wprawą. A następnie zwrócił się do Ptaka i powiedział już normalnie: – Jestem przekonany, że kiedy ja się staczałem, ty szedłeś w górę. Co teraz robisz, Ptak?

– Uczyłem na kursach przygotowawczych na wyższe uczelnie, ale tak się złożyło, że mnie od wakacji wyrzucili, więc „szedłeś w górę” nie jest może najszcześniejszym sformułowaniem. To zresztą nie wszystko: w moim życiu jedno tragiczne nieporozumienie następowało po drugim.

– Rzeczywiście muszę przyznać, że dwudziestoletni Ptak, którego znałem, nigdy nie był taki przegrany. Robisz wrażenie, jakbyś się czegoś strasznie bał i koniecznie chciał od tego uciec. – Był to mądry, spostrzegawczy Kikuhiko, już nie zwykły pedał sprzed

kilku lat; życie staczającego się coraz niżej odszczepieńca musiało nie być łatwe ani proste.

– Masz rację – przyznał Ptak. – Jestem przegrany. Boję się i usiłuję uciec.

– Jak miał dwadzieścia lat, nie znał uczucia strachu, nigdy nie widziałem, żeby się czegoś bał – powiedział Kikuhiko do dziewczyny. A potem znowu zwrócił się prowokacyjnie do Ptaka: – Ale dzisiaj jesteś szczególnie podatny na strach; wyglądasz, jakbyś ze strachu zupełnie stracił głowę.

– Ja już nie mam dwudziestu lat – odparł Ptak.

Twarz Kikuhiko zastygła w wyrazie lodowatej obojętności.

– Tak, to już nie jest ten sam Ptak – powiedział i gwałtownie przysunął się do Himiko.

W chwilę później zajęli się grą w kości, pozostawiając Ptaka samemu sobie. Z ulgą podniósł do ust szklaneczkę whisky. Po siedmiu latach przerwy wystarczyło im siedem minut rozmowy, by wyczerpać wszystko, co mogło być przedmiotem ich wzajemnego zainteresowania. Już nie mam dwudziestu lat! I z tamtych czasów zdołałem zachować jedynie moje dziecinne przydomki – Ptak. Przełknął swoją pierwszą tego długiego, wlokącego się w nieskończoność dnia whisky. W chwilę później poruszyło się w nim leniwie coś wielkiego i cielesnego. Lekko, bez wysiłku, rzygnął whisky, którą wlał sobie właśnie do żołądka. Kikuhiko szybko starł kontuar i postawił przed nim szklanekę wody; Ptak patrzył w przestrzeń. Czego tak usiłuje bronić przed tym małym potworkiem, że aż musi rozpaczliwie i bezwstydnie uciekać? Co jest w nim samym takiego, co za wszelką cenę chce chronić? Odpowiedź była przerażająca – nic! Zero!

Zsunął się z wysokiego stołka i powoli dotknął stopami podłogi. Pytającej go wzrokiem Himiko, oklapłej ze zmęczenia i nagle pijanej, wyjaśnił:

– Zdecydowałem się zabrać dziecko z powrotem do kliniki uniwersyteckiej, niech je operują. Koniec, przestaję korzystać z pierwszej lepszej furtki! Przestaję uciekać!

– O czym ty mówisz? – rzekła podejrzliwie. – Ptak! Co się z tobą dzieje? Teraz zaczynasz mówić o operacji?!

– Od chwili kiedy moje dziecko przyszło na świat, stale uciekam – powiedział z przekonaniem.

– Ale przecież ty to dziecko mordujesz właśnie w tym momencie, kalając tą zbrodnią moje i swoje ręce. Jak możesz to nazywać ucieczką? A poza tym przecież jedziemy razem do Afryki!

– Zostawiłem dziecko u tego specjalisty od skrobanek i uciekłem, schroniłem się tutaj – powtórzył uparcie Ptak. – Uciekałem przez cały czas i uciekałem, a Afryka była dla mnie meta, przystankiem końcowym. I ty doskonale wiesz, że też uciekasz. Jeszcze jedna kabaretowa dziwka zbiegła z malwersantem.

– Jak to, przecież ja jestem twoją współpracowniczką, kalam swoje ręce na równi z tobą, Ptak. Nie mów, że ja uciekam! – Krzyk Himiko odbił się echem w jaskiniach jej hysterii.

– Czy już zapomniałaś, że prowadząc dziś samochód wolałaś wpaść kołem w dziurę niż przejechać zdechłego wróbla? Czy robi się coś takiego przed poderżnięciem gardła dziecku?

Duża twarz Himiko zaczerwieniła się, obrzmiała, aż wreszcie pociemniała z wściekłości i wzbierającej rozpacz. Spojrzała na Ptaka ponuro, drżąc ze złości: chciała go oskarżyć i nie mogła dobyć głosu.

– Jeśli chcę uczciwie stawić czoło temu potworkowi, zamiast przed nim uciekać, mam tylko jedną alternatywę: albo zadusić go na śmierć własnymi rękami, albo go przyjąć i wychować. Zdawałem sobie z tego sprawę od samego początku, tylko nie miałem odwagi się do tego przyznać.

– Ależ, Ptak – przerwała Himiko wymachując palcami, jakby mu groziła. – To dziecko ma zapalenie płuc! Jak będziesz je wiozł z

powrotem do szpitala, umrze ci po drodze w samochodzie. I co wtedy zrobisz? Pójdiesz do więzienia!

– To by oznaczało, że zabiłem dziecko moimi własnymi rękami. I że zasłużyłem na to, co mnie spotka. Myślę, że potrafię ponieść odpowiedzialność.

Ptak mówił spokojnie. Czuł, że omija teraz ostatnią pułapkę samozałgania i że w ten sposób odzyskuje wiarę w siebie.

Himiko patrzyła na niego ponuro oczyma pełnymi łez; widać było, że rozpaczliwie szuka jakiejś nowej broni psychologicznej, żeby go zaatakować, i skwapliwie uchwyciła się pierwszej lepszej.

– No więc powiedzmy, że każesz im operować dziecko i że uratują mu życie – co z tego? Sam mi powiedziałeś, że twój syn nigdy nie będzie niczym więcej niż rośliną! Czy nie widzisz tego, że nie tylko ściągasz nieszczęście na własną głowę, ale jeszcze podsycasz życie, które nie przyniesie światu absolutnie żadnego pożytku! I uważasz, że robisz to dla dobra dziecka? Naprawdę, Ptak?

– Robię to dla mojego własnego dobra. Żebym przestał bez przerwy uciekać – odparł.

Ale Himiko w dalszym ciągu nie chciała go zrozumieć. Patrzyła na niego z niedowierzaniem, wyzywająco, wreszcie uśmiechając się z trudem przez łzy powiedziała ironicznie:

– Więc masz zamiar gwałtem zmusić do życia dziecko o władzach umysłowych na poziomie rośliny! Czy to ma być twój nowy h u m a n i z m?

– Chcę jedynie przestać być człowiekiem, który stale ucieka od odpowiedzialności.

– Ale... Ptak... – szlochała Himiko – co z naszym postanowieniem, że pojedziemy razem do Afryki? Co z naszym postanowieniem?

– Na miłość boską, Himi, weź się w garść! Jak już Ptak zaczął się martwić o siebie, nie będzie cię słuchał, żebyś nie wiem jak głośno płakała.

W zamglonych oczach Kikuhiko zamigotało coś, co było bardzo bliskie nagiej nienawiści. Ale ta reprimenda dobrze zrobiła Himiko; znów stała się tą samą Himiko, która przed kilkoma dniami przygarneła stojącego pod jej drzwiami z butelką whisky Ptaka, dziewczyną już niemłoda, ale bezgranicznie wielkoduszną, czułą, spokojną Himiko.

– W porządku, Ptak. Nie musisz ze mną jechać. I tak sprzedam dom i plac i wybiorę się do Afryki. Wezmę ze sobą do towarzystwa tego chłopaka, który ukradł oponę. Jak się tak zastanowić, to właściwie byłam dla niego okropna. – Głos Himiko był w dalszym ciągu płaczliwy, ale nie ulegało wątpliwości, że nadciągająca burza hysterii została zażegnana.

– Z panną Himi będzie już wszystko dobrze – skomentował Kikuhiko.

– Dziękuję – powiedział po prostu Ptak adresując to w tym samym stopniu do jednego z nich, co i do drugiego.

– Czekają cię wszelkie możliwe rodzaje cierpienia – rzekła Himiko chcąc mu dodać otuchy. – Trzymaj się, Ptak. I uważaj na siebie!

Skinął głową i wyszedł z baru.

Taksówka pędziła mokrymi od deszczu ulicami z zawrotną szybkością. Jeżeli zginę teraz w wypadku, zanim zdążę uratować dziecko, całe dwadzieścia siedem lat mojego życia straci jakikolwiek sens. Ogarnęło go uczucie strachu, jakiego nie zaznał nigdy dotąd.

Jesień miała się ku końcowi. Kiedy Ptak pożegnał się z chirurgiem i zszedł na dół, przed wejściem na specjalny oddział dziecięcy powitali go uśmiechem teściowie; między nimi stała jego żona z dzieckiem na rękach.

– Gratulacje, Ptak – zawołał teść. – Jest bardzo do ciebie podobny!

– Owszem, trochę – odrzekł Ptak z rezerwą. W tydzień po operacji dziecko miało niemal ludzki wygląd; upłynął jeszcze tydzień i zaczęło zdradzać podobieństwo do Ptaka. – Ten rozstęp w czaszce miał zaledwie parę milimetrów i już się zasklepia. W domu wam pokażę, pożyczyłem zdjęcia rentgenowskie. Okazało się, że mózg wcale nie wydostawał się przez tę szczelinę; mimo wszystko to nie była przepuklina mózgowa, tylko guz niezłośliwy. W tej narośli, którą usunięto, tkwiły dwa twarde, białe jadra jak piłeczki pingpongowe.

– Mieliśmy jako rodzina wiele szczęścia – odezwał się teść, który tylko czekał, aż Ptak na chwilę przerwie.

– Ptak dał tyle krwi na te wszystkie transfuzje w czasie operacji, że jest teraz blady jak księżniczka po spotkaniu z Drakulą. – Była to rzadka próbka humoru ze strony gadatliwej teściowej. – Naprawdę, Ptak, byłeś niestrudzony i odważny jak młody lew.

Przestraszone nagłą zmianą otoczenia, dziecko leżało w milczącym bezruchu, obserwując dorosłych oczyma, które musiały być jeszcze prawie ślepe. Kobiety co chwila przystawały, zagadując do niego pieszczotliwie i cmokając, więc Ptak z profesorem, pogrążeni w rozmowie, poszli przodem.

– Tym razem rzeczywiście dzielnie stawieś czoło trudnościom – powiedział profesor.

– Jeśli chodzi o ścisłość, cały czas próbowałem uciec. I o mały włos nie uciekłem. Ale chyba rzeczywistość zmusza człowieka do przyjęcia właściwej postawy – kiedy się żyje w świecie realnym. To znaczy, nawet jeśli się człowiek oszukuje i sam lezie w tę pułapkę, zawsze w końcu dostrzeże jedyną słuszną drogę, która pozwoli mu ją ominąć. – Ptak był zaskoczony lekką nutą żalu we własnym głosie. – I tak właśnie było ze mną.

– Ale przecież można żyć w świecie realnym zupełnie inaczej, Ptak. Są ludzie, którzy skaczą od jednego kłamstwa do drugiego jak żaby, aż do śmierci.

Przed zmrużonymi oczyma Ptaka pojawił się frachtowiec płynący do Zanzibaru, który kilka dni temu zabrał na swoim pokładzie Himiko. Wyobraził sobie siebie, już po zabiciu dziecka, jak stoi u jej boku zamiast tego młodzika – bardzo kusząca perspektywa piekła. Może w jednym z licznych światów Himiko tak właśnie było. Ptak otworzył oczy zwracając się ku problemom świata, który on wybrał dla siebie.

– Istnieje ewentualność, że dziecko będzie się rozwijało normalnie – powiedział – ale jest równie prawdopodobne, że będzie miało bardzo niski iloraz inteligencji. Oznacza to, że muszę odłożyć jak najwięcej pieniędzy na przyszłość dla niego i dla nas. Naturalnie nie mam zamiaru prosić ojca o pomoc w znalezieniu następnej pracy po tym, co narobiłem w poprzedniej. Postanowiłem zrezygnować z kariery pedagogicznej i zostać przewodnikiem; będę oprowadzał turystów zagranicznych. Moim marzeniem było zawsze wyjechać do Afryki i tam wynająć sobie miejscowego przewodnika; teraz odwrócę te role: ja będę przewodnikiem dla cudzoziemców, którzy przyjadą zwiedzać Japonię.

Profesor chciał coś powiedzieć, ale musieli się rozstać przed chłopakiem, który biegł korytarzem z ręką na wielkim temblaku, ścigany przez bandę swoich rówieśników. Chłopcy przemknęli nie zwracając najmniejszej uwagi na Ptaka i jego teścia. Mieli na sobie wyplamione, obszarpane bluzy, z pewnością za lekkie jak na tę porę roku. Ptak zobaczył na ich plecach wyhaftowane smoki i stwierdził, że to ten sam młodzieżowy gang, z którym się zmierzył owego letniego wieczora, kiedy rodziło się jego dziecko.

– Przypominam sobie tych chłopców, ale nie wiem dlaczego, oni mnie jakoś nie poznali – rzekł.

– W ciągu ostatnich kilku tygodni stałeś się zupełnie innym człowiekiem, pewnie dlatego.

– Myśli ojciec?

– Zmieniłeś się. – Głos profesora zabrzmiał ciepło, jak głos kogoś bliskiego. – To dziecinne przydomko, Ptak, już do ciebie nie pasuje.

Ptak poczekał na kobiety i spojrzał na swojego syna spoczywającego w kolebce ramion żony. Chciał się przejrzeć w źrenicach dziecka. Lustro dziecięcych oczu – głębia lśniącej szarości; obraz, który odbiło, był tak niesłychanie subtelny, że Ptak nie mógł w nim rozpoznać swojej nowej twarzy. Jak tylko przyjedzie do domu, przejrzy się w prawdziwym lustrze. A potem zerknie do bałkańskiego słownika, który podarował mu Delczew, zanim jego władze odesłały go do kraju. Na wewnętrznej stronie okładki napisał mu słowo oznaczające nadzieję. Będzie musiał sprawdzić, jak jest cierpliwość.